Polski elektryk – serio? • Trzaskowski po roku • Kto po Miszalskim?
Nasza reporterka milionerką • Strajk w Dino • Patopodatki • Słabnący Putin

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
TYGODNIK, nr 22 (3566), 27.05–1.06.2026
USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO



Pierwsi polscy mężowie

Mateusz i Jakub Trojanowie o sobie i swojej batalii o legalizację małżeństwa

s. 6, 26

ISSN 0032-3500
9 770032 350602 22
Wydanie w sprzedaży do 1.06.2026

© KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 89a8166262

ZAPRASZAMY NA OLIMP



W sprzedaży

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 89a8166262

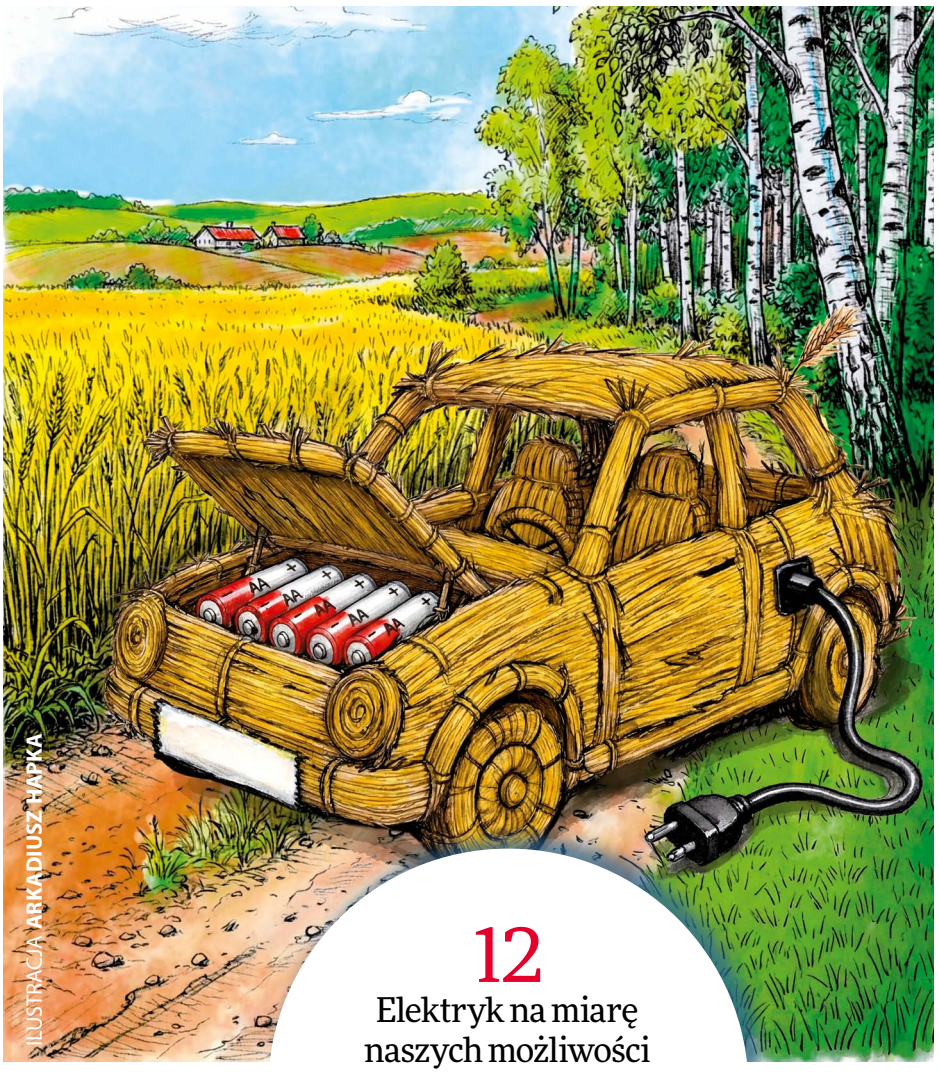

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

12
Elektryk na miarę naszych możliwości

Tematy tygodnia

12 Adam Grzeszak **Polski samochód elektryczny: projekt piarowy czy biznesowy?**

16 Marcin Piątek **Sieć dyskontów Dino: ile wyzysku w tym sukcesie**

Polityka

20 Rafał Kalukin **Rafał Trzaskowski rok po wyborach: wnioski z klęski**

23 ROZMOWA POLITYKI Minister **Marcin Kulasek** o pieniądzach na naukę i poparciu dla protestujących badaczy

Społeczeństwo

26 Rozmowa z **Mateuszem Trojanem** i **Jakubem Cupriakiem-Trojanem**, pierwszym uznanym przez Polskę małżeństwem jednopłciowym

29 Joanna Cieśla **„Pierd...nij biedulką!" – z ebooków mentorek bogactwa**

32 Marcin Kołodziejczyk **Sołtys na tropie lokalnej grupy przestępczej**

36 Paweł Walewski **Krótkowzroczne spojrzenie NFZ na operacje zaćmy**

Rynek

40 Joanna Sawicka, Marek Świerczyński **Magdalena Sobkowiak-Czarnecka – kim jest pani od SAFE?**

44 Joanna Solska **System PIT: kto płaci dużo, a kto wcale**

Świat

47 Agnieszka Lichnerowicz ROSJA **Słabnący Putin**

50 Agnieszka Zagner IZRAEL **Jonathan Pollard – od szpiega do kandydata do Knesetu**

52 Łukasz Wójcik IRAN **Narges Mohammadi – uwięziona noblistka**

54 Katarzyna Tubylewicz SZWECJA **Państwo dla bogaczy**

Nauka/projektpulsar.pl

57 Maciej Grzybek **Przez naukę do narodowego bezpieczeństwa**

60 Jak badać niezmierzony Wszechświat przy ograniczonym budżecie, mówi astrofizyczka **Hiranya Peiris**

64 Agnieszka Krzemińska **Krwawe pradziejowe rytuały pogrzebowe**

Esej

66 Janusz A. Majcherek **Dlaczego podczas wojny porywa się dzieci**

Historia

68 Edwin Bendyk **100 lat temu w Paryżu zastrzelono Symona Petlurę**

71 PROSTO Z KSIĄŻKI

Kultura

76 Mirosław Pęczak **Fenomen Marilyn Monroe**

80 Rozmowa z **Kasią Babis**, rysowniczką, streamerką, autorką komiksu „Okruchy. Dorastanie w postkapitalistycznej Polsce"

84 Janusz Wróblewski **Cannes: Złote Palmy i czarne listy**

87 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

94–97 • **Matki i córki** • **Piłkarskie wirale** • **Wata Maty** • **Górski kurort: Rigi** • **Tarta ze szparagami**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy
• **6** Ludzie i wydarzenia
• **72** Afisz • **88** Orliński
• **89** Chutnik i Plebanek
• **90** Hartman • **91** Sulej
• **92** Mizerski
• **92**, **98** Galeria POLITYKI
• **93** Do i od redakcji
• **98** To jeszcze nie koniec

UWAGA CZYTELNICY!

Następny numer POLITYKI w sprzedaży już **od wtorku 2 czerwca.**

eprasa.pl 89a8166262



Smętny happy end

Jerzy Baczyński

Znowu było TACO. To określenie już mocno przylgnęło do Donalda Trumpa; przypomnę, że jest skrótowcem od „Trump Always Chickens Out", czyli „Trump zawsze tchórzy", ale też wymięka, wycofuje się – jak w sprawie nakładanych i zdejmowanych ceł, zajęcia lub nie Grenlandii, zniszczenia lub nie Iranu, a teraz zawieszenia i odwieszenia rotacji amerykańskich żołnierzy do Polski. O ile okoliczności podjęcia tamtej nagłej decyzji do dziś są niejasne, o tyle jej odwołanie jest niewątpliwie skutkiem zmasowanych nacisków zjednoczonej strony polskiej. Użyte zostały wszelkie waszyngtońskie kontakty ministrów z MON, ambasady, generałów; także Karol Nawrocki podobno wysłał do Donalda Trumpa esemesa. I to właśnie z przyjaźni dla prezydenta Nawrockiego prezydent USA miał zmienić decyzję, o której jednak wcześniej przyjaciela nawet nie poinformował esemesem. W każdym razie po 10 dniach, które wstrząsnęły Polską, wszyscy poczuli ulgę. Jak to się mówi: „Koza została wyprowadzona". To znaczy, że 5 tys. żołnierzy USA ma się na powrót (chyba?) wprowadzić do Polski.

Smętny happy end. Po raz kolejny otrzymaliśmy komunikat, że Europa i Polska (która jest prymusem w wydatkach zbrojeniowych – co przypomniał J.D. Vance) muszą w kwestii bezpieczeństwa liczyć głównie na siebie, bo „Ameryka wraca do domu". Problem w tym, że Europa wciąż nie jest gotowa do skutecznej samoobrony. Stworzenie jakiegoś europejskiego NATO-bis musi potrwać, bo przecież obrona/wojsko nigdy nie były zadaniami Unii Europejskiej – eksperci twierdzą, że trzeba na to przynajmniej 3–4 lat (ale np. Aleksander Kwaśniewski w nowym podkaście Polityki mówi o 10 latach). Ten czas kupuje dla Europy Ukraina – 90 mld euro, które po zniesieniu węgierskiej blokady Unia przekazała Ukrainie, to bardziej inwestycja niż pomoc. Zresztą w nowej inicjatywie kanclerza Niemiec, aby bardzo przyspieszyć stowarzyszenie Ukrainy z Unią, też chodzi w podtekście o stowarzyszenie potężnej dziś armii ukraińskiej ze „słabymi siłami" rozproszonej Europy. A Ukraina – być może wzorem Iranu – przyjęła właśnie taktykę ataków dronowych na odległe cele infrastruktury przeciwnika, co mocno dewastuje gospodarkę, logistykę, wizerunek, morale Rosji.

Rosja nie jest dziś zdolna do rzucenia otwartego wyzwania europejskim krajom NATO, ale tym bardziej trzeba się liczyć z uciążliwymi atakami hybrydowymi, prowokacjami, sabotażem, internetową rekrutacją chętnych do „małego terroru". (W tę stronę pobiegły podejrzenia po serii fałszywych zgłoszeń na telefon 112). Amerykańskie bazy wojskowe i ciężki sprzęt, który kupujemy w USA (właśnie przyleciały pierwsze Husarze F-35) lub zamierzamy produkować w ramach programu SAFE, to przedsięwzięcia „na zaś", gdyby Putin oszalał (o nim więcej na s. 47) na tyle, aby zbrojnie zaatakować granice NATO.

Na dziś potrzeba głównie soft power – skoordynowanej europejskiej odpowiedzi na rosyjskie ataki „poniżej progu wojny". Putin z jednej strony, a Trump z drugiej zmuszają więc Europę, aby stawała się także wspólnotą obronną. Francja i Wielka Brytania już zadeklarowały (porozumieniem z Northwood) taką wolę. Ale tu wraca ciężki, także dla Polski, problem historyczny: co z Niemcami, co z Bundeswehrą? Unia powstawała głównie po to, aby okiełznać, zdemilitaryzować Niemcy, których potęga podczas wojny światowej przeraziła cały świat. Powojenna Republika Federalna przyjęła rolę „gospodarczego giganta i wojskowego karła", ale w nowej sytuacji geostrategicznej Niemcy pozostają wielkim atutem Europy. Tylko że trzeba nim (i z nimi) grać, a polska polityka tu kompletnie spasowała, sparaliżowana obsesjami prawicy. A bez Niemców trudno będzie wypełnić lukę po Amerykanach.

Jawne lekceważenie Europejczyków, dla których Trump nie widzi miejsca w nowym globalnym koncercie trzech mocarstw (z Chinami i Rosją), wymusza na Unii decyzję: albo gra o pozycję zbiorowego Czwartego Mocarstwa, albo stopniowa marginalizacja, redukcja do roli skansenu. Nie chodzi tu tylko o EuroNATO – rozwój europejskiego przemysłu obronnego, integrację dowództwa wojskowego, stworzenie wspólnych oddziałów szybkiego reagowania, ochrony cyberprzestrzeni, energetyki itd. – ale też o obronę wspólnego rynku przed dominacją amerykańskich big techów. Żaden kraj unijny osobno (wiemy to po sobie) nie da rady narzucić globalnym koncernom lokalnych podatków, wymusić ochronę praw autorskich, bezpieczeństwa dzieci i młodzieży, uregulować rynek kryptowalut, a zwłaszcza ekspansję sztucznej inteligencji (której zatrważające umiejętności doceniła sama Olga Tokarczuk, s. 7). Widzimy już także w Polsce, jak AI i tworzone przy jej pomocy realistyczne filmy stają się narzędziem marketingu politycznego. Jak produkcja wirtualnych światów i politycznych awatarów może wpływać na wynik wyborów. Prezydent USA i jego tech-oligarchowie nie są zainteresowani jakąkolwiek kontrolą ich biznesów i algorytmów, tylko Unia jako zbiorowość może ten dziki zachód cywilizować.

Siłą Unii zawsze była jej zdolność adaptacji. Zaczynała jako wspólnota gospodarcza; my wstępowaliśmy już do Unii uformowanej jako wspólnota wartości: liberalnej demokracji, ochrony praw człowieka, szacunku dla środowiska naturalnego, otwartych granic. Doświadczyliśmy tej Unii, gdy domagała się od Polski PiS (jak i od Węgier Orbána) przestrzegania zasad praworządności; czy wymuszała transformację energetyczną (dzięki niej nie jesteśmy już zależni od importu z Rosji). Ale dała też prawne instrumenty panom Trojanom (nasza okładka), jednopłciowemu małżeństwu, aby dochodzić swoich podstawowych praw również w Polsce. Teraz Unia, pod presją okoliczności, musi dobudowywać kolejne moduły; wojskowy, przemysłowy (SAFE), regulacyjny w sferze nowych technologii i mediów. Od czasów Trumana żaden prezydent USA nie zrobił tyle dla integracji europejskiej, co Trump. Ale na tym polega syndrom TACO, że prezydentowi na ogół wychodzi inaczej, niż by chciał.

eprasa.pl 89a8166262

Albatros travel

Albatros 40 lat



NOWOŚĆ

Boże Narodzenie na południu Włoch

Sorrento, Neapol i Wybrzeże Amalfi

Świętuj Boże Narodzenie wśród cytrusowych gajów, zachwycającego wybrzeża i dziedzictwa kulturowego południowych Włoch.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy i przyjazd do Sorrento. **Dz. 2** Najważniejsze atrakcje Neapolu – królewskie pałace, historia i pizza. **Dz. 3** Pompeje – miasto, które zniknęło pod warstwą popiołu. **Dz. 4** Wigilia Bożego Narodzenia w Sorrento. **Dz. 5** Boże Narodzenie w Sorrento – msza, passeggiata i włoski świąteczny obiad. **Dz. 6** Wybrzeże Amalfitańskie – Positano, Amalfi i Ravello. **Dz. 7** Powrót do domu.

7 dni
Wylot z Warszawy
21/12 2026

od **7.498,-**





Tajlandia – zwiedzanie i plażowanie

Oto wyprawa, podczas której zobaczysz Bangkok, przepłyniesz rzeką Kwai, spędzisz noc w tropikach i dotrzesz na plażę marzeń.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Bangkoku. **Dz. 3** Bangkok. Rejs po kanałach (po tajsku Klong) ze zwiedzaniem świątyni Wat Pak Nami, targu kwiatowego świątyni Wat Pho. **Dz. 4** Bangkok – Targ na torach – rzeka Kwai, przejazd Koleją Śmierci. **Dz. 5** Rzeka Kwai. Rejs do Parku Narodowego Sai Yok. **Dz. 6** Rzeka Kwai – Ayutthaya. **Dz. 7** Ayutthaya – Chanthaburi. Plantacja pieprzu i zwiedzanie miasta. **Dz. 8** Chanthaburi – Koh Chang. Las namorzynowy, podróż wzdłuż wybrzeża i prom na wyspę Koh Chang. **Dz. 9–14** Odpoczynek na Koh Chang. **Dz. 15** Koh Chang – wylot do Polski. **Dz. 16** Przylot do Polski.

16 dni | Wyloty z Warszawy 25/10 2026, 28/01 2027 | od **9.998,-**



NOWOŚĆ

Stambuł i Kapadocja

od cesarskich pałaców po skalne miasta

Odkryj jedno z najbardziej imponujących miast Europy oraz wyjątkowy krajobraz Kapadocji – krainy jak z baśni.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Stambułu. Zakwaterowanie i kolacja powitalna. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta: Hipodrom, Błękitny Meczet, Hagia Sophia i cysterna Binbirdirek. **Dz. 3** Meczet Sulejmana Wspaniałego, rejs po cieśninie Bosfor i Wielki Bazar. **Dz. 4** Poranek w Stambule i przelot do Kapadocji. **Dz. 5** Kapadocja. Twierdza Uçhisar, Dolina Wyobraźni, Muzeum Göreme i możliwość lotu balonem. **Dz. 6** Kapadocja. Wąwóz Ihlara, klasztor Selime i podziemne miasto. **Dz. 7** Powrót do domu.

7–8 dni | Wyloty z Warszawy 11/09, 18/10 2026 | od **7.498,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL19**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 89a8166262

Krakowski spleen KO

Odwołanie w referendum prezydenta Krakowa **Aleksandra Miszalskiego** to poważny cios dla KO, która traci ważną polityczną figurę w jednym ze swoich wielkomiejskich bastionów, gdzie jeszcze rok temu Rafał Trzaskowski zmiażdżył w drugiej turze Karola Nawrockiego, wyprzedzając go o niemal 25 pkt proc. Miszalski grał w kampanii referendalnej na niską frekwencję, która sprawi, że głosowanie nie będzie wiążące. Taktyka była racjonalna, bo w tego rodzaju plebiscycie zawsze łatwiej mobilizują się wyborcy głosujący przeciw władzy. Odwołanemu prezydentowi do sukcesu zabrakło jednak sporo, próg ważności referendum został przekroczony o niemal 18 tys. głosów. Ocalała za to rada miasta, gdzie próg frekwencji był wyższy.



PiS już sprzedaje wynik referendum jako swój polityczny sukces, ogłaszając klęskę „krakowskiego Tuska" i próbując złapać wiatr w żagle na poziomie krajowym. Ale bezpośrednie przełożenie tego, co się stało w niedzielę w Krakowie, na całą Polskę, jest nieco zbyt prostą analogią. Zwłaszcza że jesteśmy dopiero w połowie rywalizacji. Jej puenta czeka nas w sierpniu, kiedy w stolicy Małopolski odbędą się przyspieszone wybory, a Kraków rzeczywiście stanie się polityczną stolicą Polski. To nie będzie kolejne lokalne głosowanie, to będzie uwertura do wyborów krajowych. Ale wynik wcale nie musi być w smak triumfującemu dziś PiS, bo prawdopodobieństwo sukcesu kandydata partii Kaczyńskiego jest ekstremalnie małe. Nowogrodzka do boju wystawi zapewne Mateusza Małodzińskiego, który w 2025 r. zdobył 31,4 proc. poparcia w wyborach uzupełniających do Senatu. Wynik zacny, ale przy bardzo niskiej frekwencji (16,5 proc.) i wciąż o prawie 19 pkt proc. niższy od kandydatki KO Moniki Piątkowskiej. Niewykluczone zresztą, że ta para zmierzy się ze sobą jeszcze raz, bo Piątkowska wydaje się faworytką do uzyskania nominacji Koalicji.

Najciekawiej będzie jednak poza dwiema największymi partiami. Latem w Krakowie dojdzie do starcia dwóch lewic (posłanka Daria Gosek-Popiołek z Nowej Lewicy zmierzy się ze współprzewodniczącą Razem Aleksandrą Owcą) i dwóch konfederacji (tu najbardziej prawdopodobne jest starcie bliskiego współpracownika Sławomira Mentzena Bartosza Bocheńczaka z Danielem Grelakiem lub samym Grzegorzem Braunem). Faworytem wyborów będzie jednak Łukasz Gibała (kiedyś PO, dziś niezależny), który w ostatnich wyborach minimalnie przegrał z Miszalskim. Paradoksalnie największym wyzwaniem będzie dla niego wejście do drugiej tury, bo głosy zwłaszcza młodszych wyborców mogą mu zabrać dwie silne lewicowe kandydatki i reprezentant frakcji Mentzena z Konfederacji.

MICHAŁ DANIELEWSKI

Nowe akty, stare emocje

Jest rozporządzenie określające nowe wzory aktów małżeństwa. Dzięki niemu pary jednopłciowe, które wzięły ślub w kraju UE, będą mogły dokonać transkrypcji takiego aktu w Polsce. Transkrypcja to przeniesienie treści zagranicznego dokumentu stanu cywilnego zarówno językowo, jak i formalnie, bez żadnej ingerencji w pisownię imion i nazwisk osób wskazanych w takim zagranicznym dokumencie. W samym rozporządzeniu zmiana jest niewielka, w kilku jego załącznikach w miejscu, gdzie przed zmianą było napisane „kobieta" i „mężczyzna", teraz wpisane będzie „kobieta/mężczyzna" i „kobieta/mężczyzna". Urzędnik dokonujący transkrypcji będzie musiał zakreślić prawidłowe dla danego małżeństwa opcje.

Czy to kończy sprawę? Raczej nie. Po pierwsze, przepisy wejdą w życie dopiero za trzy miesiące. Przez ten okres polska prawica i jej medialne przybudówki będą atakować rządzących, oskarżając ich przy tej okazji o wszystko co najgorsze. Po drugie, burmistrz Zakopanego Łukasz Filipowicz już zapowiedział, że zakopiański urząd będzie odmawiał transkrypcji takich aktów. Jak stwierdził, nowe przepisy „nie zmieniają konstytucji". A z niej zdaniem pana Filipowicza (hotelarza z wykształcenia) wynika, że jedynym dopuszczalnym w Polsce rodzajem małżeństwa jest to między kobietą i mężczyzną (inne zdanie ma w tej sprawie wielu konstytucjonalistów). W ślad za nim pójść mogą też inne samorządy, jak to było choćby przy okazji niesławnych „stref wolnych od LGBT".



Niejasne jest, czy małżeństwa jednopłciowe będą mogły w Polsce się rozwieść. Dopytywana o to w Radiu Zet minister ds. równości Katarzyna Kotula przyznała, że tak, „na zasadzie zwyczajnej". Zdaniem Kotuli regulować ma to „prywatne prawo międzynarodowe". Podobnie sprawę widzi dr Sylwia Różycka-Jaroś, prawniczka z UW, która uważa, że rozwiązanie małżeństwa jednopłciowego będzie możliwe przed polskim sądem zgodnie z obowiązującymi normami prawnymi. Ewentualne sprawy rozwodowe małżeństw jednopłciowych zaczną więc zapewne wpływać do polskich sądów. Sędziowie jednak także mają swoje poglądy. Nie można więc wykluczyć, że będziemy również świadkami orzeczeń, które wykluczają możliwość rozwiązania takiego małżeństwa przed polskim sądem. Do akcji może także zostać zaprzęgnięty Trybunał Konstytucyjny Bogdana Święczkowskiego. Końca politycznego sporu wokół związków jednopłciowych nie należy się zatem spodziewać. (MCZAP)

Czytaj też s. 26.

© JAKUB PORZYCKI/FORUM, ANTON HAVELAAR/SHUTTERSTOCK, MAREK LAPIS/FORUM, MATEUSZ KOTOWICZ/REPORTER

eprasa.pl 89a8166262

Czuła prompterka, nieczuła publika



Uderz w stół... Gdy noblistka oznajmia coś istotnego, replika jest nieunikniona. Kiedyś **Olga Tokarczuk** stwierdziła, że „literatura nie jest dla idiotów", poniosło się. Tym razem podczas kongresu Impact w Poznaniu w rozmowie ze Sławomirem Sierakowskim wyjawiła, że korzysta z dobrodziejstw AI. „Wykupiłam sobie najwyższą, zaawansowaną wersję jednego modelu językowego i bywam w głębokim szoku, patrząc na to, jak fantastycznie powiększa on horyzonty i pogłębia myślenie kreatywne" – powiedziała. Asystentkę AI zagaja czasem frazą: „Kochana, jak mogłybyśmy to pięknie rozwinąć?".

Wyznanie Tokarczuk wywołało burzę w sieci. Wywołane do tablicy środowisko składa pilnie deklaracje (AI: godzi się pisarzom czy się nie godzi). Influencerzy i booktokerzy łapią się za głowy (oczywiście, że się nie godzi). Entuzjaści nowych technologii biorą autorkę w obronę (AI to tylko pożyteczne narzędzie). A kto nigdy nie lubił Tokarczuk, znów mógł dać temu wyraz. „Kochana, jak mogłybyśmy wybrnąć z tej afery?", podpowiadają zapytanie do AI twórcy memów.

Pomijając memy i tradycyjną wirtualną młóckę, dyskusja jest miejscami pasjonująca i dotyczy realnego zjawiska czy też zagrożenia. Środowisko twórcze raczej zgodnie pomstuje na AI, obawiając się, że artystyczne rzemiosło wyginie, bo nie będzie potrzebne. Dochodzą wątpliwości natury etycznej: AI karmi się przecież cudzą pracą. Anglojęzyczne media żyją teraz aferą z opowiadaniem Jamira Nazira, które otrzymało nagrodę Commonwealth, choć „nosi ślady użycia AI". Być może należałoby te ślady specjalnie oznaczać – są takie pomysły.

W Polsce mieliśmy i mamy przypadki zmyśleń w przypisach, wspomaganych przekładów i całych wygenerowanych książek (POLITYKA 21) – to będzie narastać. Mamy też bodaj pierwszą książkę poetycką napisaną przez „człowieka i AI" – „Kubek na tsunami" Justyny Bargielskiej, który w swoim czasie też wywołał poruszenie. „Czy to szansa, czy ryzyko? – zastanawiała się poetka w jednym z wywiadów. – Ryzyko – jeśli nagle poezją pisaną z AI zaczną się zajmować wyłącznie niespełnieni prozaicy i narcystyczne lenie. Szansa – jeśli będą to robić ludzie, którzy poważnie podchodzą do etyki tego zawodu". Sama Tokarczuk, potraktowana jak sportowiec przyłapany na dopingu, w oświadczeniu doprecyzowała, że AI nie pisze za nią powieści, lecz służy za wsparcie w researchu. Co nie zmienia faktu, że jej najnowsza książka będzie pewnie wertowana również pod tym kątem. Czytelnik robi się czujny.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Alarm wokół położnych

Do konsultacji społecznych trafił właśnie projekt nowej ustawy o zawodzie pielęgniarki i położnej. Z miejsca wzbudził ogromne emocje. Zmiany zakładają nową drogę dojścia do zawodu; zamiast pełnowymiarowych studiów na tym kierunku Ministerstwo Zdrowia chce, by przyszłe położne najpierw kończyły trzyletnie studia pielęgniarskie (a więc mogły pracować też jako „zwykłe" pielęgniarki), a dopiero później zdobywały kwalifikacje położnicze przez kolejne 18 miesięcy. W praktyce niewielka część przyszłych pielęgniarek zdecyduje się na specjalizację położniczą, więc położnych ubędzie. MZ mówi, że dzieci i tak się nie rodzą, państwo inwestuje średnio 120 tys. zł w wykształcenie jednej położnej, a rocznie na jedną pracującą przypada średnio mniej niż osiem porodów.



Fundacja Rodzić po Ludzku zaapelowała o natychmiastowe wycofanie się z proponowanych zmian i pozostawienie odrębnej ścieżki kształcenia położnych. Wystosowała też petycję w tej sprawie do ministerstwa. – *Te rozwiązania degradują rangę tego zawodu. Przed chwilą zaktualizowany standard ochrony okołoporodowej, a teraz taki regres. Czy w ministerstwie lewica nie wie, co robi prawica?* – dopytuje Joanna Pietrusiewicz z Fundacji. Aktywistki przekonują, że położne mogą przejąć część kompetencji lekarzy ginekologów, wykonywać cytologie, odciążyć system, pracować w szkołach jako edukatorki zdrowia reprodukcyjnego już na bardzo wczesnym etapie.

Propozycja resortu wywołała również stanowczy sprzeciw części środowiska pielęgniarek i położnych, które ostrzegają przed m.in. obniżeniem standardów kształcenia (czemu resort zaprzecza). – *Nigdy nie zgodzę się z argumentem, że położne nie mają pracy. Podawana przez resort liczba 13 tys. bezrobotnych to nieprawda. Wśród tych położnych 40 proc. to są emerytki. One nie muszą pracować* – mówi prof. Grażyna Iwanowicz-Palus, krajowa konsultantka w dziedzinie pielęgniarstwa ginekologiczno-położniczego. I dodaje: – *W grupie 33 tys. zatrudnionych położnych, o których mówi MZ, blisko połowa to położne z uprawnieniami emerytalnymi, a do 2030 r. będzie ich aż 80 proc.* Co zapowiada kolejny kryzys kadrowy w ochronie zdrowia. (AGSZCZ)

eprasa.pl 89a8166262

Sojusz asymetryczny



Antoni Dudek

Politolog i historyk, profesor nauk humanistycznych; prowadzi na YouTube autorski kanał Dudek o Historii

Sojusze między państwami bardzo rzadko bywają symetryczne, czyli takie, w których każda ze stron może zapewnić drugiej podobną pomoc. Oczywiście na papierze, w treści samej umowy sojuszniczej, strony są zwykle sobie równe. W rzeczywistości jednak nikt nie miał wątpliwości, że zawarty w 1921 r. sojusz polsko-francuski, stanowiący fundament bezpieczeństwa II RP, był asymetryczny. Francja, dysponująca znacznie większą armią i gospodarką niż Polska, mogła zaofiarować jej większą pomoc. Przynajmniej hipotetycznie, bo wydarzenia z 1939 r. boleśnie zweryfikowały nadmierne nadzieje pokładane przez wielu Polaków w odsiecz z zachodu.

Sojusz polsko-amerykański budowany od lat 90. minionego wieku jest znacznie bardziej asymetryczny niż ten polsko-francuski sprzed wojny. Nie znaczy to jednak, że musi się okazać jeszcze bardziej zawodny. Przeciwnie, potęga militarna USA może dobrze służyć bezpieczeństwu Rzeczpospolitej, o ile będziemy potrafili pokazać pragmatycznym aż do bólu Amerykanom, że odnoszą z tego sojuszu określone korzyści. Nie może to jednak polegać – jak wyobrażają to sobie politycy PiS – wyłącznie na kupowaniu amerykańskiej broni, przytakiwaniu Waszyngtonowi w każdej sprawie oraz podpisywaniu kolejnych umów w warunkach kompromitujących Rzeczpospolitą. Takich jak pamiętna deklaracja o „partnerstwie strategicznym", podpisywana na stojąco przez prezydenta Dudę w 2018 r. w Gabinecie Owalnym z rozpartym za biurkiem Donaldem Trumpem.

Aby choć trochę zmniejszyć poziom asymetryczności relacji Warszawa-Waszyngton, powinniśmy na poważnie zacząć budować polskie lobby w USA. 10 mln obywateli USA o polskich korzeniach jest tu dobrym punktem wyjścia. Rzecz w tym, że rząd PiS ograniczył się tu głównie do rozmaitych groteskowych przedsięwzięć nieszczęsnej Polskiej Fundacji Narodowej, a obecny – tak na wszelki wypadek – nie podejmuje na tym polu jakiejkolwiek zauważalnej działalności.

Po wtóre, rząd Tuska powinien znacznie energiczniej rozwijać projekt Trójmorza, który wydaje się jedynym sensownym przedsięwzięciem odziedziczonym po PiS w obszarze polityki zagranicznej. Oczywiście nie po to, aby szachować Berlin, jak to sobie wymarzył prezes Kaczyński, ale by rozwijać współpracę gospodarczą, energetyczną i wojskową z korzyścią dla całego regionu. Polska tylko jako potencjalny lider grupy państw Europy Środkowej może stać się z perspektywy Waszyngtonu graczem należącym do tej samej ligi co Francja, Wielka Brytania i Niemcy.

Po trzecie wreszcie, nasz kraj powinien zacząć znacznie mocniej niż dotąd zabiegać nie tyle o zwiększanie liczebności amerykańskich żołnierzy, co o udział w programie *nuclear sharing*. Doprowadzenie do obecności amerykańskiej broni nuklearnej na terytorium Polski zwiększyłoby bowiem jej bezpieczeństwo znacznie bardziej niż kilka tysięcy dodatkowych żołnierzy. Zwłaszcza jeśli ich obecność ma charakter rotacyjny i można ich wycofać w ciągu dosłownie kilkunastu dni. Tak jak to się stało w przypadku tych stacjonujących do sierpnia ubiegłego roku na lotnisku w Jasionce.

Koniec barbarzyństwa

Od czerwca myśliwi nie będą mogli strzelać do ptaków w strefie buforowej wokół Parku Narodowego Ujście Warty. Przyrodnicy odetchnęli, choć są i niezadowoleni. Rozporządzenie w tej sprawie podpisała minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska. – *Marzyłem o tej chwili ćwierć wieku. Popłakałem się ze szczęścia* – mówi nam Piotr Chara, fotograf i przyrodnik, bez którego nic by się zapewne nie zmieniło. Ujście Warty jest jednym z najważniejszych w Europie obszarów wodno-błotnych. Stwierdzono tu liczne gatunki z „Polskiej czerwonej księgi zwierząt", a w okresach migracji i zimowania liczba gęsi oraz żurawi sięga nawet 200 tys. osobników. To najmłodszy park narodowy w Polsce – powstał w 2001 r. Chara pracował w nim wtedy jako strażnik. Odkrył, że wprawdzie w samym parku ptaki są chronione, ale myśliwi polują na nie już w jego otulinie: ustawiają się na granicy parku i otuliny, żeby strzelać do ptaków, które nad tą granicą przelatują. – *To absurd. Dzień za dniem zabijają przedmiot ustawowej ochrony, kluczowy powód istnienia Parku Narodowego Ujście Warty* – mówił POLITYCE (7).

Został zmuszony do odejścia z pracy, a później latami dokumentował działalność myśliwych w otulinie, narażając się na hejt i groźby. Sprzymierzeńca znalazł w Mikołaju Dorożale, głównym konserwatorze przyrody. „Doprowadzenie do zakończenia brutalnej rzezi tysięcy ptaków przy ujściu rzeki Warty to jeden z tych punktów, dla których nadal mam siłę wstać rano i walczyć" – pisał wiceminister Dorożała.



Batalion w Parku Ujście Warty

Park Narodowy ma 8 tys. ha, otulina – 10 tys. ha, zakaz polowań obejmie 6 tys. ha. Niektórzy przyrodnicy domagali się zakazu w całej otulinie, ale strefa buforowa została kompromisowo zawężona do obszarów, które są kluczowe dla ochrony ptaków. Nieregularny kształt i szerokość od kilkuset metrów do 2 km uwzględniają zabudowania i użytki rolne, czyli interesy mieszkańców i rolników. Myśliwi jednak straszą, że „wyrugowanie ich z otuliny" skończy się niekontrolowanym przyrostem gatunków szkodliwych. To nieprawda, bo gospodarką łowiecką na tym obszarze zajmie się park narodowy, myśliwi zaś nadal będą mogli, a w świetle przepisów nawet powinni, strzelać do gatunków inwazyjnych i uczestniczyć w odstrzałach sanitarnych. Na ich wpływy i dezinformację podatne są jednak samorządy. Zmianom sprzeciwili się radni kilku gmin (mają grunty w parku oraz otulinie i dostają z tego tytułu dotacje), a także sejmiku lubuskiego, ale ich stanowiska nie mają mocy prawnej. (ZEB)

© PIOTR CHARA, WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

eprasa.pl 89a8166262



W tył zwrot, do Polski!

Donald Trump jednym wpisem zmienił kierunek decyzji Pentagonu i przekreślił budowaną przez dziesięć dni narrację, dlaczego najłatwiej i bez strat dla NATO było wstrzymać rotację pancernej brygady US Army do Polski, by spełnić jego poprzednią dyrektywę o redukcji wojsk w Europie o 5 tys. Teraz 5 tys. żołnierzy ma trafić do Polski „dodatkowo", choć nie wiadomo, od jakiego poziomu liczy się dodatek. Nawet jeśli przyjąć, że zatrzymana w ruchu brygada do Polski nie przyjedzie, to amerykańskich żołnierzy powinno być o tysiąc więcej niż obecnie, a więc powyżej 10 tys.

Tak jak pierwszy ruch Pentagonu zaskoczył polskie władze i dowódców NATO, tak i ten nastąpił niespodziewanie – choć oba były wcześniej sygnalizowane. Ogólna tendencja zmniejszania zaangażowania USA w bezpośrednią obronę Europy, a co za tym idzie, redukcja wojsk rozmieszczonych na kontynencie, jest strategicznym celem zapisanym w oficjalnych dokumentach i komunikowanym sojusznikom od początku obecnych rządów Trumpa. Po wzroście niechęci do Europy w wyniku odrzucenia żądań dotyczących przejęcia Grenlandii i braku oczekiwanego przez Waszyngton wsparcia w czasie wojny USA i Izraela z Iranem kwestia wojsk stała się narzędziem wymuszania, pogróżek, a nawet kary.

Spadła ona choćby na Niemcy, po źle odebranych w USA komentarzach kanclerza Friedricha Merza, który pozwolił sobie na ocenę, że Iran upokorzył Amerykę. Trump „odmachnął się" natychmiast zapowiedzią wycofania 5 tys. żołnierzy z Niemiec, a wojskowi wykonali zadanie wpisania tej decyzji w amerykańską strategię. To, że w efekcie miała uderzyć w Polskę, a nie w Niemcy, też zdaniem generałów i urzędników Pentagonu wpisywało się w starannie przygotowany plan.

Te pokrętne wyjaśnienia amerykańskich dowódców przypomniały, że wedle starego powiedzenia: gdzie zaczyna się wojsko, tam kończy się logika. Równie ciężkie zadanie umysłowe czeka ich teraz, gdy będą musieli wycofać się z poprzednich stwierdzeń, by z równą pewnością siebie wpisać dodatkowe 5 tys. żołnierzy w Polsce w strategię opuszczania Europy. Może być o tyle łatwiej, że sam Trump obiecał Karolowi Nawrockiemu w czasie jego wrześniowej wizyty w Białym Domu, że amerykański kontyngent w Polsce nie zostanie okrojony, a nawet może zostać zwiększony.

Generałowie z ochotą zameldują o spełnieniu życzenia prezydenta, ale dla wojskowego planowania każde zwiększenie liczby żołnierzy gdzieś na misji to kłopot większy niż ich wycofanie. Dlatego kilka dni po hasłowo rzuconej zapowiedzi prezydenta USA szczegółów dotyczących jej wykonania wciąż brak. Nie wiadomo, czy chodzi o przesunięcie wojsk wycofywanych z Niemiec (a przecież wycofanie miało dotyczyć Polski), przywrócenie wstrzymanej rotacji brygady pancernej (na co mogły wskazywać wypowiedzi o opóźnieniu, a nie anulowaniu tego przerzutu), czy o jakieś inne zwiększenie obecności wojskowej USA. Na konkrety decyzję Trumpa przekuwać będzie ten sam generał, który chwilę temu głowił się nad redukcją – Alexus Grynkewich, czyli dowódca sił USA w Europie, a jednocześnie głównodowodzący wojsk NATO.

Zmienne decyzje prezydenta nie ułatwiają mu zadania w chwili gdy wśród sojuszników panuje niepewność, a zaufanie Europy do USA spada na łeb na szyję. To, że zamiast wycofania nagle ma nastąpić zwiększenie liczby żołnierzy w Polsce, wcale nie przywraca zaufania, a przeciwnie, pogłębia wrażenie chaosu. Wojsko opiera się na procedurach, przepisach i planach tworzonych na podstawie twardych danych. Gdy tak wiele z nich zmienia się tak nagle, plany tracą oparcie, a ich wykonanie – wiarygodność. Pomimo uspokajających oświadczeń, że planowana do niedawna redukcja miała nie wpływać na bezpieczeństwo Europy, ubytek z potencjalnego teatru wojny jednej brygady nie był kwestią bagatelną. Dobrze byłoby jak najszybciej wiedzieć, czy najnowsza decyzja stanowi o jej przywróceniu, tak by wojskowe plany zrewidować na plus, a nie minus.

Najdziwniejsze jest jednak to, że sytuacja militarna zdaje się Trumpa w ogóle nie obchodzić. W uzasadnieniu swojej decyzji w ogóle nie wspomina o NATO, Europie, wschodniej flance czy jakimkolwiek zagrożeniu ze strony Rosji. Mówi wyłącznie o sympatii do Nawrockiego i politycznym podłożu swojej decyzji, przywołując ubiegłoroczną wygraną kandydata, którego wsparł w kampanii. Ani słowa nawet o obietnicy dotyczącej wojsk, chodzi o czystą politykę. To groźny cień na skądinąd korzystnej dla Polski decyzji Trumpa, za którą zgodnie dziękowali politycy obu zwalczających się na co dzień obozów.

Upolitycznienie relacji bezpieczeństwa z najważniejszym sojusznikiem i opieranie decyzji wojskowych na sympatii dla tego czy innego polityka może prowadzić do wypaczenia spraw o strategicznym znaczeniu, a w wewnętrzną dynamikę nadchodzącej kampanii wprowadzi z gruntu fałszywy wybór, kto jest z kim i za kim.

Po chwilowej radości zaczęło się na nowo oskarżanie kto, czym i jak mógł zaszkodzić pozycji Polski przez to, że naraził się prezydentowi USA. Obecność amerykańskich wojsk jest dla Polski racją stanu, tak samo jak odbudowa obronna Europy przy wsparciu, a nie niechęci Ameryki.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

eprasa.pl 89a8166262

Witamy w Izraelu!

Strefa Gazy nie zniknęła. Kolejna nieudana próba przełamania jej morskiej blokady i otwarcia korytarza humanitarnego zakończyła się międzynarodowym skandalem za sprawą ministra bezpieczeństwa narodowego Izraela, skrajnie prawicowego polityka Itamara Ben-Gwira. Na jego koncie na portalu X widać zamaskowanych izraelskich policjantów obezwładniających **uczestników przechwyconej flotylli** płynącej do Gazy, ustawiających ich w szeregu w magazynie, a następnie zmuszających do klęczenia z rękami skrępowanymi plastikowymi opaskami za plecami. Machający flagą Izraela minister szarpie jedną z uczestniczek flotylli i wykrzykuje: „Witajcie w Izraelu! My tu jesteśmy gospodarzami". A w poście dodaje m.in. „Tak witamy zwolenników terroryzmu".

50 statków Flotylli Global Sumud izraelskie siły przechwyciły w zeszłym tygodniu na wodach międzynarodowych niedaleko Cypru, 460 km od Gazy. Zatrzymano 428 osób z ponad 40 państw, w tym trzyosobową delegację z Polski. Deportowani do Turcji (bo stąd wypłynęła flotylla) skarżyli się na złe traktowanie w izraelskim areszcie, w tym stosowanie paralizatorów, a także przemoc seksualną. Wywołało to międzynarodową krytykę, kilka europejskich MSZ-ów wezwało „na dywanik" ambasadorów Izraela, Francja i Polska nałożyły na Ben-Gwira zakaz wjazdu na ich terytorium, podobny krok zapowiedziała Hiszpania. Szef polskiego MSZ Radosław Sikorski nazwał Ben-Gwira „szowinistą i atencjuszem".

Także w Izraelu uznano, że minister posunął się za daleko. Znany z unikania publicznych przeprosin premier Beniamin Netanjahu stwierdził, że chociaż Izrael miał prawo zatrzymać flotyllę, to sposób, w jaki minister potraktował aktywistów, „nie był zgodny z izraelskimi wartościami i normami". Zachowanie ministra potępił też szef izraelskiego MSZ Gideon Saar. Sam Ben-Gwir nie przeprosił jednak za swoje zachowanie, co zostało odebrane jako element kampanii



wyborczej przed zbliżającymi się wyborami parlamentarnymi.

Uczestnicy sobotniej demonstracji antyrządowej w Tel Awiwie byli oburzeni zachowaniem Ben-Gwira: – *Może mieliśmy prawo zatrzymać flotyllę, ale to, co zrobił, jest nie do obrony. Jego miejsce jest w Hadze, gdzie powinien odpowiedzieć za całokształt* – mówił Uri, który na Placu Habima demonstrował. Podobne reakcje można usłyszeć na Starym Mieście w Jerozolimie: – *To niewłaściwe, oburzające, złe* – dodaje Eli Kouz, jeden ze sprzedawców, chrześcijanin, gorący zwolennik Netanjahu.

AGNIESZKA ZAGNER Z JEROZOLIMY

Cele śmierci

Coroczny raport Amnesty International ujawnia ponurą statystykę – w 2025 r. wykonano najwięcej kar śmierci od 44 lat. Co najmniej 2707 egzekucji to alarmujący wzrost o 78 proc. w porównaniu z 2024 r., który także był rekordowy. Każdy przypadek poddano wielostronnej weryfikacji, a lista jest mocno niepełna, bo nie obejmuje Chin (gdzie według Amnesty International wykonano tysiące egzekucji), Korei Północnej i Wietnamu (tam dane objęte są tajemnicą państwową). Niechlubny rejestr dotyczy malejącej grupy 17 państw, w których w ub.r. wykonano karę główną, z ogółu 54 państw, gdzie nadal jest w kodeksie karnym (ostatnio złagodziły paragrafy Gambia, Liberia i Nigeria, a w Kirgistanie Sąd Najwyższy orzekł, że jej przywrócenie byłoby sprzeczne z konstytucją).

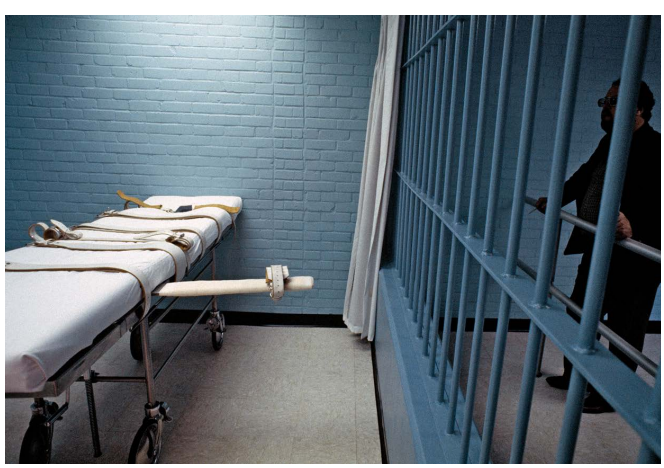

80 proc. potwierdzonych egzekucji przypada na Iran; 2159 osób stracono tam przez powieszenie, w tym rosnącą grupę kobiet (rok wcześniej były to 972 osoby). Po ubiegłorocznej „wojnie dwunastodniowej" z USA i Izraelem egzekucji było dużo więcej, w tym za współpracę z wrogiem i różne akty sprzeciwu (podobnie jak liczne tegoroczne wyroki, w tym zweryfikowane egzekucje 32 więźniów politycznych). W kolejnej na liście Arabii Saudyjskiej 356 wykonanych kar głównych dotyczyło przede wszystkim przestępstw związanych z narkotykami i morderstw, tak jak 51 egzekucji w Jemenie, ale to daleko nie wyczerpuje kryteriów stosowania najdrastyczniejszej z kar.

47 egzekucji, najwięcej od blisko dwóch dekad, wykonano w 11 stanach USA (wśród krajów rozwiniętych wykonują ją jeszcze Singapur, Tajwan i Japonia, gdzie cieszy się 80-procentową akceptacją społeczną). Pierwszego dnia po powrocie do Białego Domu prezydent Donald Trump podpisał rozporządzenie o przywróceniu kary śmierci na szczeblu federalnym, a konserwatywna większość w Sądzie Najwyższym odrzuciła wszystkie wnioski o wstrzymanie egzekucji. 19 wyroków śmierci – podaje AI – wykonano na Florydzie, gdzie republikański gubernator Ron DeSantis zaleca je jako „silny środek odstraszający". W większości stosowane są zastrzyki śmierci, Alabama i Luizjana eksperymentują z duszeniem azotem, a Karolina Południowa przywróciła rozstrzelanie. Według sondażu Gallupa (z października) karę śmierci popiera 52 proc. Amerykanów.

W Egipcie wymierzono 23 kary główne, w Somalii, Singapurze i Kuwejcie po 17, aby „demonstrować władzę, wzbudzać strach i tłumić sprzeciw", jak to ujęła cytowana w raporcie sekretarz generalna Agnès Callamard. W 2025 r. odnotowano 2334 nowe wyroki śmierci, pod koniec roku 25 508 osób czekało w celi na egzekucję; w USA grupa ta spadła poniżej 2 tys., wskutek naturalnych zgonów. WP

© JERRY CABLUCK/GETTY IMAGES, REUTERS/FORUM, ALEXANDER KAZAKOV/IMAGO/EAST NEWS, ANADOLU/GETTY IMAGES

eprasa.pl 89a8166262

Komisarz Erdoğan

Prezydent Turcji właśnie wybrał sobie lidera opozycji. W ubiegły czwartek sąd apelacyjny w Ankarze uchylił pierwszoinstancyjny wyrok i uznał wybory na szefa największej partii opozycyjnej za niebyłe, jednocześnie przywracając jej poprzedniego przewodniczącego. A teraz dokonajmy analizy tego zdania, bo oczywisty jest tylko „czwartek".

Od 2016 r., po nieudanym zamachu stanu na rządy **Recepa Tayyipa Erdoğana**, jego ludzie „skolonizowali" turecki sąd najwyższy, wszystkie sądy apelacyjne i większość sądów pierwszej instancji. Dlatego zeszłotygodniowy wyrok był przewidywalny. Największe opozycyjne ugrupowanie to Republikańska Partia Ludowa (CHP), założona przez twórcę republiki Mustafę Kemala Atatürka partia władzy, dziś określająca się jako socjaldemokratyczna. W sondażach ma minimalną przewagę nad Partią Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) Erdoğana. Miała nawet dobrego kandydata na prezydenta – burmistrza Stambułu Ekrema Imamoğlu. I to go zgubiło. W marcu 2025 r. został aresztowany i oskarżony m.in. o korupcję w ratuszu. Jego procesy się toczą, zaprzyjaźniony z Erdoğanem sąd może go skazać łącznie na ok. 1900 lat więzienia.



Turecki wymiar sprawiedliwości już wielokrotnie interweniował w politykę, ale tym razem pierwszy raz zmienił decyzję wewnątrzpartyjną. Uznał bowiem, że głosowanie na szefa CHP w 2023 r. odbyło się niezgodnie z partyjnym regulaminem, a jego wynik został „skażony korupcją" i dlatego kierujący ugrupowaniem Özgür Özel zajmuje stanowisko nielegalnie. Sąd tymczasowo przywrócił do tej roli jego poprzednika Kemala Kiliçdaroğlu, polityka niewyraźnego, który przegrał z Erdoğanem wybory w 2023 r., a dziś oskarżanego przez większość CHP o zdradę. Niezależni komentatorzy mówią o „zarządzie komisarycznym" w CHP.

72-letni Erdoğan ma przed sobą nie lada zadanie. W 2028 r. kończy się jego druga i ostatnia kadencja prezydencka. Aby obejść ten limit, ma dwie opcje. Po pierwsze, zmiana konstytucji, która „wyzerowałaby" dotychczasowe kadencje. Tu problem polega na tym, że Erdoğan nie ma 400 szabel w 600-osobowym w parlamencie, aby zmienić konstytucję. Być może znalazłby 360 głosów potrzebnych do zwołania referendum konstytucyjnego, gdyby poparli go kurdyjscy posłowie, do których znów się „zaleca". Jednak wynik takiego plebiscytu jest niepewny. I druga opcja: z tymi 360 szablami mógłby skrócić sobie obecną kadencję, co pozwoliłoby mu na walkę o trzecią. Ale przy spadających notowaniach własnych, pogarszającym się stanie gospodarki i silnej pozycji CHP Erdoğan nie może być pewny zwycięstwa. Chyba że, na przykład, przejąłby opozycję w zarząd komisaryczny. ŁW



Dogonić ebolę

Dwa miesiące – tyle może wynosić przewaga wirusa ebola, który niewykryty rozprzestrzeniał się na pograniczu Demokratycznej Republiki Konga (DRK) i Ugandy. Czujność przywróciła dopiero seria zgonów z górniczego miasteczka Mongbwalu, zagłębia wydobycia złota. Pierwsze zakażenie potwierdzono 15 maja u pracującej tam pielęgniarki. Okazała się ona pierwszą potwierdzoną ofiarą śmiertelną obecnej epidemii. Potem na wschodzie DRK rozwinęło się trzecie co do wielkości ognisko tej choroby w historii. 24 maja Światowa Organizacja Zdrowia informowała już o 904 domniemanych przypadkach i 231 zmarłych.

Ebola dotknęła obszary, gdzie od dziesięcioleci toczą się krwawe konflikty zbrojne, napędzane rywalizacją etniczną i konkurencją o miejscowe bogactwa naturalne. W naturze rezerwuarem wirusa są najpewniej owadożerne nietoperze. Między ludźmi przenosi się przez kontakt z krwią i innymi płynami ustrojowymi zakażonych. Drogę torują mu niskie standardy higieny oraz m.in. obrzędy pogrzebowe, tradycyjnie obejmujące dotykanie ciała przez żałobników. Na tym tle doszło do podpaleń dwóch placówek medycznych, które nie zgodziły się na wydanie ciał bliskim.

Obecnie szerzy się rzadszy wariant eboli, na który nie ma lekarstwa ani szczepionki. Jego śmiertelność wynosi ok. 40 proc. Objawy mogą wystąpić nawet trzy tygodnie po zakażeniu. Laboratorium w mieście Bunia przeprowadza góra 20 testów dziennie (jeśli jest paliwo do generatora prądu). Zdarza się, że grzebiący zmarłych pracują bez zabezpieczeń. Skończyły się środki dezynfekujące. Pacjenci izolowani są w namiotach. Jest wysoce prawdopodobne, że wirus przeniesie się do sąsiedniego Sudanu Południowego.

Spełniają się ostrzeżenia epidemiologów, że cięcia – amerykańskie, europejskie czy japońskie – w pomocy międzynarodowej doprowadzą do niekontrolowanego rozwoju wielu chorób zakaźnych. Z funduszy zlikwidowanej w 2025 r. USAID finansowano monitoring, szkolenie personelu, zaopatrzenie laboratoriów oraz utrzymywanie zespołów szybkiego reagowania. To jednocześnie lista tych działań, których w DRK tej wiosny najbardziej zabrakło. JW

REKLAMA

KLINIKA KROJANTY

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398·56·56
tel. (052) 398·56·57
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:
rwę kulszową, wypadnięcia dysków, chroniczne zespoły bólowe kręgosłupa i głowy, powikłania choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa, następstwa i powikłania urazów układu kostnego, wiązadeł i stawów, migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:
po wylewach, po operacjach ortopedycznych, po złamaniach



ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

eprasa.pl 89a8166262



Foxtron Bria, którego nadwozie projektowało studio Pininfarina, może być wskazówką, jak będą wyglądały auta z Jaworzna.

Miś na baterie

Zapomnijcie o Izerze. Rząd Donalda Tuska chce stworzyć własne auta elektryczne, wykreować dla nich nową markę i zbudować fabrykę produkującą je na masową skalę. Ponoć sukces gwarantowany. Serio?

ADAM GRZESZAK

„Izera to był program wirtualny, który nie wyszedł poza prezentacje w PowerPoincie i makiety aut. Wydaliśmy na to kilkaset milionów złotych" – tak Wojciech Balczun, minister aktywów państwowych, komentował w TVP Info dokonania poprzedników. Było to wkrótce po podpisaniu przez podległą mu państwową spółkę ElectroMobility Poland (EMP) umowy o partnerstwie technologicznym i strategicznym z tajwańskim koncernem Hon Hai Technology Group, szerzej znanym jako Foxconn. Partnerstwo zakłada stworzenie spółki joint venture, w której EMP będzie udziałowcem większościowym. Polacy wybudują w Jaworznie fabrykę aut elektrycznych, Foxconn zaś, a dokładniej Foxtron, czyli motoryzacyjna odnoga tajwańskiego konglomeratu technologicznego, zajmie się stworzeniem rodziny e-aut (EV) dostosowanych do wymagań rynku polskiego i europejskiego. W dogadywaniu się z Foxconnem obok ministra Balczuna zaangażowani byli wiceministrowie rozwoju Michał Jaros oraz Michał Baranowski, a także wiceminister środowiska Krzysztof Bolesta.

Tajwańczyk potrafi

„Gotowość do transferu technologii, budowania własnego know-how umożliwiającego w przyszłości projektowanie i rozwój samochodów elektrycznych w polskim ośrodku R&D [badań i rozwoju], a także możliwość zaangażowania lokalnych dostawców, stanowiło istotny wyróżnik tajwańskiej firmy" – wyjaśniał Cyprian Gronkiewicz, prezes EMP. Azjatycki wspólnik ma wnieść do spółki zarówno technologię, jak i kapitał. Polska strona oferuje grunt i infrastrukturę pod inwestycję oraz kapitał, czyli 4,5 mld zł pochodzące z Krajowego Planu Odbudowy, plus 0,8 mld zł

eprasa.pl 89a8166262



Jeden z projektów Izery, legendarnego już polskiego samochodu elektrycznego. Ten akurat prezentowano w 2021 r.

z Funduszu Reprywatyzacji (dochody z prywatyzacji niegdyś gromadzone na zaspokojenie roszczeń reprywatyzacyjnych). Brakujące środki mają być pozyskane z rynku komercyjnego, czyli po prostu pożyczone, bo zabawa w elektromobilność nie jest tania.

„Z entuzjazmem wspieramy EMP, dzieląc się naszymi platformami EV, doświadczeniem w zakresie rozwoju pojazdów i możliwościami inżynieryjnymi, aby zbudować zakład produkcyjny z obsługą sztucznej inteligencji" – mówił Jun Seki, dyrektor ds. strategii EV w Foxconn. Umowa spółki ma zostać sfinalizowana do jesieni, a wiosną przyszłego roku ma ruszyć budowa fabryki w Jaworznie. Pierwsze wspólne e-samochody będą zjeżdżać z taśmy w 2029 r. Będą to auta nowej polskiej marki, która zostanie dopiero wymyślona. Podobnie jak samochody, których nadwozia zostaną zaprojektowane zapewne przez włoskich designerów, bo Foxtron już wcześniej na własne potrzeby korzystał ze studia Pininfariny.

Samo e-auto, czyli platformę EV (płyta podłogowa z zawieszeniem, silnikiem elektrycznym, bateriami i elektroniką), zapewni Foxconn. MIH Open Platform (Mobility in Harmony) to inteligentna otwarta platforma pojazdów elektrycznych, zwana też deskorolką, zaprojektowana przez tajwańskich inżynierów z myślą o stworzeniu międzynarodowego standardu branży motoryzacyjnej, odpowiednika Androida w świecie telekomunikacji. Umożliwia ona producentom konfigurowanie własnych rozwiązań sprzętowych i programowych, co zapewnia wymierną oszczędność czasu i pieniędzy. Docelowo produkowane będą trzy modele samochodów elektrycznych typu SUV, „nowoczesne i atrakcyjne cenowo". 100 tys. sztuk w pierwszym roku z możliwością zwiększenia produkcji w kolejnych, do 200–400 tys. pojazdów rocznie. Biznesem mają kierować Polacy, oni też zajmą się handlem polskimi elektrykami.

Wszystko to brzmi jak bajka albo powtórka z planu Morawieckiego. Wtedy też sypały się obietnice niesłychanych inwestycji – wiadomo, z jakim skutkiem. Zresztą w dziesięcioletniej historii ElectroMobility Poland nie brakowało bajkowych momentów, gdy roztaczano wizje, w których Izera, czyli polski „Tesla killer", podbija rynki świata.

Kasa do wydania

Teraz będzie inaczej, bo mamy konkretne pieniądze z KPO, więc musimy być traktowani poważnie – przekonują współpracownicy ministra Balczuna. I to właśnie pieniądze sprawiły, że rząd Donalda Tuska, chcąc nie chcąc, musiał przejąć po poprzednikach projekt produkcji samochodów elektrycznych. Bo elektromobilność została przez rząd Mateusza Morawieckiego zapisana w polskim KPO, a Bruksela ten „kamień milowy" zaakceptowała. Sam premier podpisał w 2021 r. umowę inwestycyjną z EMP, gwarantując pieniądze na Izerę. Tyle że problemy z praworządnością sprawiły, iż Morawiecki pieniędzy z Brukseli nie dostał, choć już zaczął nimi gospodarować.

Donald Tusk miał sytuację odwrotną – pojawiły się pieniądze, które trzeba szybko wydać, a nie było czasu na przygotowanie nowych projektów. Ciągnięto więc dalej zajeżdżoną Izerę, która nie mogła ruszyć, bo nie udawało się znaleźć doświadczonego partnera, gotowego zaryzykować spółkę z państwowym start-upem na politycznych sterydach. – *Rozmawialiśmy kolejno z czterema wielkimi chińskimi producentami aut elektrycznych,* ▶

© FOXTRON, PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 89a8166262

▶ *ale bez powodzenia. Byli zainteresowani wyłącznie uruchomieniem w Jaworznie montowni własnych modeli, do których części przywoziliby z Chin. My mieliśmy im jedynie wybudować zakład i zapewnić załogę* – wyjaśnia jeden z pracowników EMP.

W negocjacjach z kolejnymi prezesami chińskich koncernów uczestniczyli kolejni ministrowie aktywów państwowych: Borys Budka, Jakub Jaworowski i Wojciech Balczun. A Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, ministra funduszy i polityki regionalnej, alarmowała, że Izera nie może być tylko chińską montownią, a cały program wymaga głębokiej weryfikacji. Dlatego zaczęto też mówić nie o Izerze, ale o „hubie elektromobilności" w Jaworznie. Innego zdania był Mateusz Morawiecki, który na swoim profilu X bronił Izery: „ktokolwiek zadał sobie trud i poczytał analizy o tym projekcie, wiedział, że miał on dużą szansę powodzenia. Nawet gdyby był chiński".

Izera 2.0

– *Chińska Izera? To był projekt skazany na porażkę* – uważa Jakub Faryś, prezes Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego. – *Natomiast obecny, z tajwańskim inwestorem, uważam, że ma szanse powodzenia. Nie mówię, że sukces odniesie, bo przebicie się z nową, nieznaną marką na szalenie konkurencyjnym rynku będzie bardzo trudne, ale nie jest niemożliwe. Dla polskiego przemysłu motoryzacyjnego byłoby to bardzo korzystne, zwłaszcza że tajwański inwestor deklaruje dziś, że 70 proc. części i podzespołów będzie pochodziło od polskich i unijnych producentów. Szczególnie ważna jest jego deklaracja uruchomienia w Polsce produkcji samochodowych baterii litowo-jonowych.*

Zgodnie z unijną Strategią na rzecz zrównoważonej i inteligentnej mobilności do 2030 r. po drogach Unii Europejskiej ma się poruszać co najmniej 30 mln samochodów bezemisyjnych, w tym głównie elektrycznych. – *Rynek e-aut będzie rósł i zapewne w latach 2030–35 popyt będzie się kształtował na poziomie 6,5–7 mln aut rocznie. Tu kryje się szansa dla polskiego e-auta* – uważa prezes Faryś.

Innego zdania jest Marek Konieczny, ekspert rynku dilerskiego i europejskiego prawa motoryzacyjnego z firmy DCG Dealer Consulting. – *To jest pomysł z cyklu Izera 2.0, tak samo skazany na porażkę. Z tą różnicą, że poprzednio z publicznych pieniędzy poszło 0,5 mld zł, a teraz pójdzie ponad 5 mld zł. Przecież tajwański koncern w dziedzinie motoryzacji nie ma większego doświadczenia. Nie znam żadnego samochodu firmy Foxconn ani Foxtron. Szykuje nam się historia z cyklu wiódł ślepy kulawego.*

Auta na zlecenie

Foxconn to największy w skali globalnej kontraktowy producent elektroniki, którego obroty w 2025 r. osiągnęły astronomiczną kwotę 258,3 mld dol. 1,3 mln pracowników wytwarza – według szacunków samej firmy – 40 proc. wszystkich urządzeń elektronicznych na świecie. Produkcja kontraktowa to działalność polegająca na wytwarzaniu na zlecenie największych marek technologicznych ich urządzeń. Większość iPhone'ów, iPadów czy konsoli PlayStation powstaje w fabrykach Foxconna. Obecnie konglomerat koncentruje się na rynku AI – dla Nvidii produkuje jej superczipy i serwery AI. A ponieważ zaawansowana elektronika wkroczyła do przemysłu samochodowego, nowoczesne auta stają się komputerami na kołach, rozwija się technologia aut autonomicznych, więc Tajwańczycy postanowili sami zaistnieć i w tej branży. Mają ambicję zdobycia 5 proc. udziału w światowym rynku e-aut.

Foxtron, czyli samochodowa odnoga konglomeratu, jest spółką joint venture z tajwańskim producentem samochodów Yulon. Ona także działa jako producent kontraktowy – świadczy usługi projektowania i produkcji na zlecenie pojazdów elektrycznych dla różnych marek. Własny dorobek ma na razie dość skromny. W 2025 r. zdecydowała się wprowadzić do sprzedaży swój pierwszy model Bria, przeznaczony na rynki eksportowe. Zdaniem części ekspertów Foxtron Bria, którego nadwozie projektowało studio Pininfarina, może być wskazówką, jak będą wyglądały auta z Jaworzna. O ile będą.

Polski przyczółek

Koncern Foxconn, który w Polsce widzi przyczółek dla ekspansji w Europie, wcześniej próbował podbijać rynek USA, wiążąc się ze start-upami marzącymi, że zdeklasują Elona Muska, czyli staną się Tesla killerami. Najpierw było Lordstown Motors Corporation, które w dawnej fabryce GM w Ohio uruchomiło produkcję elektrycznego pick-upa Endurance. Wspólnie z Foxconnem powołali spółkę z większościowym udziałem tajwańskim. Szybko pojawiły się problemy produkcyjne i spory, bo Foxconn zdaniem Amerykanów nie wywiązywał się z obietnic finansowych. Choć sam prezydent Donald Trump zaangażował się w promocję elektrycznego pick-upa, Lordstown Motors zbankrutowało. Wówczas Foxconn przestawił ogromny zakład z produkcji pojazdów elektrycznych na produkcję serwerów i sprzętu do centrów danych sztucznej inteligencji. To dziś także centrum produkcyjne dla projektu Stargate, wielomiliardowej inicjatywy w zakresie sztucznej inteligencji, wspieranej przez SoftBank, OpenAI i Oracle.

Następnym amerykańskim Tesla killerem, z którym związał się Foxconn, był start-up Fisker, należący do działającego w USA duńskiego projektanta samochodowego i przedsiębiorcy Henrika Fiskera. Celem było stworzenie taniego elektryka, kompaktowego crossovera Pear (Personal Electric Automotive Revolution). Foxconn miał zająć się produkcją w amerykańskich zakładach, ale zanim produkcja ruszyła, Fisker zbankrutował.

Biznes wysokiego ryzyka

Skonstruowanie i wyprodukowanie samochodu elektrycznego, z czym EMP nie mogło sobie poradzić przez dekadę, to dopiero połowa problemu. Schody zaczynają się potem, gdy trzeba te auta sprzedać. I te schody czekają na Polaków, którzy w spółce mają być odpowiedzialni za handel. Tajwańczycy sprytnie kalkulują, bo łatwo może się okazać, że fabryka w Jaworznie, nawet jeśli wyprodukuje 100 tys. aut, to sprzeda ich wielokrotnie mniej. Wiedzą coś o tym Turcy, którzy mają już swoją Izerę. Wypisz wymaluj identyczny polityczny projekt. E-auta marki Togg to duma i oczko w głowie prezydenta Recepa Erdoğana. Firma powstała później niż ElectroMobility Poland, a samochody produkuje już od blisko czterech lat. Miały być tureckim przebojem eksportowym, a dziś poza Turcją są właściwie nieznane. „Projekt Togg boryka się jednak z wyzwaniami, takimi jak ograniczona rentowność oraz rosnąca konkurencja ze strony Tesli czy BYD" – czytamy w analizie Ośrodka Studiów Wschodnich.

Produkcja samochodów elektrycznych jest dziś biznesem wyjątkowo ryzykownym. Trzeba bowiem konkurować z wielkimi koncernami motoryzacyjnymi o znanych markach i silnej pozycji rynkowej, które produkcję aut spalinowych poszerzają o kolejne modele elektryczne. Muszą to robić, bo wymaga tego od nich unijny prawodawca, a nie dlatego, że dostrzegły w tym szczególnie

eprasa.pl 89a8166262



W programie budowy polskiego elektryka jedno się nie zmieniło: puste miejsce pod budowę fabryki w Jaworznie

atrakcyjny biznes. Opłacalność produkcji elektryków budowana jest na karnych opłatach za nadmierną emisję CO_2, jakie koncerny musiałyby zapłacić, gdyby sprzedawały wyłącznie spalinówki. Elektryki pozwalają statystycznie obniżyć emisje spalinowych SUV-ów. Te ostatnie dają zyski wykorzystywane do subsydiowania e-aut. Dodatkowo, by zredukować koszty, można wykorzystać dotychczasowy ekosystem, bo auta elektryczne składają się z wielu tych samych części i podzespołów co modele spalinowe.

Rynkowy debiutant tego wszystkiego jest pozbawiony, musi też stawić czoło inwazji chińskich producentów, którzy zalewają Europę swoimi tanimi autami elektrycznymi. Chiny są największą światową potęgą w dziedzinie e-aut, kontrolują też globalny przemysł wydobycia i przetwórstwa surowców niezbędnych w nowoczesnych technologiach. Bez chińskiego neodymu, prazeodymu, dysprozu, kobaltu, litu nie powstanie na świecie żaden elektryk. Chińczycy kontrolują dostawy i ceny, sami zaś rozbudowali swój przemysł ponad miarę i dziś borykają się z olbrzymią nadwyżką mocy produkcyjnych i setkami bankructw w sektorze e-motoryzacji.

Obawy przed nowym

Nowa marka aut wyłącznie elektrycznych nie ma renomy, nie ma ekosystemu, nie jest pionowo zintegrowana, nie korzysta z efektu skali. Budzi wątpliwości klientów, obawy inwestorów i kredytodawców, bo rynek musi zdobywać, konkurując ceną. W efekcie w ostatnich latach zbankrutowało 30–50 firm e-motoryzacyjnych, nie licząc setek małych start-upów i montowni. ElectroMobility Poland będzie wprawdzie miała niewyobrażalnie bogatego wspólnika, który jednak do rozrzutnych nie należy. Towarzyszył już upadkom kilku firm e-samochodowych, nie zdradzając ochoty do ich ratunku. Nie ma też rozpoznawalnej marki w świecie motoryzacji, co utrudni zdobywanie rynku. Więc w razie kłopotów to polskie państwo będzie musiało podtrzymywać przy życiu fabrykę z naszych podatków.

Skąd więc pomysł powrotu do projektu Izery? Przecież nowa nazwa niczego nie zmieni. To wciąż będzie projekt piarowy, a nie biznesowy. Wygląda jednak, że kukułcze jajo podrzucone przez Morawieckiego Tusk świadomie postanowił wysiadywać. Bo narodowa marka aut – niech już będzie nawet elektrycznych – łechce dumę Polaków. Chcemy, by Polska była producentem elektryków, choć sami w większości wolimy auta na benzynę, a jeszcze lepiej na gaz LPG. Dlatego kiedy koalicja 15 października zaczęła przebąkiwać o zamknięciu projektu Izery, rozległy się głosy, że to sprawka niemieckich koncernów samochodowych, przestraszonych wizją polskiej konkurencji. Zamknięcie projektu Izery oznaczałoby akceptację 0,5 mld zł strat i zrodziłoby mit kolejnej straconej szansy wejścia Polski do świata wielkiej motoryzacji. No i co gorsza zostałoby skrzętnie wykorzystane przez spin doktorów PiS. Więc już lepiej wydać miliardy na budowę fabryki w Jaworznie, którą potem Foxconn zamieni na kolejne centrum danych AI.

Minister aktywów państwowych pytany, jaka będzie marka nowego polskiego samochodu elektrycznego, skoro Izera się skompromitowała, powiedział, że nie wie i być może zostanie w tej sprawie ogłoszony konkurs. Niech wypowiedzą się Polacy. W internecie pojawiły się już pierwsze propozycje. Nam najbardziej przypadła do serca marka Miś. „Wiesz, co robi ten miś? On odpowiada żywotnym potrzebom całego społeczeństwa”.

ADAM GRZESZAK

© ROBERT NEUMANN/FORUM

eprasa.pl 89a8166262



Sochaczew, ogólnopolski protest pracowników sklepów sieci Dino

Dino z winą

Imponujący rozwój sieci dyskontów Dino uczynił jej tajemniczego, nieznanego właściciela Tomasza Biernackiego jednym z najbogatszych Polaków. Przybywa głosów, że to sukces oparty na skrajnym wyzysku personelu i łamaniu prawa. To praca ponad siły, nadzorowana przez ciągły monitoring.

MARCIN PIĄTEK

Od poniedziałku pod centralą Dino w Krotoszynie trwa protest organizowany przez związek zawodowy OPZZ Konfederacja Pracy. Na koniec maja zapowiadany jest masowy strajk. W imieniu pracowników sieci związkowcy żądają poprawy fatalnych warunków pracy i podwyżki o 900 zł brutto. Jak na razie centrala przystała na 300 zł. – *Ale nie dali nam do podpisania aneksów zwiększających podstawę wynagrodzenia. Na rękę dostałam 260 zł, jako dodatek. Tylko żebyśmy, za przeproszeniem, mordy zamkły przed strajkiem* – mówi jedna z pracownic.

Mrożenie personelu

O warunkach pracy w marketach Dino zrobiło się głośno na początku roku. Już ponad 3 tys. sklepów tej sieci działa w całym kraju, goniąc lidera rynku dyskontów Biedronkę (3,8 tys.). Zimą przybywało zgłoszeń, że w sklepach jest jak w chłodniach. Według przepisów minimalna temperatura to 18 st. C. Najniższa odnotowana w markecie Dino w Skierniewicach wynosiła niewiele ponad 3 st. Tyle, ile w domowej lodówce. – *U nas było 8 st. Pracowałyśmy w kurtkach i czapkach. Najgorzej było na kasie. Nie dość, że człowiek się nie ruszał, to wiało od drzwi* – opowiada Aneta, zatrudniona do niedawna w jednym z marketów na Mazowszu.

Kierowniczka dyskontu w Sochaczewie Katarzyna Kiwerska wielokrotnie zgłaszała przełożonym problem z mrożeniem pracowników. Reakcji nie było. – *Jakieś trzy lata temu centralnie sterowana klimatyzacja zastąpiła system, który sami obsługiwaliśmy w markecie. Zapewniano, że to udogodnienie. Okazało się, że służy do cięcia kosztów ogrzewania. Nocami było wyłączane* – opowiada Kiwerska. Już nie pracuje, niedawno została zwolniona dyscyplinarnie za wpuszczenie do magazynu posła Adriana Zandberga, który przyjechał na własnej skórze odczuć mróz wiejący od Dino. – *Uważam zwolnienie za bezpodstawne, skierowałam sprawę na drogę sądową* – mówi była kierowniczka.

© KUBA ATYS/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 89a8166262

Poselska wizyta zmitygowała kierownictwo Dino, do marketu dostarczono nagrzewnicę. Jednocześnie na kontrolę warunków pracy w dyskontach sieci ruszyli urzędnicy Państwowej Inspekcji Pracy. Odwiedzili 461 marketów, w 136 przypadkach stwierdzono zbyt niską temperaturę, a w 24 niezabezpieczenie kas przed chłodem płynącym z zewnątrz. Procedura się wydłuża, ponieważ Dino Polska cofnęło kierownikom regionalnym sieci pełnomocnictwa do podpisywania protokołów pokontrolnych. I inspektorzy muszą wysyłać je do centrali firmy.

Pod koniec kwietnia odbył się w Dino dwugodzinny strajk ostrzegawczy. Skala była niewielka, na odwagę zebrało się pracownikom kilkudziesięciu marketów w całej Polsce. – *Zadziałała odgórna akcja zastraszania. Że udział w proteście może skończyć się uderzeniem po premiach albo nawet zwolnieniem. Rozpowszechniano nieprawdę, że strajkować mogą tylko członkowie związków zawodowych. A ludzie boją się o pracę. Wiele marketów Dino ulokowanych jest w niewielkich miejscowościach, gdzie nie ma dużego wyboru, jeśli chodzi o zatrudnienie* – dodaje Katarzyna Kiwerska.

Na pogróżkach się nie skończyło. – *W Radwanicach na Dolnym Śląsku zwolniono pracownicę, która w tym dniu miała wolne, ale przyjechała wesprzeć protestujące koleżanki. W uzasadnieniu podano: bezprawne opuszczenie stanowiska pracy. To kompletny absurd, wspieramy ją w walce o przywrócenie do pracy i odszkodowanie* – mówi Gabriela Kaim z NSZZ Solidarność.

Premie nie do zdobycia

Ile zarabia się w Dino? Szeregowi pracownicy dostają płacę minimalną, na rękę nieco ponad 3,6 tys. zł. – *Do tego jest stażowe, 100 zł brutto za każdy przepracowany rok. No i premie, teoretycznie co miesiąc, ale z tym bywa różnie* – mówi Marlena, zatrudniona od prawie ośmiu lat w małej miejscowości na Śląsku. Obecnie jest na zwolnieniu lekarskim i szuka intensywnie innej pracy, bo do marketu wracać nie zamierza. – *Dźwiganie daje w kość. Skrzynka z mięsem może ważyć dobre 20 kg, piętrzą się na palecie w stosy sięgające nad głowę. Na weekend przyjeżdża czasem nawet tona mięsa* – mówi.

Premia przysługuje za tzw. działy świeże, czyli wypadkową zysków ze sprzedaży i strat z działów mięsnego, warzywno-owocowego oraz kwiatów. – *W dobrych miesiącach bywało i 20 tys. zł na całą ekipę, czyli kilkanaście osób. O podziale tej premii decyduje kierownik sklepu. Jedni dzielą sprawiedliwie, ale inni wedle uznania, więc generalnie nie zaszkodzi wchodzić kierowniczce w tyłek. Byle nie podpaść, bo jak zwolnią i kierowniczka wystawi złą opinię, już się w innym Dino nie dostanie pracy* – dodaje Marlena.

W dobrych miesiącach wyciągała nawet ponad 5 tys. na rękę. W słabych – minimalną krajową. Słaby miesiąc jest wtedy, gdy się zachoruje. Nawet jeden dzień na zwolnieniu lekarskim oznacza, że wypada się z puli uwzględnianych przy premii. – *Nikt tego nie chce, sama nieraz byłam w pracy z gorączką. Koleżanki to samo* – mówi Marlena. Teoretycznie pracownikom przysługuje jeszcze premia operacyjna, od wyniku uzyskanego przez market. Katarzyna Kiwerska: – *Na jej wypłatę wpływa tyle czynników, że w praktyce jest nie do zdobycia. Poza tym z premii operacyjnej pokrywane są wszystkie naprawy: zbita szyba, zepsuta kasa albo lodówka, środki czystości. Również koszty ochrony. Ale firma się tego wystrzega, pracownicy sami mają zapobiegać kradzieżom i pilnować utargu* – opowiada.

Kierownictwo sklepów zarabia kilkaset złotych więcej od swoich podwładnych na kasach. Plus premie, uzależnione od tego, jak wypadają kontrole, kiedy sprawdza się zatowarowanie, ułożenie produktów na półkach, świeżość, aktualizację cen, ogólną estetykę w sklepie. – *Najlepszą premię dostałam coś koło 2 tys. Ale ostatnio kontrole robione są po to, żeby się przyczepić. I obciąć bonusy. Ingeruje się też w zamówienia, żeby opróżnić magazyn centralny. Mówiłyśmy na to „wyrzutki". Jak dostawało się ponad potrzeby, towar się psuł, straty rosły, premia cierpiała* – opowiada Beata, kierowniczka dyskontu z Wielkopolski.

Nad kierowniczką sklepu jest kierowniczka regionalna. – *Praca zadaniowa, czas nielimitowany. Miałam do ogarnięcia 18 sklepów. Wychodziłam z domu o szóstej rano, jechałam w teren i wracałam o 17. Jadłam obiad i siadałam do laptopa. Zamykałam go najwcześniej o 21. Byłam na smyczy, bo w umowie wpisano pełną dyspozycyjność telefoniczną. Świątek, piątek. Odeszłam po dwóch latach, miałam dość, a mąż jeszcze bardziej. W kółko się o tę pracę kłóciliśmy. Te 7 tys. na rękę, plus ewentualnie premie, nie było tego warte* – opowiada Julia, była kierowniczka w jednym z regionów. Teraz pracuje w biurze. Pieniądze mniejsze, ale od 16 ma czas dla rodziny.

Pracownicy Dino nie mogą liczyć na fundusz zakładowych świadczeń socjalnych. Choć prawo obliguje powołanie go w firmach zatrudniających powyżej 50 pracowników, kierownictwo Dino, w którym pracuje ok. 60 tys. osób, nic sobie z tego obowiązku nie robi. Pracownikom oferowane są pożyczki – maksymalnie 6 tys. zł na okres dwóch lat, potrącane z pensji. Pożyczek udziela firma PiK Finanse, część koncernu spod szyldu Dino. – *Na 8 proc., poza tym pracownik nie może odejść przed spłatą pożyczki. W ten sposób przywiązuje się go do firmy* – mówi Wojciech Jendrusiak z OPZZ Konfederacja.

Chętnych brak

Markety są czynne w godz. 6–22.30. Aneta: – *Poranną zmianę zaczyna się od 5.30. I od startu jest zapieprz. Trzeba ogarnąć cały wypiek, dział mięsny, kasetki z pieniędzmi, uruchomić kasy. Do 8.00 najpóźniej trzeba uwinąć się z towarem na warzywno-owocowym.* Marlena: – *Najgorszy jest weekend, wiadomo, ruch. I środa, bo we wtorek wieczorem jest zmiana gazetki z promocjami, trzeba porozklejać nowe ceny. W środy może wpaść kontrola i sprawdzić, czy ceny są aktualne. Jak nie, nagana, a gdy za dużo nagan, premia leci.*

Aneta: – *W Dino nie ma nocek, bo to za duży koszt dla firmy, więc się nie dorobi. Mamy się uwinąć z obowiązkami na swojej zmianie. Na tej wieczornej robi się inwentaryzację mięsa, warzyw i serów. Najgorzej, gdy zbiegnie się to z dostawą. Dino nie zatrudnia magazynierów, bo to też koszty. Kiedyś o 22 przyjechało ze 40 palet, a tylko ja miałam uprawnienia na wózek. Normalnie popłakałam się, ale kolega z koleżanką się zlitowali, zostali i mi pomogli. Wyszliśmy o 1.30. Bywa, że po takiej zmianie, gdy padasz na twarz, przychodzi esemes od kierowniczki, czy przyjdę na drugi dzień, bo kasjerka nawaliła. Myślisz, że kierowniczka będzie wdzięczna, przypomnisz jej przy premii. Więc idziesz.*

Wiele marketów zmaga się z permanentnymi dziurami w grafikach. Firma ratuje się pracownikami na telefon, ale ich dyspozycyjność pozostawia wiele do życzenia. – *Ludzie mają dość rzucania z miejsca na miejsce. Wieczorem dostają info, że są potrzebni dajmy na to w Grodzisku Mazowieckim. Rano, że jednak w Ząbkach, po drugiej stronie Warszawy* – mówi ▶

eprasa.pl 89a8166262

▶ Julia. Druga opcja: wysłać pracownika, teoretycznie przypisanego do jednego sklepu, w delegację. Instrukcje w tej sprawie regionalni dostają z góry, bo to góra ocenia na podstawie obrotów sklepu albo nagłego niedoboru w obsadzie załogi, gdzie trzeba skierować ludzi.

Rotacja w marketach jest ogromna. Tylko w 2025 r. z Dino odeszło 12,6 tys. pracowników, ponad 20 proc. zatrudnionych. Aneta: – *Bywały zmiany, które ogarniałyśmy we trzy, łącznie z kierowniczką. Jedna na mięsnym, druga na kasie, a trzecia latała jak poparzona między magazynem, biurem, półkami, kasą i niezadowolonymi klientami. A to był jeszcze tzw. sklep wysokoobrotowy! Powinno być w nim minimum sześć osób. Na dodatek jeszcze zwroty może robić tylko kierowniczka, to wydłuża obsługę.*

Gabriela Kaim z Solidarności: – *Pracownicy Dino muszą zostawać po godzinach, żeby uporać się z nadmiarem obowiązków. Stanowiska funkcyjne, np. zastępcy kierownika, pełnią pracownicy niższego szczebla. Rozliczają utarg, układają grafik, prowadzą zmianę, bo akurat są pod ręką. Nieraz dziewczyny dzwoniły do nas z płaczem, bo nie wiedziały, jak zrobić to czy tamto. Mamy wiele przypadków, że za te nadgodziny nie zapłacono. Wywalczyliśmy uregulowanie tych zaległości dopiero po pokazaniu dowodów, najczęściej zdjęć zrobionych przez pracowników z godziną zakończenia zmiany.*

Sieć chwali się imponującym rozwojem, tylko w pierwszym kwartale tego roku otwarto 62 nowe sklepy, cały czas poszukiwane są grunty pod kolejne. Ale zdarza się też, że otwarcie gotowego marketu się opóźnia, bo nie ma chętnych do pracy. Katarzyna Kiwerska: – *Nieraz słyszałam, że jeśli mi się nie podoba, na moje miejsce stoi kolejka chętnych. Być może problem z obsadą rosnącej liczby sklepów to sygnał, że pula chętnych do pracy w tak ciężkich warunkach się kurczy.* Gabriela Kaim: – *Notoryczne braki personelu w marketach Dino sprawiają, że pracownicy są skrajnie przeciążeni. Siadają im kręgosłupy, kolana, mają zespół cieśni nadgarstka.*

Ciągle na podglądzie

Nad wydajnością w marketach Dino czuwa monitoring. Zgodnie z Kodeksem pracy kamery mogą służyć tylko zapewnieniu bezpieczeństwa, ochronie mienia, kontroli produkcji. – *W Dino, niezgodnie z prawem, monitoring robi za bat. Regionalni dostają maile ze zdjęciami wykrytych nieprawidłowości. Trzeba wyłuskać swoje markety i wysłać uwagi do konkretnych sklepów, a potem sprawdzić reakcję i poinformować górę* – opowiada Julia. – *Czasem oglądający monitoring reagują na bieżąco. Miewałam telefony, że kolejka jest za długa* – dodaje Katarzyna Kiwerska.

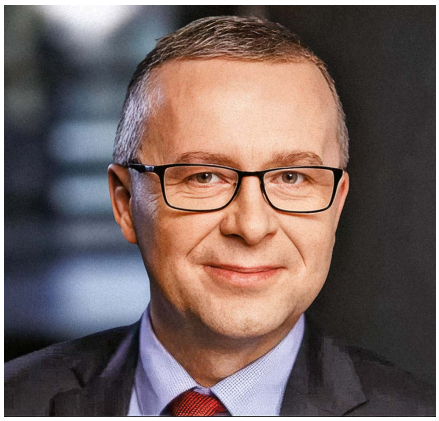

Tomasz Biernacki, szef sieci Dino

Przed okiem kamery nic się nie ukryje, Wielki Brat z Dino czuwa nieustannie. Pracownice marketów opowiadają, że uwiecznione na stopklatkach uwagi dotyczyły m.in. pustych półek, źle ułożonego towaru, zbyt wcześnie zwiezionych do marketu wózków (do zamknięcia pozostawały dwie minuty, przecież mógł się zjawić klient), nieodpowiedniego obuwia, braku cen, zbyt długiej przerwy, zbyt wolnej obsługi na kasie (dlaczego wbija kod, zamiast skanować?).

– *Od jakiegoś czasu wymaga się zeskanowania minimum 20 produktów na minutę. Gdy ktoś jest za wolny, pada polecenie, żeby go przenieść. Tylko kim go zastąpić? Do tej inwigilacji musi być potrzebna armia ludzi. Gdyby wydatki na nich przeznaczyć na inwestycje w pracowników z pierwszej linii i odciążyć aktualny personel, byłoby to dla firmy z większym pożytkiem* – uważa Katarzyna Kiwerska.

Cenny wyzysk

Obsesja nielegalnej kontroli pracowników może mieć źródło w paranoi założyciela sieci Tomasza Biernackiego, obecnie trzeciego najbogatszego Polaka (wg „Forbesa" jego majątek to ponad 22 mld zł). Nie pojawia się on publicznie, nie bywa w kręgach biznesowych, nie wiadomo, gdzie mieszka. Pytanie o niego w Krotoszynie kończy się odpowiedzią: „Nie widziałem człowieka na oczy". Pierwszy market otworzył w 1999 r. w Krotoszynie, a rodzinny biznes zaczął się od przetwórstwa mięsa. Obecnie zakładami mięsnymi, jednymi z największych w kraju, kieruje brat Tomasza, Wojciech. Przed dwoma laty portal money.pl opisał, że w mięsnym imperium Wojciecha Biernackiego mają miejsce samowole budowlane, bezprawnie pobiera się tam wodę, gnojowicę wylewa do rowów melioracyjnych, fermy powiększane są bez decyzji środowiskowych, a liczba hodowanego bydła jest większa od dozwolonej.

O Tomaszu Biernackim było głośno raz, kilkanaście lat temu. Sława była niechciana, bo przerosła go sztuka prowadzenia Ferrari. Uderzył w drzewo, ściął płot, znalazł się w szpitalu, ponoć obrażenia były poważne. Obecnie przyboczni miliardera pilnie strzegą jego dostępności, nie da się też skontaktować z nikim z kierownictwa ani z biura prasowego. Maile pozostają bez odzewu, wizyta w centrali w Krotoszynie wygląda tak: pani siedząca w niewielkiej recepcji wzywa doradców prawnych, po chwili zjawiają się kobieta z mężczyzną, informując, że w centrali nie ma nikogo, z kim można by porozmawiać na temat warunków pracy, jakie mają zatrudnieni w dyskontach, a biuro prasowe akurat dziś pracuje zdalnie. Trwająca kilkadziesiąt sekund rozmowa kończy się obietnicą, że ktoś odpowiedzialny za relacje z mediami się skontaktuje.

Ale kontaktu brak. Od ściany w centrali Dino odbijają się również związkowcy. Wojciech Jendrusiak mówi, że przedstawiciele firmy ignorują spotkania mediacyjne, a jeśli się zjawią, odmawiają podpisania protokołu rozbieżności.

Gdy stosowne instytucje badały przypadki łamania prawa na fermach Wojciecha Biernackiego, kończyło się na 500-złotowych mandatach. Maksymalny wymiar kary znajdującej się w gestii Państwowej Inspekcji Pracy za stwierdzone naruszenia to 30 tys. zł. – *Przeciętny mandat PIP w ubiegłym roku wyniósł 1,3 tys. zł. Prawda jest taka, że firmom opłaca się łamać prawa pracownicze. I jeszcze na tym zarabiają. Szacuję, że w ubiegłym roku na mrożeniu pracowników Dino mogło zaoszczędzić co najmniej 5 mln zł* – dodaje Wojciech Jendrusiak.

Dino, podobnie jak inne dyskonty rozlewające się po kraju, wycięło mniejsze sklepy. Biznes kręci się świetnie – zysk netto Dino Polska wyniósł w ubiegłym roku ponad 1,5 mld zł. Pracownice sieci mówią, że to fortuna zbudowana na skrajnym wyzysku.

MARCIN PIĄTEK

© FACEBOOK

eprasa.pl 89a8166262

Dla wielozadaniowców
Monitory interaktywne

SMART®



www.irs.com.pl

tel . + 48 602 336 341

eprasa.pl 89a8166262

Katastrofa po roku



To już rok, jak liberalny obóz zaliczył bolesną klęskę Rafała Trzaskowskiego. Trauma jednak minęła i życie potoczyło się dalej. Tyle że wyparcie przyczyn przegranej to prosta droga do tego, żeby następnym razem popełnić te same błędy.

RAFAŁ KALUKIN

Apokalipsa została odwołana. Rząd jakoś rządzi, koalicja jakoś stoi w sondażach. Fala prawicowego populizmu może i podtopiła kraj, ale nie wszystko znalazło się pod wodą. Z nowym prezydentem faktycznie nie ma lekko, ale wyprowadzane przez niego ciosy właściwie przestały boleć. A dodajmy jeszcze, że jego polityczny obóz właśnie przechodzi kryzys. Jeśli więc dobrze się zastanowić, to można dojść do wniosku, że po przegraniu ubiegłorocznych wyborów prezydenckich zrobiło się... lepiej. Ale czy na pewno?

Problemu nie widzi nawet ten, który osobiście najwięcej stracił. „Raz się wygrywa, a raz się przegrywa" – tak można streścić dwugodzinny wywiad z Rafałem Trzaskowskim, który ukazał się dwa miesiące temu na kanale popularnego Żurnalisty, odbijając się dosyć szerokim echem. Chociaż dźwigającego na własnych barkach brzemię porażki Trzaskowskiego akurat można zrozumieć. Jeżeli sam uderzy się w piersi, wszyscy wokół utwierdzą się w przekonaniu, że to wina kandydata, który był nie taki jak trzeba. Jeżeli zacznie rozliczać innych, ogłoszą z kolei, że facet nie umie przegrać z honorem. Lepiej więc już udawać, że nic się nie stało. Tylko że normalizacja porażki nigdy nie wyszła nikomu na dobre.

Po przegranej Trzaskowski zniknął z krajowej polityki, partyjnej hierarchii i wyobraźni wyborców. Dzisiaj można nawet odnieść wrażenie, że jest po prostu zalatanym samorządowcem, który przypadkowo kiedyś zabłądził na ścieżki wielkiej polityki. Chyba nigdy nie był w Warszawie tak widoczny jak teraz. Niedługo po wyborach otworzył na oścież swoje kanały internetowe i odtąd regularnie zalewa je świeżym towarem. Pokazuje tętniące życiem miasto, reklamuje nowe inwestycje, czasem skomentuje bieżącą politykę, zaprezentuje swój wypełniony książkami gabinet i opowie, co ostatnio przeczytał. Nawet fajnie się to ogląda. Trzaskowski jest swobodny jak za swoich najlepszych czasów i daje się lubić. Taki bardziej oczytany kumpel z podwórka, ale wciąż swojak, a nie zdystansowany „bążur".

© MARCIN OBARA/PAP

eprasa.pl 89a8166262

A nawet – cóż za zaskoczenie! – powraca w tym roku olsztyński Campus. W oryginalnej formule, czyli w końcówce lata i na wypasie. Nie jak rok temu jesienią, kiedy został zredukowany do wymiaru ogryzka i wydawało się, że to już łabędzi śpiew świetnej imprezy, bo właściwie po co dalej ciągnąć, skoro „projekt Trzaskowski" przeszedł do historii? Dobrze świadczy o jej gospodarzu, iż zebrał w sobie dość energii, żeby zaprzeczyć stereotypowi o wsobności klasy politycznej, która niczego nie robi bezinteresownie.

Ale ratusz trochę się mimo wszystko dziwi, po co to wszystko. Bo przecież zawsze był jakiś plan, pod który należało podporządkować aktywność prezydenta stolicy. Jedna kampania, walka o nominację, kolejna kampania... Tutaj wstrzymać inwestycję, żeby miasto nie stanęło w korkach, kiedy to może zaszkodzić. Tam przyspieszyć, żeby otworzyć na czas i przeciąć wstęgę.

A teraz właściwie nie wiadomo, w jakim celu Trzaskowski co jakiś czas zarządza krótkie zrywy, skoro to już druga jego kadencja, czyli najpewniej ostatnia. Zresztą, gdyby nawet jakimś cudem przeszła w Sejmie ustawa o zniesieniu dwukadencyjności w samorządach, jest dosyć wątpliwe, żeby chciał kolejny raz kandydować. A może obawiał się, że upadnie w referendum jego krakowski odpowiednik Aleksander Miszalski i wtedy również w Warszawie ujawnią się zachęceni przykładem tutejsi szatani? Po przegranej Miszalskiego na korytarzach ratusza nie czuć jednak lęku: wiadomo przecież, że stolica to liberalna skała.

Przy okazji rocznicy politycznej katastrofy 1 czerwca trudno mimo wszystko wyrzucić z pamięci tamte sceny. Końskie, które miały być potwierdzeniem dominacji wielkiego faworyta, utonęły w nerwach, chaosie, fatalnej organizacji, braku wyobraźni i kunktatorskiej taktyce. Dziwny wywiad z premierem Donaldem Tuskiem, który rozkłada przed dziennikarzem tajemnicze kartki i opowiada o tajemniczym człowieku z półświatka, chociaż właśnie rozpada się jego własne polityczne dominium. Wreszcie koszmarny wieczór wyborczy, na którym wypełniona po brzegi sala doznaje ekstazy po ogłoszeniu wstępnych wyników, chociaż każdy średnio obyty z polityką powinien zdawać sobie sprawę z tego, że niczego one tak naprawdę nie pokazują i raczej są złą wróżbą.

Ale tego wszystkiego jakby nie było, po roku straciło znaczenie. Nie odbyła się poważniejsza dyskusja o przyczynach klęski. Zamiast tego kompres na traumę w postaci teorii o sfałszowanych wyborach. No i błędny rycerz Szymon Hołownia, który urządził sobie nocną schadzkę z Jarosławem Kaczyńskim i szczęśliwie było na kim odreagować. Jeszcze tylko pospieszna „rekonstrukcja" rządu i można było zacząć zapasy z muskularnym przeciwnikiem, który wyraźnie pragnie wyrządzić nam krzywdę, ale krzepa nie idzie u niego w parze z politycznym rozumem...

W liberalnym obozie refleksja po klęsce zawsze jakoś przechodziła bokiem. W 2005 r. nikt nie pytał, po co było wyrzucać z kampanii Włodzimierza Cimoszewicza, który wiązał w rywalizacji Lecha Kaczyńskiego, wymuszając na nim logikę krucjaty przeciwko „postkomunizmowi". Absolutnie wówczas bezpieczną dla wysoko prowadzącego w sondażach Donalda Tuska. Dopiero po wymuszonej intrygą rezygnacji „postkomunisty" kandydat PiS dostał przestrzeń do przestawienia nowej osi podziału (Polska solidarna vs liberalna), co zepchnęło Tuska do liberalnej niszy. W szczęku nowej polaryzacji odpowiedzialność za błędną strategię natychmiast się jednak rozpłynęła.

A fatalny rok 2015? Najpierw to Bronisław Komorowski był winny, tylko że znając jego ułomności, ktoś jednak powinien otoczyć go opieką. A potem w wyborach parlamentarnych odium spadło na Adriana Zandberga, który zbyt dobrze wypadł w telewizyjnej debacie, oraz Ewę Kopacz, która okazała się zmienniczką niegodną wielkiego Tuska. Przy okazji dostało się również komentatorom, którzy od dawna ostrzegali, że formuła „ciepłej wody w kranie" wyczerpała się i należałoby coś zmienić w strategii. Ale taki u nas los posłańców złych wiadomości.

W 2020 r. już w ogóle nie było się z czego tłumaczyć, bo Trzaskowski wyszedł z tamtych wyborów jako ich moralny zwycięzca. Pandemiczne realia były w końcu trudne, a przede wszystkim całe pisowskie państwo zostało zaprzęgnięte w kampanię Andrzeja Dudy. Trzaskowski był natomiast rzeczywiście świetny, na wiecach wypełniał swoich zwolenników dawno niewidzianym entuzjazmem. Już wtedy można było poczuć klimat późniejszego Jagodna. I takiego Trzaskowskiego spodziewaliśmy się również w ubiegłym roku. Ale czy ktoś pamiętał ostatnią fazę tamtej pierwszej kampanii, już przed drugą turą, kiedy logika krzepienia serc ustąpiła miejsca logice walki o zwycięstwo? To był już inny Trzaskowski, bardziej usztywniony, spięty, ważący słowa, ostrożny w deklaracjach. I już nie tak przekonujący. Mniej więcej taki właśnie jak Trzaskowski sprzed roku.

Stłumienie refleksji posiada jednak logiczne uzasadnienie. Do pewnego stopnia wynika ono z przyjętej politycznej diagnozy. Otwarcie rozliczeń byłoby zaproszeniem do stawiania pytań nie tylko o formę Trzaskowskiego, ale też strategię jego kampanii. Jej esencją była przecież prawicowa mimikra, która sprawiła, że kandydatowi rozmazały się rysy twarzy. Ale jego polityczny mentor właściwie nadal robi to samo, tylko z lepszym efektem. Jest twardy jak stal w tradycyjnych prawicowych tematach, kiedy broni granicy albo prężу militarne muskuły. Oraz mięciutki jak puch, kiedy trzeba coś powiedzieć o polityce klimatycznej, transkrypcji związków jednopłciowych i innych tego typu sprawach. Skoro to nieźle działa, nie ma sensu stawiać pytań.

A poza tym polityka jest przecież brutalna i ,co do zasady, nie należy się mazgaić. Przeciwnik tylko czeka na okazję, żeby wykorzystać moment słabości i zaatakować. Toteż nie wolno zdejmować pancerza. A już na pewno nie próbować tego po wielkiej klęsce, kiedy morale tak ucierpiało. Może jutro, kiedy już się sprawy poukładają, szyki ponownie zostaną ustawione i zrobi się trochę bezpieczniej? Ale tak się jakoś dzieje, że mija kolejny dzień i znów jest dzisiaj. I nim się człowiek obejrzy, rusza kolejna kampania i znów trzeba stawiać kosy na sztorc.

Tylko że te kampanie są później zaskakująco powtarzalne. Czasem lepsze, czasem gorsze. Lepsze, kiedy „kierownikowi" podejdzie. Zbierze się w sobie przed wielką debatą z Kaczyńskim. Wścieknie na nieudolność bojarów, podwinie rękawy i osobiście objedzie Polskę tuskobusem. Pójdzie na czele Marszu Miliona Serc i przemówi, jak tylko on potrafi. No i gorsze, kiedy go nie ma i nic się wtedy nie klei. Ale teraz na szczęście jest z nami, więc nie trzeba się martwić na zapas. Na pewno coś wymyśli.

I tak już od ponad 20 lat. Kawał czasu się zmielił na tym samym patencie i dorosło nowe pokolenie. „Młodzi, dobrze wykształceni i z dużych ośrodków" pozostali bazą społeczną projektu, tyle że porobiły im się zakola i coraz częściej myślą ▶

eprasa.pl 89a8166262

▶ o nadchodzącej emeryturze. Już nie sposób określić ich mianem „aspirujących". Teraz aspirują ich dzieci, tylko do czegoś zupełnie innego. Przydałoby się do nowej sytuacji mimo wszystko dostosować.

To kwestia transgresji, czyli przekroczenia własnych ograniczeń – ale z zachowaniem ciągłości, bez zacierania dotychczasowej tożsamości. Niestety jak dotąd mieliśmy w Polsce tylko jedno prawdziwie elastyczne polityczne środowisko, czyli Prawo i Sprawiedliwość. Skądinąd jego przywódca często jest z tego powodu obśmiewany. Że przywdziewa kolejne maski, wypycha przed szereg miernoty, snuje te swoje bajki dla „ciemnego ludu" i wręcz się na nich fiksuje, a potem odkręca narrację o 180 stopni i znów to samo. Wszystko u niego jest takie sztuczne, wyrachowane i zarazem toporne.



Wieczór wyborczy, wypełniona po brzegi sala w ekstazie po ogłoszeniu wstępnych wyników. Wkrótce nadeszło gorzkie rozczarowanie.

Jarosław Kaczyński oczywiście nigdy nie był aż takim demiurgiem, jakim malował go jego własny obóz. Zresztą już nawet nie maluje, o dzisiejszym Kaczyńskim być może nie warto wspominać. Nie o prezesa jednak chodzi, tylko o jego rozumienie istoty skutecznej polityki, która nie powinna ograniczać się do reagowania na fakty, tylko musi je sama kreować. Kiedy pole gry robi się za wąskie, należy je poszerzyć albo poszukać innego.

Już afera Rywina sprzed lat, która zmieniła wszystko, była ważną lekcją. Wszyscy zachwycali się wtedy błyskotliwym sejmowym śledczym Janem Rokitą, ale tak naprawdę to Kaczyński stworzył wtedy opowieść o gnijącej III RP i na koniec wygrał wybory. Dekadę później wszyscy dziwili się, po co tak głęboko brnie w smoleńskie fantazje, ale kiedy zaczęła się kampania, przekręcił wajchę i obiecał ludziom 500 plus do ręki. Mądrale znów pukali się w czoło, ale Polacy mu uwierzyli i Polska kolejny raz stała się inna. Być może kolejnego takiego manewru w wykonaniu kurczącego się prezesa już nie zobaczymy, ale to nie ma znaczenia, bo nasze czasy mają już inne reguły gry.

Napędzane w głównej mierze zmianą technologiczną, która coraz silniej odkształca dotychczasowe modele polityczności, zerując nagromadzone przez lata doświadczenia i nawyki. Błędem jest redukowanie jej znaczenia do samych tylko narzędzi, bo tak naprawdę jest to wielka rewolucja świadomości.

W ubiegłorocznej kampanii mieliśmy Krzysztofa Stanowskiego i jego Kanał Zero, który namieszał w kampanii dużo bardziej niż pozostałe media razem wzięte. Ale zanim do tego doszło, jeszcze na samym początku kampanii Trzaskowski zorganizował nieformalne spotkanie dla dziennikarzy. Oczywiście tych z tradycyjnych mediów, bo obowiązywało jeszcze tradycyjne myślenie. Padło wtedy pytanie, czy pójdzie do Kanału Zero, jeżeli będzie taka propozycja. Dosyć gniewnie się zaperzył, że ludzie przyzwoici pewnych miejsc nie odwiedzają. Cóż, jako ostatni z kandydatów on też rozmawiał ze Stanowskim. Tylko że wtedy była to już jedynie próba zerwania łatki tłustego kota, który przestał nadążać za ruchliwymi myszami.

Ale czy w przyszłym roku Kanał Zero znów stanie się tak ekscytujący? Zapewne utrzyma duże zasięgi, więc warto go wpisać do strategii. Jeśli jednak szukać nowej czarnej dziury w politycznej galaktyce, po której przekroczeniu otwierają się nowe światy, to już nie tam. Prędzej w narzędziach sztucznej inteligencji, które już teraz przenikają do polityki, ale na razie to tylko uwertura przed tym, co nieuchronnie nadejdzie.

Tylko że to narzędzie nieuregulowane i szalenie niebezpieczne. Coś w rodzaju politycznej broni masowego rażenia. Trzeba umieć się przed tym bronić, ale też w razie potrzeby użyć ofensywnie.

Rok po przegranych wyborach prezydenckich panuje chwiejna równowaga. Dla świata liberalnego, przywykłego do zarządzania teraźniejszością, to zwykle stan najgorszy z możliwych. Bo pozwala cieszyć się złudzeniami: sondaże nie dają może wielkiego powodu do optymizmu, ale do załamywania rąk też nie. Prezes politycznie słabnie, niedawny protegowany robi mu kipisz w obejściu, trzy prawice nie potrafią się dogadać, pałacowemu bokserowi trochę obtarły się pięści, a jego bogaty wujek z Ameryki stał się chodzącą kompromitacją, choć ostatnio znowu wyciągnął do prawicy rękę w postaci „5 tys. żołnierzy". Warto więc docenić naszą małą stabilizację, kiedy tamci mają gorzej. A za rok, wiadomo, kolejne „najważniejsze wybory w III RP". I jak zawsze – szabel nam nie zabraknie, liberalna szlachta na koń siędzie, z „kierownikiem" na czele i jakoś to będzie.

Albo i nie. Od wygranej Nawrockiego mecz toczy się przecież na wyjeździe, czyli w imaginarium prawicy. Na złą pogodę nie ma jednak lepszej rady jak ukryć się pod parasolem i czekać na przejaśnienie. Może więc do tego czasu druga strona przedawkuje swoje szaleństwo, z trzeszczącego w szwach budżetu coś fajnego uda się mimo wszystko wyskrobać? Netflix odciągnie uwagę młodych jakimś nowym serialem albo populiści przegrają we Francji? Trzeba myśleć pozytywnie i nie rozsiewać defetyzmu. A co było rok temu, najlepiej puścić w niepamięć...

A może właśnie nie puszczać, tylko wykorzystać rocznicę i przypomnieć sobie tamten ból głowy? Ku przestrodze, żeby tym razem spróbować zrobić to wszystko inaczej. Nie liczyć na cud, a tym bardziej nie czekać z kołataniem serca, czym przeciwnik może nas tym razem zaskoczyć. Zamiast tego chociaż raz jego pierwszego wprawić w zdumienie. Ale żeby to się powiodło, trzeba najpierw wydostać się z pułapki teraźniejszości. Ocenić to, co nie wyszło za poprzednim razem i wyciągnąć wnioski na przyszłość. Bo chociaż politykę robi się tu i teraz, jej rozstrzygnięcia zawsze nadchodzą jutro.

RAFAŁ KALUKIN

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 89a8166262

Gdzie nauka pieniędzy szuka

Marcin Kulasek, minister nauki i szkolnictwa wyższego, o tym, kto powinien dawać pieniądze na naukę i o swoim poparciu dla protestujących badaczy.



© PAP/RAFAŁ GUZ

Dr inż. **Marcin Kulasek** w poprzedniej kadencji Sejmu przewodniczył Komisji Edukacji, Nauki i Młodzieży. Od grudnia 2023 r. był sekretarzem stanu w Ministerstwie Aktywów Państwowych. 17 stycznia 2025 r. objął tekę ministra nauki i szkolnictwa wyższego. Jest także sekretarzem generalnym Nowej Lewicy.

KATARZYNA CZARNECKA: **– Naukowcy protestują pod Sejmem. Pod petycją „3 proc. dla nauki, 100 proc. dla Polski", w której domagają się wyższego finansowania nauki, a co za tym idzie, większych pieniędzy na badania i godnych warunków dla studentów i doktorantów, podpisało się kilkanaście tysięcy osób, popierają ją Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich czy Związek Nauczycielstwa Polskiego. A pan?**

MARCIN KULASEK: – Jeśli chodzi o konieczność wzrostu nakładów na naukę, w pełni zgadzam się z postulatami środowiska i robię wszystko, by tak się stało. Trzeba jednak powiedzieć wprost: sytuacja budżetu jest dziś bardzo trudna, wydatki na obronność znacząco go obciążają. Nie podzielam jednak podejścia opartego na fałszywej alternatywie „albo jedno, albo drugie" – inwestycje w naukę również wzmacniają bezpieczeństwo państwa.

Jeszcze w poprzednim roku zapowiadałem, że postaram się o zmiany w budżecie na 2026 r. i – w stosunku do pierwotnego limitu – udało się zwiększyć budżet o łącznie 400 mln zł.

Badacz z doktoratem z fizyki w PAN zarabia nieco ponad 4800 zł brutto. Doktoranci dostają 3466 zł brutto przez pierwsze dwa lata, i to bez umowy o pracę.

Wiem i powtarzam to jak mantrę, ale to są wieloletnie zaniedbania. Doktorant nie powinien wybierać między nauką a biznesem tylko dlatego, że w nim dostanie na start dwa lub trzy razy więcej. Choć resort nie ustala bezpośrednio każdej pensji, to jako rząd zaczęliśmy realne zmiany w tym zakresie. Zrealizowaliśmy obietnicę 30 proc. podwyżki dla kadry akademickiej w 2024 r., a w budżetach na lata 2025 i 2026 zagwarantowaliśmy podwyżki w wysokości odpowiednio 5 i 3 proc. To realnie o ok. 40 proc. więcej niż w 2023 r., gdy objęliśmy rządy. W tym roku zwiększyłem wysokość subwencji dla uczelni publicznych oraz o ponad 40 mln zł dla instytutów naukowych Polskiej Akademii Nauk i Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie. Z kolei łączny wzrost subwencji dla uczelni to ponad 586 mln zł. Środki te są przeznaczone na podwyższenie wynagrodzeń pracowników średnio o 3 proc. ze skutkiem ▶

eprasa.pl 89a8166262

▶ od 1 stycznia tego roku. Walczymy też o trzynastki dla pracowników instytutów PAN, co dałoby kolejne 8,5 proc. podwyżki w skali roku.

Jeśli chodzi o doktorantów, w nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym dążymy do tego, by ich sytuacja finansowa się poprawiła. Sam pamiętam swoje studia doktoranckie: dostawałem 550 zł stypendium, z czego 350 zł kosztował akademik. Gdyby nie pomoc rodziców i granty, nie utrzymałbym się sam. Rozumiem doktorantów, chcemy, aby ich finansowanie było realistyczne.

To rzeczywiście nieprzyzwoite, że w miejscach, gdzie uprawia się naukę, wciąż obowiązują „śmieciówki".

To prawda, ale ten etap właśnie się zamyka. Resort ministry Agnieszki Dziemianowicz-Bąk zapewnia, że czas „śmieciówek" dobiega końca – zastąpią je normalne umowy o pracę. Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego nie ustala indywidualnych umów o pracę, ale działamy na rzecz eliminowania umów śmieciowych na uczelniach i w instytutach.

Ale wciąż – mimo tych wszystkich starań – wydajemy na naukę ledwie 1,02 proc. PKB?

Cel to 3 proc. na badania i rozwój, ale to niestety dłuższa perspektywa. Średnia unijna to 2,2 proc. PKB. Przy zmianie sytuacji geopolitycznej jesteśmy w stanie – mam nadzieję – osiągnąć ją szybciej, niż się wydaje.



Są jakieś podstawy do tego optymizmu?

Są. Pomimo niezwykle napiętej sytuacji budżetowej udało nam się już zwiększyć budżet o wspomniane wcześniej 400 mln; 280 mln przesunęliśmy z budżetów kancelarii, a kolejne 120 mln udało się znaleźć na końcowym etapie prac nad ustawą budżetową. Do tego dochodzi uzyskane w ubiegłym roku 75 mln na Narodowe Centrum Badań Jądrowych i reaktor Maria, by zapobiec jego zamknięciu. Łącznie daje to kwotę 475 mln zł. Udało się wyasygnować również dodatkowe 200 milionów na poprawę bezpieczeństwa na uczelniach.

Oczywiście to nie wystarczy – wnioskowaliśmy o 3,6 mld więcej w stosunku do 2025 r. Prowadzimy więc rozmowy z Ministerstwem Obrony Narodowej, które dysponuje największymi środkami – 200 mld zł – i jako jedyny resort ma zapis, że może przeznaczyć 1 proc. budżetu na badania i rozwój. Łatwo policzyć, że to 2 mld zł, czyli ponad połowa tego, czego nam brakuje.

Które jeszcze resorty powinny mieć taki zapis?

Moim zdaniem wszystkie, bo żaden nie poradzi sobie bez pracy naukowców i badaczy. Ministerstwo Zdrowia potrzebuje analiz medycznych, MON wojskowych, a Ministerstwo Rolnictwa – badań związanych z rozwojem sektora agro.

Pracujemy nad nowelizacją, którą nazywamy roboczo „wszyscy dla wszystkich". Chcemy, aby każdy minister mógł przekazać pewne środki na badania w swoich resortowych instytutach. Apelujemy o to i rozmawiamy z Ministerstwem Finansów.

Na jakim etapie są te negocjacje?

Wprowadziliśmy taki zapis do ustawy o NCBR, którą niestety pan prezydent zawetował. Wyłączyliśmy ten zapis i obecnie procedujemy go w nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym. Prowadzimy też rozmowy z Ministerstwem Aktywów Państwowych. Chcemy, aby spółki Skarbu Państwa przeznaczały część dywidendy na projekty badawcze.

Jestem po kolejnym spotkaniu z ministrem Domańskim. Rozmawialiśmy o wzmocnieniu Funduszu Polskiej Nauki. Proponujemy, aby fundusz był zasilany również z wpływów z obligacji emitowanych przez BGK, stanowiących równowartość 1 proc. wpływów z podatku od osób prawnych. To stabilne rozwiązanie, które pozwoliłoby budować silniejsze zaplecze dla badań. Na ten fundusz mogłyby wpłacać środki takie firmy, jak Orlen czy KGHM. Orlen zresztą podpisał już z Siecią Badawczą Łukasiewicz porozumienie o współpracy, m.in. w zakresie szkolenia kadr dla przyszłych małych reaktorów jądrowych (SMR), które mają powstać np. w okolicach Włocławka.

Nie chcemy jednak, aby każda uczelnia podpisywała z Orlenem osobne umowy. Model ma być prosty: stworzymy platformę grantową, w której startują uniwersytety, politechniki czy instytuty PAN.

31 maja ma się zakończyć podpisywanie kontraktów z firmami na zlecenia finansowane z programu SAFE. Technologie zbrojeniowe mogą być przecież rozwijane na uczelniach. Ma pan jakiś pomysł na to, żeby naukowcy na SAFE skorzystali?

Mam doświadczenie w funkcjonowaniu podobnych mechanizmów z okresu pracy w MAP. W podobny sposób zabezpieczyliśmy 3 mld zł na Polską Fabrykę Amunicji. Dzięki temu amunicję 155 mm do armatohaubic Krab będziemy mogli produkować w całości u siebie.

Już dziś np. Polska Grupa Zbrojeniowa prowadzi prace badawczo-rozwojowe w oparciu o polskie instytuty badawcze. Moim zdaniem konieczne jest usankcjonowanie zasady, że co roku konkretny procent budżetu obronnego musi być przeznaczony na badania przy udziale polskich uczelni i instytutów.

Minister Domański przypomniał ostatnio, że biznes prywatny niechętnie inwestuje w naukę. Jak pan sądzi, dlaczego?

Odpowiedzialność rozkłada się tu na wiele podmiotów – przedsiębiorstwa, uczelnie i instytuty, ministerstwo. W tym zakresie udało nam się pchnąć sprawy do przodu. Właśnie zaprezentowaliśmy rekomendacje zespołu ds. transferu technologii, w którym jedna trzecia to przedstawiciele biznesu reprezentujący odnoszące sukcesy spółki technologiczne, jedna trzecia naukowcy, w tym dziekani i rektorzy, jedna trzecia eksperci od współpracy nauki z biznesem.

Transfer wyników badań naukowych do gospodarki wymaga otwarcia nowych ścieżek działania dla naukowców. W ub.r. uruchomiliśmy np. wart niemal 300 mln zł program „Science4Business".

Za pana poprzednika pojawił się pomysł, by uczelnie w mniejszych ośrodkach tworzyły konsorcja naukowe. Co z tą inicjatywą?

W nowelizacji ustawy chcemy zawrzeć zapisy promujące łączenie podmiotów, a także federalizacje uczelni. Nie powinno być tak, że dwie mniejsze uczelnie położone blisko siebie prowadzą identyczne kierunki i w dobie niżu demograficznego konkurują o tych samych studentów.

Mamy już sygnały, m.in. z Wielkopolski, że niektóre mniejsze szkoły chcą się stać filiami większych ośrodków. To czysty zysk dla studentów: rektor dawnej szkoły zawodowej zostaje prorektorem dużej uczelni, a absolwent kończy prestiżowy uniwersytet czy politechnikę, nie wyjeżdżając z rodzinnego miasta. To kluczowe dla osób, których nie stać na studia w Warszawie czy Krakowie.

Takie uczelnie nadal będą odpowiadać na lokalne potrzeby gospodarcze. Jeśli region potrzebuje inżynierów budownictwa,

eprasa.pl 89a8166262

szkoła się pod to organizuje, a my – poprzez Polską Komisję Akredytacyjną – dbamy, by standardy kształcenia były zachowane. Jako osoba z mniejszego ośrodka jestem strażnikiem przetrwania tych placówek. Musimy przygotować je na nadchodzący niż demograficzny, by utrzymały się na rynku.

To też rola popularyzacji: musimy walczyć z trendem, który znamy już ze Skandynawii, gdzie młodzi ludzie rezygnują ze studiów na rzecz szybkiego zarobku. Trzeba pokazywać, że wykształcenie i nauka wciąż są ważne. Obecnie mamy prawie 1,3 mln studentów i chcemy, by ta liczba nie spadła drastycznie.

2026 nazwali państwo rokiem popularyzacji nauki. Rzeczywiście – publiczny obieg rzetelnych informacji naukowych jest rachityczny.

Zgoda. Polscy naukowcy realizują wiele projektów, o których mało kto wie. Do tej pory często importowaliśmy kompetencje i innowacje z zagranicy, a później okazywało się, że podobne rozwiązania zostały już opracowane w kraju.

W przypadku nauk technicznych popularyzacja wydaje się prostsza niż np. humanistycznych.

Tak, choćby z powodu sukcesów współpracy z przemysłem zbrojeniowym. Powstał bojowy wóz piechoty Borsuk, który chcą kupować od nas inne kraje. Są polskie przenośne zestawy rakietowe Piorun, które sprawdziły się podczas walk w Ukrainie. Oba projekty dofinansowało podległe nam Narodowe Centrum Badań i Rozwoju.



Polska humanistyka jednak także ma zasługi, widoczne szczególnie w kontekście tej wojny – mowa choćby o zapobieganiu dezinformacji.

Co chcecie uzyskać w tym roku?

Potrzebne są rozwiązania systemowe, m.in. wprowadzenie popularyzacji nauki jako elementu oceny działalności naukowej. Projekt został już zgłoszony do wykazu prac legislacyjnych i programowych Rady Ministrów. Trzeba to jednak jasno zrozumieć: nie chodzi tu o nakładanie obowiązków na konkretnego badacza. Za upowszechnianie wiedzy ma odpowiadać nie naukowiec jako jednostka, lecz uniwersytet czy instytut PAN.

I tak jednak skupi się na naukowcach. A nie każdy może być popularyzatorem. Nie powiem za prof. Koziołkiem, że wszyscy naukowcy to „łagodni socjopaci", ale bywają i tacy. Zmuszanie ich do wychodzenia do ludzi mija się z celem. Jeśli rektor będzie chciał, aby popularyzacja działała dobrze, będzie „wykorzystywał" tych pracowników, którzy mają do tego odpowiednie predyspozycje. A oni będą poświęcali czas na popularyzację zamiast na pisanie punktowanych artykułów?

Podmioty ani naukowcy nie będą raportować każdej aktywności. To jednostka wybierze tych kilka najistotniejszych i podda je ocenie. System jest prosty i – mam nadzieję – spowoduje systemową zmianę podejścia do popularyzacji.

Z tym wiąże się sprawa, za którą także ostatnio dostajecie po głowie: nowa lista czasopism punktowanych. Pojawiają się głosy, m.in. prof. Dariusza Jemielniaka, że podwyższanie punktacji krajowym tytułom to ochrona „szarej strefy nauki pozorowanej" i osób, których dorobek nie miałby wartości w międzynarodowym obiegu. Jak by pan to obronił?

Kolokwializmem: kawa nie wyklucza herbaty. Nikt nie robi zamachu na możliwość publikowania w prestiżowych zagranicznych czasopismach. Wiemy, że to one pozwalają polskiej nauce wypłynąć na szerokie wody. Jednak nauka nie może być jednojęzyczna. Chcemy podnieść rangę polskich czasopism, zwłaszcza tych, które obok języka polskiego publikują w języku angielskim, a także tym polskim periodykom, które przeszły restrykcyjne kryteria i są w renomowanych bazach. Po co nam język polski? Wracamy tu do popularyzacji. Umowny inżynier budownictwa, który chce się zapoznać z nowymi rozwiązaniami w swojej dziedzinie, prędzej sięgnie po fachowe czasopismo w ojczystym języku niż po anglojęzyczny periodyk. Chcemy, aby dorobek naszych badaczy był dostępny nie tylko dla innych naukowców na świecie, ale i dla zwykłych obywateli czy profesjonalistów w kraju.

Stawiamy na polskie tytuły także dlatego, że niektóre z nich – mające czasami stuletnie tradycje – zostały skrzywdzone przez moich poprzedników, bo nie pasowały do konkretnego obrazu ideologicznego. Co ważne, to rozwiązanie systemowe i środowiskowe. Listy nie będą układać urzędnicy ani minister, lecz Komisja Ewaluacji Nauki (KEN) z pomocą ekspertów z poszczególnych dyscyplin mających status członków komitetów naukowych PAN. Jest to gremium eksperckie dużo szersze niż w przeszłości i wybrane przez samo środowisko naukowe. Proces będzie transparentny, a jeżeli KEN zaproponuje podwyższenie lub obniżenie punktacji, uzasadnienie będzie jawne.

A nie obawiacie się, że 200 pkt przyznane polskiemu czasopismu za tekst po polsku stanie się drogą na skróty, by zrównać się z najważniejszymi światowymi tytułami?

Nikt nie mówi, że polskie czasopismo publikujące wyłącznie po polsku otrzyma od razu tyle samo punktów co „Science". Czasopisma funkcjonują w różnych dyscyplinach. Porównywanie „Science" czy „Nature" z wybranym polskim wybitnym czasopismem to mit podbijany przez osoby, które nawet nie pofatygowały się na spotkania informacyjne organizowane przez resort, a w tych uczestniczyło ponad tysiąc osób ze środowiska.

Co z innymi pomysłami pana poprzednika? Na przykład z przyznaniem dyrektorom instytutów głosu w Zgromadzeniu Ogólnym PAN? To budziło duże emocje.

Przez długi czas instytuty i prezydium PAN nie mogły znaleźć wspólnego języka z kierownictwem ministerstwa. Impas był naprawdę poważny. W końcu jednak doszło do rozmów. Strony uzgodniły rozwiązanie, w którym dyrektorzy instytutów są obecni na posiedzeniach Zgromadzenia Ogólnego. Uzgodniono także wejście do Prezydium PAN reprezentacji dyrektorów instytutów.

A czy uboga polska nauka może liczyć na jakieś większe środki unijne?

Tu muszę wspomnieć o ważnym sukcesie naszej prezydencji, która zakończyła się 30 czerwca 2025 r. W marcu 2025 r., pod moim kierownictwem jako ministra prowadzącego obrady, spotkaliśmy się w Warszawie z reprezentantami wszystkich 27 państw UE. Efektem tych rozmów jest przełomowa Deklaracja Warszawska. Pamięta pani spór komisarz Zaharievy z Ursulą von der Leyen? Chciano wtedy zabrać część środków z programu Horyzont Europa. Gdyby nie nasza inicjatywa, budżet na badania i rozwój w latach 2028–34 byłby mniejszy niż ten obecny. Teraz na stole jest 175 mld euro, wcześniej planowano zaledwie 90 mld, więc to jest wielki sukces polskiego rządu. Otworzyliśmy drzwi, przez które polscy badacze muszą teraz odważnie przejść.

ROZMAWIAŁA KATARZYNA CZARNECKA

eprasa.pl 89a8166262



Od lewej: **Mateusz Trojan** – dziennikarz, mąż Jakuba Cupriaka-Trojana. Poznali się w 2006 r. w Warszawie, ślub wzięli w 2018 r. w Berlinie. **Jakub Cupriak-Trojan** – mąż Mateusza Trojana. Z wykształcenia prawnik i pszczelarz, miłośnik gór.

Pierwsi mężowie

Ślub w Niemczech to nie był wybór, tylko okupiona wieloma komplikacjami konieczność – mówią Mateusz Trojan i Jakub Cupriak-Trojan, pierwsze uznawane przez Polskę małżeństwo jednopłciowe.

MATEUSZ WITCZAK: **– Ulżyło?**

MATEUSZ TROJAN: – Nie wiem, czy to najwłaściwsze słowo. Nie czekaliśmy na wynik badania histopatologicznego, tylko na transkrypcję aktu małżeństwa. Nasze życie ani zdrowie od tego nie zależało, trudno więc mówić o uldze, raczej o satysfakcji. Wygraliśmy i jesteśmy zadowoleni.

Co właściwie musi zrobić jednopłciowa para z Polski, aby wziąć ślub w Niemczech?

JAKUB CUPRIAK-TROJAN: – Dokładnie to, co para różnopłciowa: złożyć w niemieckim urzędzie stanu cywilnego odpisy aktu urodzenia, zaświadczenia o stanie cywilnym oraz o adresie zamieszkania. W następnym kroku trzeba osobiście zgłosić urzędnikowi zamiar zawarcia małżeństwa i ustalić termin ceremonii.

A co musi zrobić para jednopłciowa, aby Polska uznała ślub zawarty w Niemczech?

JCT: – Przede wszystkim wrócić do kraju z zagranicznym aktem małżeństwa, przetłumaczyć go u tłumacza przysięgłego oraz złożyć wniosek o transkrypcję w urzędzie stanu cywilnego.

Ten dotychczas, również w waszej sprawie, odmawiał wpisu. Utrudniał także parom LGBT+ zmianę nazwiska, o czym mówiła w polityce.pl poetka Patrycja Sikora-Tarnowska.

JCT: – Zmiana nazwiska, która nie wiąże się z zawarciem małżeństwa, to osobna sprawa. Mamy w Polsce ustawę o zmianie imienia i nazwiska, a jedną z przesłanek do takiej zmiany jest faktyczne używanie innego nazwiska. Korzystają z tego np. artyści, którzy funkcjonują pod zmienionymi personaliami, ale również pary jednopłciowe.

Sikora-Tarnowska twierdzi, że łatwiej jej było wziąć ślub w Danii, niż zmienić nazwisko w Polsce. To rzeczywiście takie trudne?

© KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 89a8166262

JCT: – My byliśmy w wyjątkowej sytuacji, ponieważ mam również obywatelstwo niemieckie. Po prostu przedłożyłem w tutejszym urzędzie swój niemiecki paszport i złożyłem wniosek o zmianę mojego nazwiska w Polsce, by nie było rozbieżności między danymi w obu państwach.

Skoro już mowa o rozbieżnościach: Miłosz Przepiórkowski z Koalicji Przeciw Homofobii twierdzi, że ponieważ Polska nie uznaje zawartych za granicą małżeństw, przyzwala de facto na bigamię. Bo on i jego mąż mogliby wziąć śluby z kobietami.

MT: – Wiele osób powtarza ten przykład, bo jest on bardzo efektowny... Jest też niestety nieprawdziwy, bo Polska uznawała dotychczas związki tej samej płci, tyle że w ograniczony sposób: małżonkowie nie mieli praw wynikających z zawarcia małżeństwa, ale nie mogli też ożenić się lub wyjść za mąż po raz kolejny. Po prostu osobom z takich par nie wydawano zaświadczeń o zdolności do zawarcia małżeństwa.

JCT: – Ciekawsze problemy wiążą się jednak z prawem prywatnym międzynarodowym, które określa, co się dzieje w przypadku kolizji norm prawnych dwóch państw, czyli np. przed jakim sądem para może się rozwieść. Dotychczas łatwo było wziąć ślub za granicą, ale małżonkowie mogli mieć problem z rozwodem. Polska ich małżeństwa nie uznawała, nie mogli się więc w niej rozwieść, jeżeli zawarli małżeństwo np. w Portugalii. Ale nie mogli się też rozwieść w Portugalii, bo tam nie mieszkali. Rozwiązaniem była wspólna przeprowadzka albo do Portugalii, albo do innego państwa uznającego małżeństwa osób tej samej płci. Pobyt turystyczny w takim wypadku nie wystarczył.

MT: – Dlatego właśnie tak bardzo nie podoba mi się forsowane przez niektórych polityków określenie „weekendowe małżeństwa", które uważam za niesmaczne, kojarzy się ono z pijackim wypadem do Las Vegas. Tymczasem dla nas i dla innych par ślub w Niemczech to nie był żaden wybór, tylko okupiona wieloma komplikacjami konieczność. W Polsce nie mieliśmy innej możliwości zabezpieczenia swoich praw.

Co działo się z waszą sprawą po złożeniu w USC wniosku o transkrypcję?

JCT: – Kierownik urzędu odmówił dokonania wpisu, powołując się m.in. na art. 18 konstytucji („Małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej" – przyp. red.), ale także na przepisy Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego. Razem z Mateuszem odwołaliśmy się od jego decyzji do wojewody, który także nam odmówił. Na decyzję wydaną w drugiej instancji można złożyć skargę do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego (WSA), co też zrobiliśmy. A gdy podtrzymał on decyzję wojewody, zaskarżyliśmy wyrok do Naczelnego Sądu Administracyjnego.

Ten zaś zadał pytanie prejudycjalne Trybunałowi Sprawiedliwości w Luksemburgu.

JCT: – Od początku było dla nas jasne, że do naszej sprawy stosuje się prawo Unii Europejskiej. Nasza wyjątkowa sytuacja polegała na tym, że staraliśmy się o transkrypcję jako pierwsza polska para, która ewidentnie korzystała ze swobody przemieszczania się i pobytu w UE, z tą swobodą wiąże się prawo do zamieszkania, pracy czy nauki w innym państwie członkowskim. Dlatego też dopiero w naszej sprawie NSA zadał pytanie prejudycjalne.

Urzędy i sąd nie brały tych argumentów pod uwagę, ewentualnie próbowały zbić je twierdzeniem, że prawo UE nie ma zastosowania do naszej sprawy, ponieważ prawo rodzinne należy do zakresu kompetencji państw członkowskich.

TSUE orzekł, że owszem, prawo UE ma tu zastosowanie. W uzasadnieniu tego wyroku czytamy: „Odmowa transkrypcji może powodować poważne niedogodności administracyjne, zawodowe i prywatne, zmuszając małżonków do życia w państwie członkowskim, z którego pochodzą, jak osoby stanu wolnego". Jakie to niedogodności?

JCT: – Dotychczas małżonkowie LGBT+ nie mogli w Polsce objąć się nawzajem ubezpieczeniem zdrowotnym, nie mieli prawa do renty wdowiej, nie mogli korzystać ze wspólnoty majątkowej, rozliczać wspólnie podatków, nie przysługiwało im też wiele zwolnień i ulg, np. w zakresie podatku od darowizn albo spadku. W polskim prawie byliśmy dla siebie obcymi osobami, które często nie mogły nawet zadecydować o pogrzebie partnera lub partnerki.

Dwa lata temu „Newsweek" opisał historię Krzysztofa, którego partner zmarł nagle podczas wakacji we Włoszech. Choć byli razem 15 lat, Krzysztof nie mógł sprowadzić ciała Łukasza do Polski – urzędnicy uznali go za osobę postronną.

JCT: – W ustawie o cmentarzach i chowaniu zmarłych figuruje katalog osób uprawnionych do dokonania pochówku. Na pierwszym miejscu jest małżonek, później kolejni członkowie rodziny. Krzysztof znalazł się na samym końcu.

Wracając do wyroku z Luksemburga: Trybunał stwierdził, że jeżeli w danym państwie transkrypcja zagranicznego aktu małżeństwa jest jedynym środkiem prawnego uznania relacji osób tej samej płci, to państwo to musi jej dokonać. Innymi słowy: zobowiązał Polskę do transkrypcji dlatego, że nie było w niej innego środka uznania praw par tej samej płci. Wynika to oczywiście z tego, że polski ustawodawca tak długo zwlekał z uregulowaniem sytuacji par LGBT+.

Już po wyroku premier Tusk argumentował, że przecież Polska nie musi wykonywać wyroku TSUE, skoro wkrótce wprowadzi ustawę o statusie osoby najbliższej. Miał rację?

MT: – Miałby, ale trochę za późno się z tym obudził. Przez 30 lat w Polsce nie udało się zrobić niczego dla par jednopłciowych, nawet przegłosować związków partnerskich. Tzw. współlokator+, czyli to, co zostało z projektu ustawy ministry Kotuli, też jest z góry skazany na porażkę.

Rozmawiałem ostatnio z posłanką ludowców, która zapewniła mnie, że jej klub zagłosuje „za". W dodatku sejmowej komisji nadzwyczajnej ds. ustawy przewodniczy Urszula Pasławska z PSL, a Pałac Prezydencki niby kluczy, ale nie mówi takiej legislacji twardego „nie".

JCT: – Nie jestem pewien, czy ta ustawa jest nam w ogóle potrzebna, bo wprowadza w naszym prawie dodatkową instytucję, gdy tymczasem mamy już inną, która zapewnia parom odpowiedni poziom bezpieczeństwa – jest nią małżeństwo. Wystarczy tylko umożliwić parom tej samej płci zawarcie małżeństwa w kraju, nie trzeba żadnych dodatkowych rozwiązań.

MT: – Powtórzę: przez 30 lat politycy nie zrobili dla nas nic, a gdyby przyjęli wcześniej ustawę o związkach partnerskich, nasze małżeństwo prawdopodobnie zostałoby uznane w Polsce za związek partnerski.

JCT: – Trafnie napisała o tym Renata Lis: „tak długo nie chcieli nam dać niczego, aż musieli dać wszystko".

PiS też musiał różne rzeczy, a po prostu ich nie robił.

JCT: – Niemal 30 lat od uchwalenia konstytucji Naczelny Sąd Administracyjny zinterpretował jej art. 18 w duchu zasady równości, która również jest zawarta w konstytucji. Sąd wyraźnie stwierdził, że art. 18 nie stanowi żadnej bariery dla ▶

eprasa.pl 89a8166262

▶ zapewnienia ochrony małżeństwom tej samej płci. Duża w tym wszystkim zasługa naszych wspaniałych pełnomocniczek i pełnomocników. To oni: Anna Mazurczak, Milena Adamczewska-Stachura, Paweł Knut i Artur Kula są prawdziwymi autorkami i autorami tego sukcesu.

MT: – Jakość ich pism procesowych podkreślił *expressis verbis* Naczelny Sąd Administracyjny w uzasadnieniu wyroku, ale powtórzę: to mój mąż od początku wiedział, jak to wszystko przeprowadzić. Kubę interesuje sprawczość; lubi robić rzeczy efektywne, a nie efekciarskie.

JCT: – Chwalisz mnie, ale bez ciebie by się to wszystko nie udało.

MT: – Tak, tak, jestem Niezbędnym Elementem Matrymonialnym. Bądźmy szczerzy: Kuba jest prawnikiem, a ja mam do niego pełne zaufanie. Gdy on metodycznie realizował swój plan, ja po prostu się zgadzałem. Nie pchałem się na pierwszą linię frontu, bo też nie czułem się kompetentny. Stałem przy Kubie, którego przemyślany plan zadziałał... i tyle.

W jednej z rzadkich wypowiedzi dla mediów Jakub podziękował za ten wyrok wszystkim, którzy 23 lata temu głosowali w referendum za wstąpieniem Polski do Unii. Być może tkwi tu zaczyn jakiejś nowej, proeuropejskiej opowieści? Ta wydaje się potrzebna, z UE chce dziś wyjść prawie co czwarty Polak.

JCT: – Na naszych oczach tworzy się – a może umacnia? – europejska tożsamość oparta na wspólnych wartościach: poszanowaniu reguł systemu demokratycznego, respektowaniu praw człowieka i równości wobec prawa.

Naczelny Sąd Administracyjny orzekł w waszej sprawie 20 marca, natomiast 7 maja zapadły trzy kolejne orzeczenia ws. transkrypcji dokumentów par jednopłciowych. Co zmienia fakt, że w przeciwieństwie do was wyjechały one do krajów UE właśnie na „weekendowe śluby", po czym wróciły do kraju?

JCT: – Gdy rozmawiamy, nie znamy jeszcze pisemnych uzasadnień tych wyroków, natomiast z ich uzasadnień ustnych wynika, że są one w dużej mierze oparte na Europejskiej konwencji praw człowieka, a konkretniej jej art. 8, czyli prawie do poszanowania życia rodzinnego. Cieszy mnie, że polskie sądy i organy administracji mają odwagę bezpośrednio stosować nie tylko prawo Unii Europejskiej, ale także prawo międzynarodowe, w tym właśnie Europejską konwencję praw człowieka. To duża zmiana.

„Nie ma już znaczenia, czy para tej samej płci mieszkała za granicą, czy nie, czy wzięła ślub w kraju unijnym (...) czy obie osoby miały unijne obywatelstwo" – ocenia Karolina Gierdal, prawniczka związana z Lambdą Warszawa. To jak, Polska uzna ślub „zawarty po pijaku" w Vegas?

JCT: – Wbrew temu, co się powszechnie sądzi, ze swobody przemieszczania się korzystamy nawet wtedy, jeśli wyjeżdżamy gdzieś na weekend – w myśl „Dyrektywy 2004/38/WE w sprawie prawa obywateli Unii i członków ich rodzin do swobodnego przemieszczania się i pobytu na terytorium państw członkowskich" także taka wycieczka jest korzystaniem z praw przewidzianych prawem UE. Nawet więc te pary, które wyjechały do innego państwa członkowskiego UE tylko na chwilę, by zawrzeć małżeństwo, mogą oczekiwać uznania skutków prawnych tego małżeństwa.

Na razie Polska musi zaktualizować system teleinformatyczny i wzory urzędowych dokumentów. Idzie jak po grudzie.

MT: – I tak trafiliśmy na dosyć korzystny moment historyczny, w którym upadł rząd PiS. W kraju zmieniła się władza, zaczęli rządzić politycy, z którymi przez kilka lat staliśmy na tych samych demonstracjach, wykrzykując hasła: „konstytucja" i „praworządność". Można więc było oczekiwać, że nowa władza będzie wspomnianą konstytucję respektować oraz że praworządnie zrealizuje wyroki unijnego trybunału i polskiego sądu.

JCT: – Przez lata w dyskursie publicznym mówiło się, że jakieś wyroki „nie są uznawane"; gdy teraz rozmawiałem z ludźmi na temat naszej sprawy, też pytali mnie: „a co będzie, gdy Polska wam tego wyroku nie uzna?". To wszystko przyzwyczajenia z czasów PiS, wyroku TSUE nie da się nie uznać, systemy prawne Polski i Unii Europejskiej są tak skonstruowane, że po prostu nie ma takiej możliwości.

Mimo to premier hamletyzował. W listopadzie mówił, że „Unia nie może nam niczego narzucić", w marcu twierdził, że rząd planuje zrealizować orzeczenia TSUE i NSA za sprawą ustawy o statusie osoby najbliższej, w maju przeprosił społeczność LGBT+ i zapowiedział uchwalenie rozporządzenia, które umożliwi transkrypcje.

MT: – Pewnie zauważyłeś, że raczej nie wypowiadamy się dla mediów – z drobnymi wyjątkami, jak widać – gdy tymczasem wszyscy politycy, z premierem na czele, od listopada mówią, jak to z tymi transkrypcjami jest, jak będzie, a jak być powinno. Powody naszego milczenia są trzy. Po pierwsze: nie zależy nam na obecności w mediach. Po drugie: uważamy, że nie my jesteśmy tu ważni, tylko nasza sprawa. Po trzecie: nie chcieliśmy formułować za pośrednictwem mediów żadnych oczekiwań względem sądów czy administracji. W trakcie postępowania swoje żądania i oczekiwania należy wykładać nie w formie publicznych wypowiedzi, ale pism procesowych.

Premier ma na głowie wiele spraw i naprawdę nie zna się na wszystkim. Być może nie wiedział do końca, o co chodzi, ale musiał zająć jakieś stanowisko? Media „grzeją" potem takie wypowiedzi, podbijają im zasięgi i maglują je, aż zaczynają one żyć własnym życiem.

To chyba dobrze. Mam wrażenie, że właśnie chłodny odbiór wywiadu Rafała Trzaskowskiego dla TVN24 sprawił, że prezydent stolicy wykonał podobny zwrot co premier: najpierw obwieścił, że transkrypcja obejmie jedynie was, potem zadeklarował, że „(kolejne) wyroki będą rozpatrywane szybko, bez zwłoki, natychmiast".

MT: – Niektórzy dziennikarze pisali o nas prawie codziennie, patrzyli władzy na ręce i pilnowali realizacji wyroków, za co jesteśmy wdzięczni. Presja mediów chyba poskutkowała, dzięki niej nie odwlekano sprawy *ad calendas graecas*, co niektórzy politycy koalicji chętnie by uczynili.

JCT: – Chciałbym szczególnie podziękować dwojgu dziennikarzom: Angelice Pitoń i Antonowi Ambroziakowi. Bardzo często i bardzo rzetelnie pisali o naszej sprawie, skutecznie wpływając na zdanie polityków i urzędników. Szybko dali mi możliwość wypowiedzi publicznej, gdy na ostatniej prostej trzeba było skrytykować wadliwy pomysł Ministerstwa Cyfryzacji na sposób dokonania transkrypcji. Dzięki ich błyskawicznej reakcji ten pomysł na szczęście upadł.

Uda się jeszcze wycisnąć ze „straszenia gejem" paliwo wyborcze, skoro w sondażu IBRiS poparcie dla równości małżeńskiej sięga niemal 50 proc.?

MT: – Homofobia nie będzie w Polsce paliwem wyborczym. Nie jesteśmy już w latach 90., ale w trzeciej dekadzie XXI w., z czego polska prawica naprawdę powinna zdać sobie wreszcie sprawę.

ROZMAWIAŁ MATEUSZ WITCZAK

eprasa.pl 89a8166262

Jak zostałam milionerką

Harmonia finansowa jest sakralna, sprzedaż – święta, a obdarowanie nas majątkiem to marzenie wszechświata. Tak mówi się na rynku afirmacji, manifestacji i medytacji, który w Polsce rozwija się jak złoto.

JOANNA CIEŚLA

Riya Sokół nie chce mnie przyjąć na roczny mentoring. Po wywiadzie na internetowym kanale „Matcha Talks" sprzed kilku tygodni w świat poszła wieść, że taki program u „Rii" kosztuje 65 tys. zł. Autorka przyznała przy tym, że jego uczestnikom nic nie obiecuje. Mimo to, po fali medialnych komentarzy, chętnych na usługę przybyło tak bardzo, że Riya podniosła cenę do 77 tys. zł. Ale dostać mogą się tylko ci, którzy jakiś czas pracują z Riyą i „wiedzą, jak wyglądają te procesy". Żeby nie było następnej dramy.

Riya Sokół, w przeszłości Patrycja Sokół, zaczynała karierę jako piosenkarka, a potem przeszła duchową przemianę. Dziś należy do najbardziej znanych coachów mentalnych (ponad 100 tys. obserwujących na Instagramie). Za szerzej dostępne szkolenie „The One – imperium wybranych", opatrzone w opisie wyznaniem Rii „Uwielbiam kontemplować nad tym, co to znaczy być Milionerką", mentorka liczy sobie 15 tys. zł. W cenie jest m.in. kilkanaście programów online (zwykle nagrań), 30 masterclass (czyli też nagrań), np. pod tytułem „Święta sprzedaż" oraz 12 spotkań warsztatowych na Zoomie z Riyą. Nie skorzystam, bo tak naprawdę nie mam budżetu, który by na to pozwalał. Dopiero chcę zostać milionerką. Jak tysiące Polek i Polaków kusi mnie wizja, żeby otworzyć się na energię pieniądza, zmienić swoje życie w złoty czas i dać się porwać tsunami bogactwa.

Jeśli chodzi o moją drogę, wyczuwam szansę na udaną współpracę z Sonią – obserwowaną na Instagramie przez ponad 50 tys. osób. Sonia od razu wie, że mam potencjał, by zdobyć majątek. Wiąże się to z moim archetypem finansowym, czyli inaczej „osobowością finansową" Łączniczki. Jest to archetyp „fascynujący, pełen bogactwa i głębokich możliwości. W obliczu własnych talentów Łączniczka może nawet czuć się przytłoczona. ▶

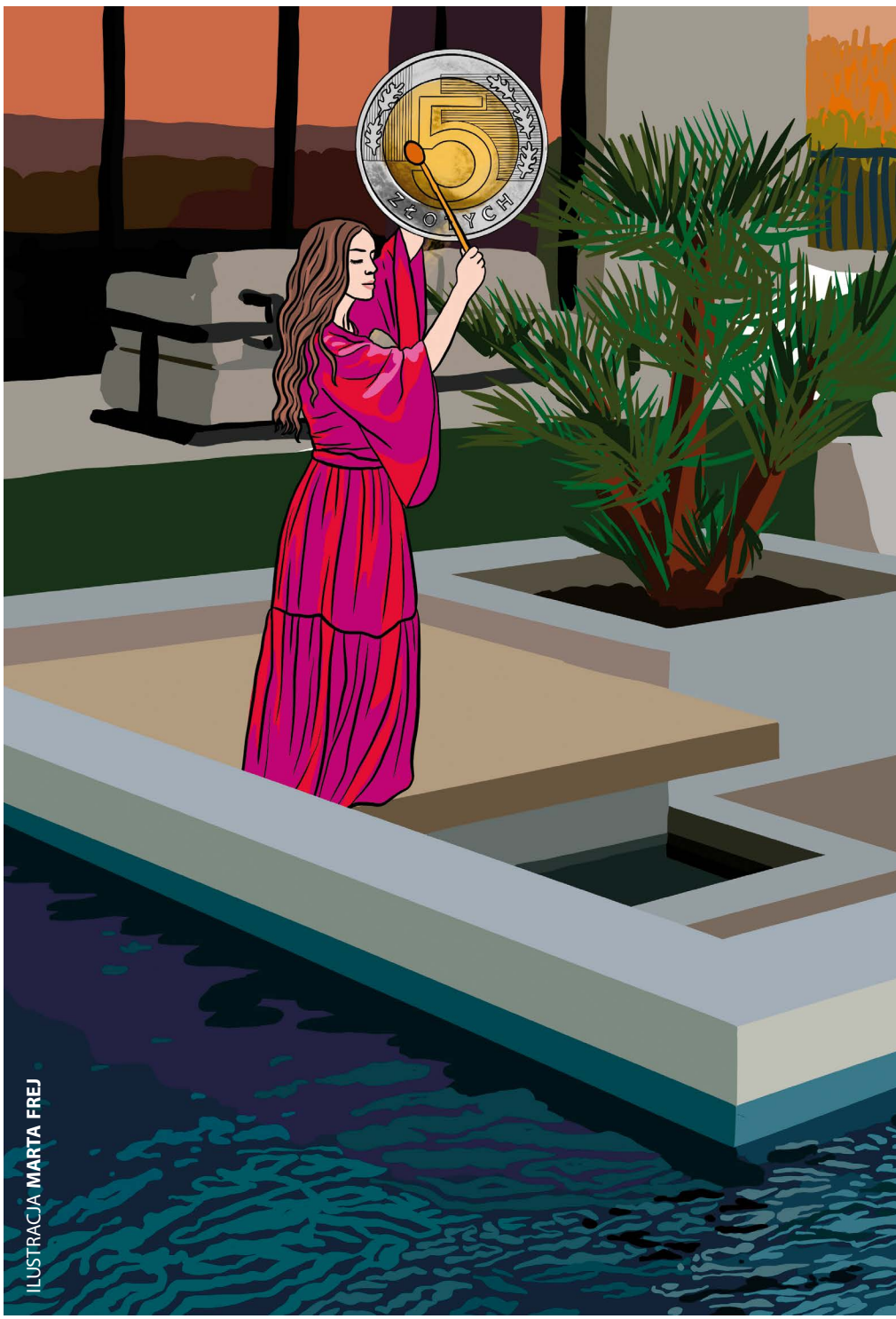

ILUSTRACJA MARTA FREJ

eprasa.pl 89a8166262

▶ Przede wszystkim jest artystką relacji, tworzy je długoterminowo, a one generują dochód – chwali mentorka na nagraniu, na tle tapety w pawie pióra. Link do filmiku (zaczyna się od ujęć Soni na łóżku, na które skądś spadają banknoty) przychodzi mailem po określeniu archetypu na podstawie wypełnionego testu. Trzeba na przykład odnieść się do stwierdzenia „W ekstremalnych przypadkach nigdy nie jestem zadowolona z tego, jak dużo pieniędzy posiadam, i zmuszam się nieustannie do ich zdobywania". Są opcje „zupełnie się nie zgadzam", „nie zgadzam się", wariant „neutralny" albo „zgadzam się" lub po prostu „całkowicie się zgadzam". Krótko mówiąc, nieźle się człowiek nagłowi – zwłaszcza że pytań jest ponad 20.

Ale Sonia, *Sacred Money Archetypes Certyfied Coach*, czyli ekspertka od sakralnej harmonii finansowej, zapewnia, że warto. Warto też nabyć ebook poświęcony Łączniczce (chyba że wyszedł komuś inny archetyp, możliwości – i ebooków – jest osiem), w cenie 97 zł. Można jednak od razu przejść do działania, wykupując usługę „Gotowa na pieniądze – Pakiet Vip" (2219 zł), który według opisu działa nawet w beznadziejnych przypadkach, gdy patrzenie na konto bankowe budzi w nas lęk. 12-miesięczny dostęp do materiałów edukacyjnych online podzielony jest na moduły. Pierwszy ma tytuł „Pierdolnij biedulką!".

Ezo, techno, naukowo

Ale wachlarz mentorskich podejść jest szeroki. Anna przedstawia się jako „Dobra dusza", krótko – za to jej strona internetowa oszałamia feerią propozycji. Zachęca do doświadczenia mocy hipnozy finansowej i tradycyjnych metod, jak tarot, ezoteryka i numerologia uaktualnione o nowsze pojęcia i rozwiązania. Anna oferuje ebooki, rytuały energetyczne, konsultacje i kursy o tym, jak sprzedawać kursy, ale też takie, które rozświetlą moją ścieżkę oraz będą wspierać Prawo Przyciągania. Na przykład 30-dniowy program Moc Serca – akurat przeceniony 10-krotnie, z 4999 zł na 499 zł – przynosi odrodzenie na poziomie duszy dla tych, którzy ciągle uderzają w blokady w miłości, pieniądzach lub kreatywności.

Prawo przyciągania to jeden z fundamentów współczesnego uniwersum otwartości na luksus. Stwierdza, że kto myśli pozytywnie, przyciąga pozytywne wydarzenia, a kto negatywnie, ściąga na siebie problemy. Spisała to australijska producentka TV Rhonda Byrne w wydanej 20 lat temu książce „Sekret" (wcześniej nakręciła film pod tym samym tytułem). Książkę przetłumaczono na ponad 50 języków i sprzedano w milionach egzemplarzy, a magazyn „Time" wpisał Byrne na listę „100 osób, które kształtują świat". Przykład samej Byrne potwierdza, że prawo przyciągania się sprawdza, bo po swoim bestsellerze wydała jeszcze kilka innych książek („Jak sekret odmienił moje życie", „Największy sekret" itd.) i została milionerką.

W dyscyplinie zapraszania obfitości dalszym etapem zaawansowania jest prawo założenia, odkryte przez pracującego w USA pisarza i mistyka Neville'a Goddarda. On z kolei stwierdzał, że człowiek nie przyciąga tego, czego chce. Przyciąga tylko to, co uznaje za już prawdziwe. Trzeba myśleć nie „chcę być milionerką", a „już jestem milionerką", bo rzeczywistość dopasowuje się do dominującego założenia nas samych o sobie i świecie. A ponieważ wielu osobom trudno jednak wypracować założenie o własnym bogactwie przy 100 zł na koncie, cała odrębna gałąź sektora wspiera potrzebujących w tworzeniu manifestacji. To technika idąca dalej niż dość popularna afirmacja, psychologiczno-coachingowe narzędzie polegające na regularnym powtarzaniu sobie zdań, żeby wpływać na swoje myślenie, emocje i nawyki, np. „Jestem pewna siebie".

Manifestacje to inna orbita, złożony proces osiągania pożądanych rezultatów poprzez myśli, emocje, wizualizacje, a czasem także działania. Ale że samej trudno mi się w tym połapać, na początek kupuję od Anny ebook „Manifestacje pieniędzy w 30 dni. Twój przewodnik po finansowej obfitości". Po raz kolejny doświadczam, że wszechświat sprzyja mojemu dostatkowi, bo – jak się okazuje – materiał jest dostępny w obniżonej cenie 39 zł zamiast 99 zł. Podekscytowana czekam, aż ebook się załaduje i wracam do tematu afirmacji, bo intryguje mnie wzmianka, że we współczesnym świecie afirmuje się robotycznie.

Liczne fora eksperckie wyjaśniają, że chodzi o automatyczne powtarzanie potrzebnej treści, na zasadzie prania mózgu. „Chodzi o to, żeby zajechać mózg liczbą powtórzeń tak bardzo, żeby nowa myśl wjechała do głowy z buta" – pisze obrazowo uczestniczka jednej z dyskusji. Należy klepać jak robot na okrągło „jestem bogata" – podczas oglądania serialu, sprzątania domu czy zebrania w pracy. I już zaczynam, gdy czytam przestrogę, że najgorsze, co można zrobić, to wypowiadać takie zdanie, a w głowie mieć myśl, że nie mam pieniędzy i nie wiem, czy wystarczy mi do końca miesiąca. Takie afirmowanie przynosi tylko większą biedę.

Szukamy zatem dalej, zwłaszcza że po otwarciu worka z robotyką ujawnia się nowy podwszechświat przyciągania majątku w podejściu „techno". Iwona o swoich zawodowych korzeniach pisze niewiele, ale zapewnia, że od ponad 15 lat „zgłębia tematy kwantowe, kreowania rzeczywistości, rozwoju osobowościowego, emocjonalnego, duchowego". Temat obfitości można z nią kompleksowo przepracować na warsztatach „Umysł milionera rozkodowany". Oprócz dorobku fizyki kwantowej, w trakcie trzech półtoragodzinnych spotkań, skorzystamy z epigenetyki, ale też nauk duchowych i szamańskich. I to wszystko za 300 zł.



Opcja do rozważenia, bo objawia się kolejna możliwość – stworzona przez Martę, pedagożkę i Mentorkę świadomego rozwoju – dołączenia do Architektury Nowej Tożsamości. Marta proponuje np. „She knows" – Masterclass, która zrywa łańcuchy i uruchamia zmianę. „Jest szybkim i głębokim *klik*, które uruchamia decyzje i odcina sabotaż". O bezkonkurencyjności programu wydaje się stanowić cena – jedynie 2 zł! Niestety, linki otrzymane po przelewie się nie otwierają. Marta przeprasza, zaszła pomyłka. Mentorka obiecuje

eprasa.pl 89a81[illegible]62

zwrot dwóch złotych, a w ramach rekompensaty proponuje masterclass o połowę taniej niż rzeczywisty koszt, który wynosi 197 zł. Dopytywana zachęca: choć połączenie online w ramach masterclass już się odbyło, nagranie, które mogłabym otrzymać, będę miała na zawsze.

Zmutowane ziarno prawdy

Ze słów prof. Agaty Gąsiorowskiej wynika, że przez brak kontaktu z mentorką wiele nie tracę. – *Żyjemy w wielokryzysie. Oprócz zagrożeń, z którymi mierzymy się tak jak reszta świata – związanych z klimatem czy relatywnie niedawną pandemią, w Polsce wciąż mamy wojnę tuż za granicą i nieprzewidywalnego agresora. Takie okoliczności sprawiają, że ludzie stają się podatni na rozmaite rozwiązania i oferty, które nadają im przynajmniej złudne poczucie kontroli i struktury* – tłumaczy prof. Agata Gąsiorowska, psycholożka ekonomiczna z Uniwersytetu SWPS.

Badaczka zwraca uwagę, że rozmaite praktyki afirmacji finansowych i mentoring, obszary w żaden sposób nieuregulowane, działają na podobnej zasadzie jak teorie spiskowe. – *Kluczowe jest to, że w takich przekazach musi być pewien element prawdy, na przykład wiedzy naukowej. Faktycznie w psychologii istnieje teoria autoafirmacji. Są też dowody na to, że tzw. mentalność niedoboru, z angielskiego scarcity mindset, czyli przekonanie o tym, że mam za mało, ma negatywne skutki dla funkcjonowania.*

Ktoś, kto zgodnie z językiem teoretyków spiskowych „łączy kropki", może więc wysnuć wniosek, że jeżeli myślenie o sobie w kategoriach porażki finansowej źle odbija się na finansach, ale i na dobrostanie, relacjach itd., to autoafirmowanie sukcesu finansowego powinno dać jakieś pozytywne rezultaty. Tylko że jest to wniosek tak uproszczony, że aż błędny. – *W teorii autoafirmacji chodzi o coś innego: jej twórca Claude Steele zauważył, że w sytuacji zagrożenia czy lęku, gdy jakieś źródła dobrostanu są naruszone, ludzie mają naturalną potrzebę ochrony własnej integralności i poczucia kompetencji. A pomocne jest w tym skupienie na ważnych wartościach z innego obszaru* – mówi naukowczyni. Czyli: ma sens, gdy ktoś, kto traci pracę, docenia swoje udane małżeństwo albo dobre zdrowie.

Z kolei Eldar Shafir, amerykański badacz mentalności niedoboru, potwierdza, że ten rys – przekonanie, że jeśli ktoś osiąga sukces, to inny musi doznać porażki i że „dla mnie nigdy nie wystarczy", wiąże się ze skłonnością do myślenia tunelowego. Chodzi o przesadne skupianie się na uzyskiwaniu jakoby ograniczonych zasobów i na ignorowaniu tego, co się dzieje w pozostałych aspektach życia i w relacjach z innymi. – *Konkludując: jeśli osobie zwolnionej z pracy każemy myśleć, że jest bogata, ona wciąż koncentruje się na naruszonym obszarze samooceny, przez to ma słabszy nastrój i poczucie sprawczości* – podkreśla prof. Gąsiorowska.

Kilka lat temu psycholog Lucas Dixon z Uniwersytetu Queensland wziął na warsztat przekaz o zapraszaniu do własnego życia wszystkiego, czego się pragnie, dzięki współpracy z kosmicznym prawem przyciągania. Wyszło, niestety, że choć optymizm i pozytywne oczekiwania mogą przynosić poprawę motywacji, większe zaangażowanie i lepsze osiągnięcia, wiara w moc manifestacji sprawdza się słabo. Przebadani przez Dixona uczestnicy przekonani do tej techniki postrzegali siebie jako odnoszących większe sukcesy niż reszta, mieli wyższe aspiracje, lecz jednocześnie – skłonności do nierealistycznego optymizmu. Skutek był taki, że częściej rzucali się w ryzykowne inwestycje. I częściej doświadczali bankructwa.

Popraw się!

Paula, administratorka facebookowej grupy „Królowe manifestacji" (20 tys. użytkowniczek) prosi o przykłady udanych manifestacji z kwietnia. Wyznania się sypią. „Chciałam pozwolić sobie na większy wydatek – wykraczał poza mój miesięczny budżet, ale uparłam się, że chcę teraz i już. Więc wydałam tę kasę i postanowiłam, że się nie martwię. Afirmowałam 'w tym miesiącu starcza mi na wszystkie wydatki'. Zgłosiłam się do brata po niewielką pożyczkę, a on mi zaoferował więcej niż poprosiłam i powiedział, że może to być w ramach prezentu na dzień dziecka" – chwali się Dominika.

Klaudia ma prośbę o pomoc: „Dziewczyny!!! Potrzebuję wymanifestować dwa tysiące NA JUŻ – do niedzieli! Pracuję jako striptizerka, niestety pewna koleżanka ma w zwyczaju oferowanie usług dodatkowych i klienci zawsze jej zostawiają najwięcej kasy. Pomóżcie mi dobrać afirmacje, żebym zarobiła w ten weekend przynajmniej dwa tysiące. Może podpowiecie sposób, żeby przy okazji pozbyć się 'koleżanki'". Sylwia przestrzega: „Jeśli chcesz pozbyć się koleżanki na weekend, polecam jasno określić, co może zatrzymać ją w domu. Ja manifestowałam, żeby mój znienawidzony klient już się u mnie nie pojawił i, że tak powiem, żeby mu się umarło". W poniedziałek Klaudia donosi, że niestety koleżanka przyszła i zarobiła 2 tys. zł, a sama Klaudia 300 zł. Ale tydzień później zadziałało – po weekendzie przybyło 2,5 tys. zł w kieszeni adeptki afirmacji. „Koleżanki nie było, bo jej kot zdechł" – donosi Klaudia między roześmianymi emotkami.

W ankiecie na grupie o priorytetowych tematach afirmacji i manifestacji finanse wygrywają bezkonkurencyjnie. Wybiera je 35 proc. uczestniczek. Wskazań tematu miłości, relacji i urody jest o połowę mniej.

Czasem ktoś pyta nieśmiało, co robić, gdy metoda nie działa. W odpowiedziach wtedy mnożą się sugestie: „Myślę, że do poprawy jest coś w Tobie". Agnieszka w rozmowie jeden na jeden wyznaje, że afirmuje od dwóch lat, ale marnie to działa: – *Odkąd zaczęłam codziennie afirmować, to pieniędzy zamiast przybywać, ubywa. Jak znalazłam na ulicy 2 zł, za chwilę je zgubiłam. Ukradziono mi 1 tys. zł, później straciłam 5 tys. zł przez pomyłki w rozliczeniach z klientami.*

Od grupowiczek kobieta porady raczej nie uzyska, bo administratorka Paula właśnie ustala nową zasadę: „Kochane, od teraz już tylko historie sukcesu na grupie. Brak pytań. Wybaczcie, ale musimy wzrastać". Sama Paula wzrasta modelowo. Kiedyś była kosmetyczką w męczącej stacjonarnej pracy. Teraz sprzedaje mentoringi po kilkanaście tysięcy złotych (dostępne też w płatnościach na raty zero procent). Roczne dochody topowych mentorów i mentorek można orientacyjnie szacować od kilkuset tysięcy do ponad miliona złotych.

Wreszcie

Mój ebook „Manifestacje pieniędzy w 30 dni", kupiony za okazyjne 39 zł, w końcu się załadował. Liczy 36 stron. Na każdej akapicik tekstu, ok. 100 słów. W tekście porady typu „Wyczyść portfel i włóż do niego kartkę ze zdaniem 'Witaj obfitości'". I „30 potężnych afirmacji na manifestacje". Na przykład taka: „Moje bogactwo jest nieskończone i stale rośnie". Czytam i wiem od razu, że w moim życiu oto pojawia się nowa jakość. Bo przecież nigdy wcześniej w ten sposób o sobie nie myślałam.

JOANNA CIEŚLA

eprasa.pl 89a8166262



Pies i szakale

Leszek Skrodzki, sołtys ze wsi na granicy polsko-białoruskiej odkrywa lokalną sieć przestępczą. Zgłasza sprawę odpowiednim instytucjom – zbywają go, odmawiają pomocy. Nieważne, że to emerytowany oficer CBŚP, ekspert od przestępczości zorganizowanej.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Z okien domu Leszka Skrodzkiego w Ozieranach Małych widać granicę. Przy siatce rozciągniętej wzdłuż rzeki Świsłocz kręcą się strażnicy graniczni. Wystarczy podejść, a pojawiają się błyskawicznie. Strefa buforowa – okamerowana i oczujnikowana, pod ciągłym nadzorem służb. W dodatku wszyscy tu się znają i każdy wie wszystko o każdym. Z okien widać także chałupę Romana, najbliższego sąsiada Skrodzkiego. Stoi pusta, Roman umarł w maju 2025 r. Jego dom natychmiast był do kupienia. Na płocie pojawił się numer Grubego jako sprzedającego.

Roman

– *Gdyby nie ta podejrzana śmierć* – mówi Leszek Skrodzki – *nie zająłbym się tą sprawą.* Romana darować nie może. Znalazł go na podłodze, wyziębionego, zapitego. W oczach Romana zastygło przerażenie. I właśnie w tamtej sekundzie w sołtysie Skrodzkim obudził się dawny policjant.

W latach 70. XX w. Roman był królem życia. Akordeonista zespołu ludowego Kuranty, odbierający nagrody na przeglądach folklorystycznych w Sali Kongresowej. Przystojny, przy pieniądzu, otoczony dziewczynami, beztrosko pijący. Wciąż w trasie. Potem ożenił się, osiadł w rodzinnych Ozieranach, gospodarzył i przez 20 lat był sołtysem. Od śmierci żony mieszkał już sam, zaniedbał się, dużo pił. Widział, jak jego wieś pustoszeje, miejscowi uciekają do miasta, domy przechodzą z rąk do rąk. W końcu, w Ozieranach Małych zostało czterech stałych mieszkańców.

Leszek Skrodzki, podinspektor i ekspert do spraw przestępczości zorganizowanej CBŚP w Białymstoku, pojawiał się w Ozieranach Małych jedynie weekendowo i wakacyjnie. Jego żona stąd pochodzi, tu odziedziczyła dom po rodzicach. On obcy, wżeniony, ale cieszący się cichym mirem jako „pies" wysokiej szarży. Przechodzi na emeryturę w lutym 2022 r. po 35 latach służby. Zakładają z żoną agroturystykę. W 2024 r. Skrodzki zostaje wybrany na sołtysa.

eprasa.pl 89a8166262

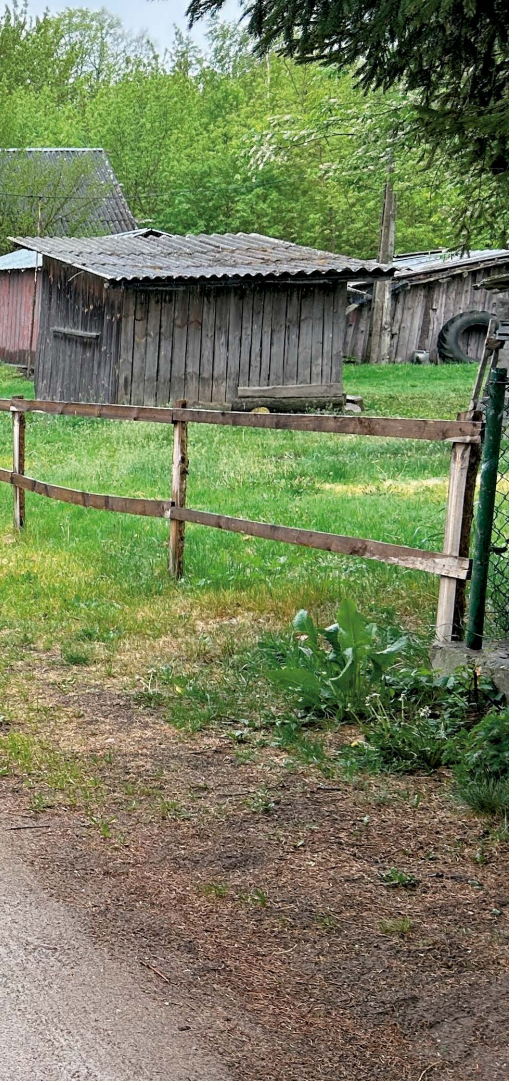

© MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Z Romanem było już wtedy bardzo źle, zdarzało się, że żebrał po wsi o jedzenie.

– *Ktoś zwrócił mi uwagę: Leszek, zrób coś, on nie może tak żyć* – mówi Skrodzki.

Dom sąsiada przypominał w środku norę. Starym muzykantem należało się szybko zaopiekować, był na granicy śmierci. Ale od słowa do słowa okazało się, że Roman ma za opiekuna Grubego. Od tej chwili przez kolejne miesiące sołtys Skrodzki i Gruby toczyć zaczęli coś w rodzaju wojny o Romana.

Wojna

Po Romanie zostały filmy kręcone telefonami przez sołtysa i Hulajnogę – przewodnika, który na hulajnodze objeżdża Podlasie i o tym opowiada na swoim kanale na YouTube. Widać, jak Roman odżywa. Na powrót staje się akordeonistą pełnym dykteryjek, nie pije, goli się, uśmiecha, nabiera ciała. Ogólnopolska sława, jaką Roman zdobywa dzięki popularnemu kanałowi Hulajnogi, sprowadza do Ozieran Małych dziesiątki turystów. Ludzie przywożą mu jedzenie, ubrania, jakaś lekarka leczy go za darmo. Skrodzki ze Stachem, który dogląda agroturystyki pod nieobecność sołtysa, fundują Romanowi przenośną ubikację.

Jednak te budujące filmy (wciąż do obejrzenia na YouTube) co rusz przeplatają skargi Romana. Roman mówi, że boi się o życie. Że jest bity i poniżany przez Grubego i jego kolegów. – *Romek bał się Grubego* – mówi dziś Stachu. – *Mówił, że przyjeżdżają do niego co dwa, trzy dni i przywożą mu alkohol. Ale najpierw biją go po twarzy i każą się przepraszać. Każą robić pompki. Wyśmiewają.*

– *Mówił: słuchajcie, ja tu jestem całkiem sam, jak oni przyjeżdżają* – dodaje Hulajnoga. – *Mnie też próbowano zastraszać, kiedy publikowałem filmy z Romanem. Pod jednym z nich pojawiło się nawet coś w rodzaju odpowiedzi.*

Był to krótki filmik, na którym Roman – wyraźnie przestraszony – mówi do kamery, że pan Gruby jest jego prawdziwym opiekunem i dobrze o niego dba. Filmik pojawia się i szybko znika z sieci. Ale Leszek Skrodzki odbiera ukryty komunikat o wojnie. Z tym że – jak dziś mówi – jako stary glina i spec od „pezetów" przyzwyczajony jest raczej, że prawdziwe męskie wojny toczą się po cichu. Tymczasem Grubemu puszczają nerwy tym bardziej, im głębiej sołtys penetruje jego sprawy. Gruby potrafi długo jeździć za sołtysem i znacząco migać światłami. Przyjeżdża do Ozieran, żeby z drogi nawyzywać sołtysa od chujów. Zajeżdża mu drogę pod sklepem. Skrodzki nagrywa te sytuacje i dołącza do swoich nieformalnych akt sprawy. Dowody te czekają na zainteresowanie organów państwa.

– *Zorientowałem się, że coś tu nie gra, jak poszedłem do Romana po raz pierwszy i zapytałem, czy ma emeryturę* – mówi Skrodzki. – *Odpowiedział, że nie wie. Zabrałem go jako sołtys do urzędu w Sokółce. Dowiedzieliśmy się, że ma emeryturę już od ponad roku. Z tym że co miesiąc listonosz zanosi całość do Grubego. Natychmiast zrobiliśmy dyspozycję, żeby pieniądze trafiały do Romana.*

Jednak Roman żebrał dalej, bo emerytura znikała mu z domu – mówi to na filmach.

Rolnicy

Gruby jest zwykłym rolnikiem z Krynek. Zwykłymi rolnikami są też Prezes i Młody, jego najbliżsi znajomi. Oficjalnie Gruby nie posiada nic oprócz pokaźnych długów. Niektóre z nich – jak wynika nawet z dostępnych publicznie danych – są już przedmiotem handlu między osobami trzecimi. Jednakże Gruby jeździ drogimi samochodami z imiennymi rejestracjami, choć zarejestrowanymi na kogoś innego. Czasem jego numer telefonu pojawia się na portalach pośredniczących w handlu, choć na kontach innych ludzi: w ofercie bywa drewno, maszyny rolnicze, dom Romana w Ozieranach Małych.

To niczego nie dowodzi, ponieważ każdy może mieć przyjaciół, którzy użyczają mu luksusowych przedmiotów lub proszą o pomoc w sprzedaży drogich dóbr. Gruby ma na koncie kilka wyroków za drobne sprawy, w tym za przywłaszczenie i zniszczenie cudzego mienia. Parę wyroków odsiedzianych, parę w zawiasach. Jest także, wraz z kolegami, zaangażowany w różne formy opieki nad paroma samotnymi alkoholikami posiadającymi domy, działki i lasy. Zdarza się potem, że ktoś umiera w podejrzanych dla sołtysa okolicznościach, giną czyjeś pieniądze, a lasy są wycinane.

Leszek Skrodzki ma to dobrze udokumentowane i dosłownie naprasza się służbom z dowodami. Ale przecież to też o niczym nie świadczy – wydaje się twierdzić lokalna policja, prokuratura i pełnomocnik prawny Grubego, Rafał Gulko.

Gulko uchodzi za gwiazdę białostockiej adwokatury – specjalistę w sprawach karnych. Ostatnio występuje w sądzie jako obrońca jednego z obywateli Meksyku oskarżonych o produkcję metamfetaminy w podlaskiej wsi Orla (POLITYKA 5). Jesienią 2025 r. Rafał Gulko przysłał sołtysowi „Wezwanie do zaprzestania naruszeń dóbr osobistych". Wcześniej sołtys występuje w telewizji i publicznie opowiada o ustaleniach swojego obywatelskiego śledztwa. Pisze o sprawie do niemal wszystkich ogólnopolskich mediów, ale zgłasza się tylko jedna, niszowa stacja telewizyjna. Reportaż robi raban w okolicy.

Gulko pisze do sołtysa, że „rozpowszechnia nieprawdziwe i szkodliwe informacje (...), które naruszają jego (Grubego – przyp. aut.) dobra osobiste – w postaci czci, wizerunku, godności oraz prywatności". Więcej: „(...) tworzą atmosferę podejrzeń, opartą wyłącznie na domysłach i insynuacjach, które godzą w jego (...) reputację i poczucie bezpieczeństwa".

W dodatku Skrodzki ma (zdaniem adwokata) obrażać i podważać działania organów ścigania, sugerując ich niekompetencję, zaniechania i brak reakcji. W ciągu siedmiu dni (jak widnieje w „wezwaniu") Skrodzki ma wpłacić 50 tys. na rachunek białostockiego hospicjum, ma też ▶

eprasa.pl 89a8166262

▶ publicznie przeprosić Grubego. Nie robi żadnej z tych rzeczy. Zapada prawna cisza, która trwa już ponad pół roku.

Duch Puszczy I

Sołtys nie przestaje tropić. Sprawa Romana i jego domu okazuje się dla niego jedynie czymś, co policjanci nazywają „wierzchołkiem góry lodowej". Jeszcze za życia sąsiada Skrodzki odkrywa, że stodoła Romana pełna jest części samochodowych. Widać to na filmie: Roman staje w drzwiach własnej stodoły, a widok dosłownie odbiera mu mowę. Czyje to? Skąd tu? Przy okazji jakiejś kolejnej nagranej rozmowy Roman przyznaje, że działka i dom, w którym mieszka, już od lat nie należą do niego. Zostały kupione za bardzo niską cenę, a on jest tu jedynie na „dożycie".

Adwokat Grubego zasugeruje później w piśmie do Skrodzkiego, że Roman sam przez lata zbierał stare meble i opony. Ale film (wciąż do obejrzenia na YouTube) nie pozostawia wątpliwości – to góry części od aut, można by się na nie wspinać. Wśród nich wielkie elementy kokpitów, chodzący o lasce i wyniszczony Roman raczej nie uniósłby nawet jednego. Skrodzki zgłasza sprawę na policję. Pojawia się patrol, ale funkcjonariusze zawiadamiają sołtysa, że działają jedynie „operacyjnie".

Raz sołtys słyszy nawet na policji w Sokółce: teraz pracuje się inaczej niż za pana czasów. W czerwcu 2025 r., już po śmierci Romana, ciężarówki wywożą zawartość stodoły w ciągu dnia. Oficjalnie nowy właściciel działki wywozi je na własny koszt.

Sołtys pokazuje filmik z odnalezienia Romana. Jeszcze żywy, ale już po tamtej stronie. Bezpośrednim sprawcą śmierci Romana był pewnie Duch Puszczy. Skrodzki jednak drąży – kto był sprawcą pośrednim, jaki miał motyw, co zawierał Duch Puszczy?

Duch Puszczy II

Skrodzki nie jest czynnym policjantem, więc nie może korzystać z żadnych służbowych baz informacji. Dawni koledzy ze służby nie kwapią się z pomocą przy wszczęciu śledztwa, ktoś mu nawet radzi, żeby opisał sprawę w anonimie do policji. A dowody zbiera Skrodzki jak wytrawny „pies" – wystarczyłoby, że służby sprawdzą tropy.

Przede wszystkim odkrywa działanie tego samego systemu w różnych wsiach granicznej strefy okolic Krynek. Wytypowuje kolejne potencjalne ofiary tego czegoś, co – jest pewien – jest zorganizowaną grupą przestępczą. Ustalenia swojego cichego śledztwa Skrodzki spisuje w punktach na użytek organów ścigania.

– *Jest na tej liście kilku mężczyzn, którzy już nie żyją, i kilku „kandydatów do trumny"* – mówi Leszek Skrodzki. – *A trzeba zwrócić uwagę, że te sprawy zdarzają się w jednym z najbardziej strzeżonych przez służby obszarach kraju, jakim jest granica polsko-białoruska.*

Z listy Skrodzkiego:

• Guguś (zm. 2023), wieś Słoja, dawny policjant, skłócony z rodziną alkoholik. Odziedziczył gospodarstwo z maszynami, działkę i las. Od ośmiu lat całość dzierżawi Prezes, kolega Grubego i Młodego. Wszyscy oni widywani byli u Gugusia.

Został znaleziony martwy w swoim domu. Niedługo przed śmiercią Guguś nawiązał kontakt z rodziną. – *Na jego koncie nigdy nie pojawiły się pieniądze, które powinien wpłacać dzierżawca* – mówi dziennikarzowi członek rodziny zmarłego.

• Długopis, Ozierany Wielkie, alkoholik mieszkający samotnie, wielokrotnie karany więzieniem za jazdę po pijanemu. Odziedziczył gospodarstwo, działkę, las. Rodzina usiłowała pomóc mu wyjść z nałogu, nie udało się. Gruby był wielokrotnie widywany na posesji Długopisa. – *Nie czekam na żadnego Grubego, Gruby tu nie przyjeżdża* – mówi dziennikarzowi. Ale Gruby przyjeżdża jeszcze tego samego dnia.

• Tuzik, samotny, alkoholik, właściciel działki leśnej. Jego mieszkanie w bloku popegeerowskim przypomina brudną piwnicę. Ale z dokumentów, do których dotarł Skrodzki wynika, że Tuzik jest prezesem firmy komputerowej. Jest więc Tuzik, jak mówi Skrodzki, potencjalnym słupem, na którego dane można brać lewe kredyty. – *Ludzie, ja nic nie wiem o żadnej firmie* – mówi dziennikarzowi Tuzik, całkiem pijany z samego rana. – *Jakie komputery, nie widzicie, jak ja żyję?*

Nad wszystkim unosi się Duch Puszczy. Chodzi o bimber, często pędzony na przemycanym spirytusie niewiadomego pochodzenia. Duch Puszczy pojawił się w hurtowych ilościach wraz z wojskiem pilnującym przygranicznej zony od 2021 r. Wojsko słynęło z nienasyconego popytu na ten towar, puste butelki walały się w rowach wzdłuż dróg, którymi wojsko się poruszało.

Duch Puszczy to cicha waluta podlaskich wsi. Liczy się go na „piątki" – pięciolitrowe kanisterki. Dostarcza się go pokątnie, a tutejsze wsie chętnie biorą, bo tani, a poza tym w okolicy powymierały sklepy. Także kiedy przyjeżdżają miastowi, pytają zawsze o dwie rzeczy: o Ducha Puszczy i o działki na sprzedaż. Bo okolica, choć przywojenna, jest piękna i popyt na ziemię nigdy tu nie wygasł.

Dudek

Z Dudkiem, kolejnym punktem na liście Skrodzkiego, wiąże się poruszająca historia rodzinna. Dudek, czyli Mirek ze wsi Słoja (zm. 2024), miał rodzeństwo i szwagra. Był właścicielem lasu. I alkoholikiem – w jego domu zawsze walały się stosy „piątek".

Jednak gdy Dudek umarł po przedawkowaniu Ducha Puszczy, a jego brat Krzysiek wylądował z tego samego powodu w szpitalu, nie było tam ani jednej butelki. Dzień wcześniej Dudek miał jeździć gdzieś z Prezesem. Prezes i inni koledzy Grubego często odwiedzali Mirka.

Przy porządkowaniu papierów zmarłego rodzina odkrywa, że Mirek niedługo przed śmiercią zgłosił w leśnictwie wycięcie przecinki w swoim lesie (jego podpis nieczytelny, zamazany), a następnie upoważnił Prezesa do swojego konta bankowego (dopiero co założonego). Okazuje się wkrótce, że zniknął cały las, 6 ha warte setki tysięcy, konto Mirka jest puste, na jego dane wzięto kredyty, a z domu zniknęły akty własności gospodarstwa.

– *Zaraz po śmierci szwagra przyjechała do nas policjantka i mówi: prokurator sekcji zwłok nie będzie chciał robić* – mówi Krzysztof Horczak, rolnik. – *Podpisaliśmy, że nie będziemy się ubiegać o sekcję. Ale po pogrzebie, jak wyszła ta sprawa lasu i konta, pojechaliśmy do prokuratora w Sokółce zgłosić możliwość przestępstwa. Odesłał nas na policję. Na policji ściemniali, zniechęcali nas, a w końcu odesłali do adwokata.*

Do dziś rodzina Horczaków spłaca zaciągnięte na Mirka kredyty. W dodatku przyszło pismo od leśnictwa – mają obowiązek w ciągu roku zalesić nielegalnie wycięte 6 ha, pod groźbą kary administracyjnej. Posadzenie 1 ha lasu kosztuje 40 tys. zł.

W tej sytuacji Horczakowie oddają las Skarbowi Państwa za symboliczną złotówkę.

Sołtys

Jako emeryt otwiera agroturystykę w Ozieranach Małych w najgorszym momencie dla takich biznesów – najpierw

eprasa.pl 89a8166262

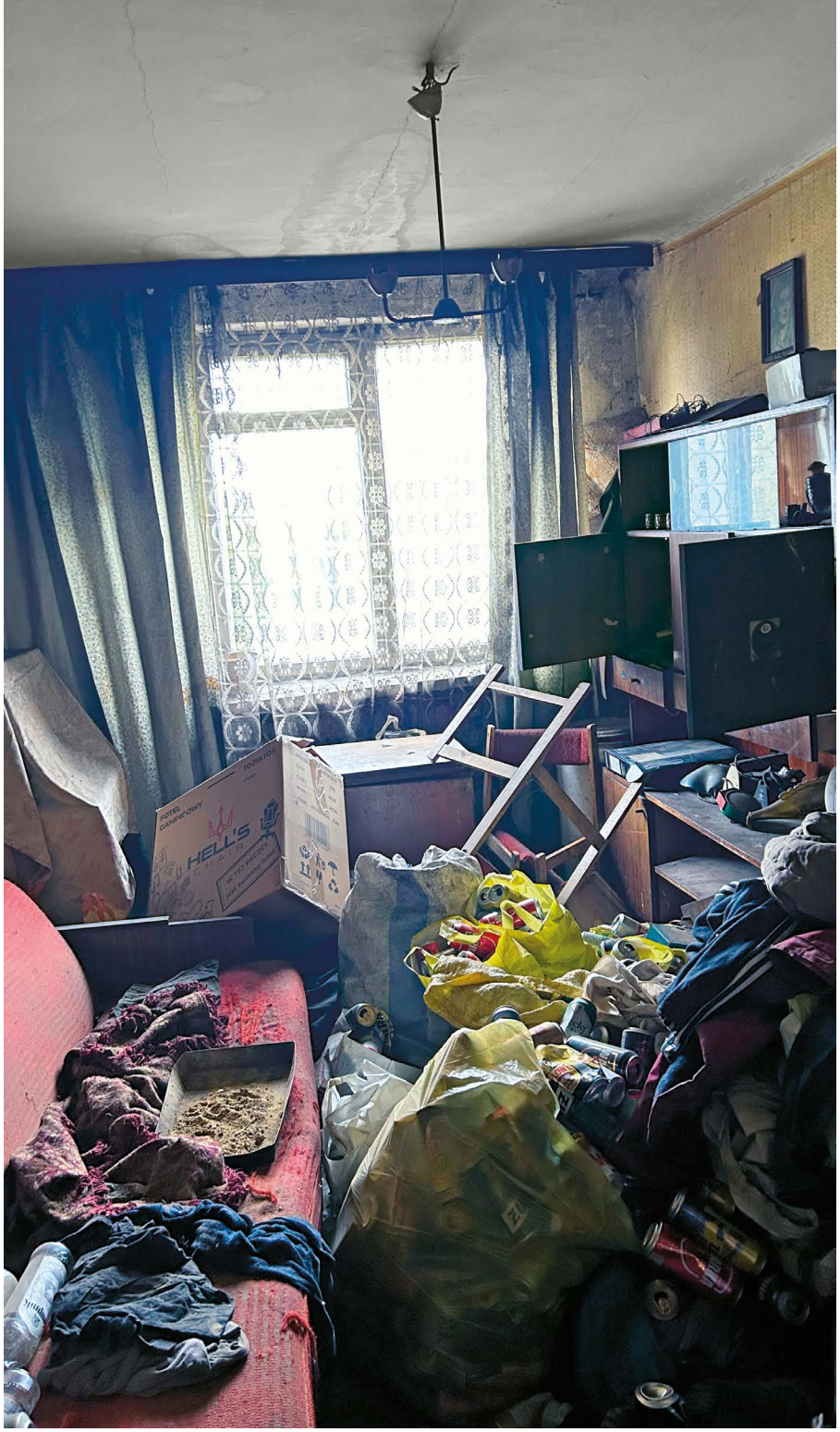

Mieszkanie Tuzika (samotny alkoholik, właściciel działki leśnej) w bloku popegeerowskim przypomina brudną i zagraconą piwnicę

covid, potem zamknięta zona. Inwigilacja miejscowych, turyści nie przyjeżdżają. To wtedy Skrodzki odkrywa sąsiada Romana, który staje się symbolem okolicy. Po zonie turyści wracają. Ale wychodzą także na jaw podejrzane lokalne powiązania.

Od śmierci Romana Skrodzki pisze do wszelkich możliwych organów ścigania, łącznie z Prokuraturą Krajową. Podaje dowody na tacy. Wskazuje, kogo z żyjących świadków należy chronić, jakie weryfikacje finansowe, analizy własnościowe, wyceny strat lasów (bardzo wielu poszkodowanych kradzieżą) i kontrole wewnętrzne w policji należałoby przeprowadzić. Wskazuje nawet na konkretne przestępstwa narkotykowe. Prokuratura Krajowa odsyła sprawę do sokólskiej. Same odmowy wszczęcia z braku podstaw.

Gruby

Ma ten sam numer telefonu, który pojawiał się wcześniej na ogłoszeniach o sprzedaży drzewa i sprzętu rolniczego w internecie, oraz domu Romana w Ozieranach.

– *On mi cały czas robi pod górkę, po prostu ma chorą głowę, zawziął się na mnie, a ja kompletnie nie wiem, o co mu chodzi* – mówi Gruby w rozmowie z dziennikarzem. – *Pomawia mnie. Napisał chyba z 60 czy 40 zawiadomień do prokuratury o jakichś popełnieniach przestępstw, że ja jestem tutaj jakiś ura-bura. Ale skoro Prokuratura Krajowa to zrzuciła wszystko i nie widziała tam żadnych przestępstw, to pokazuje, co ten człowiek ma w głowie. Ja staram się być w porządku wobec ludzi, ale ten sołtys kreuje mnie na bandytę. Jakie to trzeba mieć smutne życie, żeby sobie nie znaleźć innego zajęcia. Ma tam to swoje gospodarstwo, to zamiast się skupić na tym, to chce być szeryfem.*

Gruby zapowiada, że spotka się ze Skrodzkim w sądzie.

Appendix

W styczniu 2026 r. policja zatrzymuje Młodego z Krynek, kolegę Grubego i Prezesa. Prokurator stawia mu dwa zarzuty: „udziału w zorganizowanej grupie przestępczej mającej na celu popełnienie przestępstwa polegającego na zorganizowanym wytwarzaniu znacznej ilości substancji psychotropowych" oraz „wytwarzania znacznej ilości narkotyków 3-CMC" (czyli klofedron – silnie uzależniający i wysoce śmiertelny). Młody jest tymczasowo aresztowany z uwagi na obawę matactwa procesowego i grożącą mu surową karę.

„Aktualnie śledztwo przedłużono do stycznia 2027 r. – sprawa rozwojowa" – pisze prok. Agnieszka Adamska-Okońska w mailu do dziennikarza POLITYKI. „Trwają ustalenia co do osób uczestniczących w procederze produkcji narkotyków i obrotu nimi, a dotychczas niezatrzymanych w sprawie, badane są informacje w zakresie wytwarzania narkotyków przez tą samą grupę w innych lokalizacjach".

Na terenie Podlasia zatrzymań dokonywał łódzki oddział CBŚP, a sprawę prowadzi Prokuratura Okręgowa w Bydgoszczy.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

© MARCIN KOŁODZIEJCZYK

eprasa.pl 89a8166262

Są widoki na lepszy wzrok

NFZ szuka oszczędności tam, gdzie polska okulistyka odniosła największy sukces. Czyli: w usuwaniu zaćmy.

PAWEŁ WALEWSKI



ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

Wieczorem wszystko wygląda najgorzej. Pasek informacyjny w telewizji zaczyna się rozmazywać, litery płyną, twarze prezenterów stają się trudne do rozpoznania. Człowiek przeciera okulary i zmienia ustawienia ostrości, a potem słyszy od okulisty: zaćma. Co dalej?

– *Choć rozpoznano ją u mnie od razu, próbowałam negocjować z biologią i byłam gotowa pozostać przy okularach zamiast operacji* – wspomina Krystyna Szenfeld. W siódmej dekadzie życia jest jedną z wielu aktywnych kobiet, które nie zamierzają godzić się na rolę schorowanej seniorki. – *Na wizytę u okulisty w ramach NFZ czekałam pół roku* – wyznaje. Ponieważ jej wzrok pogarszał się z miesiąca na miesiąc, w końcu zdecydowała się na zabieg w prywatnym ośrodku, gdzie mogłaby mieć operację również zrefundowaną przez NFZ. – *Najważniejsze były dla mnie dobre opinie pacjentów* – podkreśla. Ostatecznie za wymianę lepszych soczewek w obu oczach zapłaciła kilkanaście tysięcy złotych.

Inaczej potoczyły się losy pani Marii, profesor uniwersytetu: – *Usłyszałam od okulistki właściwie mimochodem, że dostanę skierowanie na operację. Nie skarżyłam się na nic, ale powiedziała tylko: „Pani może zaćmy nie czuć, za to ja ją widzę”* – wspomina. Autorytet lekarza sprawił, że podporządkowała się tej decyzji. Nie szukała innych opinii ani nie porównywała ośrodków. Zabieg wyznaczono jej w jednym z największych szpitali w Warszawie, więc uznała, że to wystarczająca gwarancja bezpieczeństwa. Przed operacją przeszła serię badań, choć przez cały czas towarzyszyły jej wątpliwości. W dniu zabiegu znalazła się w grupie 30 pacjentów operowanych tego samego dnia. Najpierw krople, potem szpitalna piżama i wielogodzinne oczekiwanie na swoją kolej. – *Siedzieliśmy na twardych, niewygodnych krzesłach. Miałam przyjść na godzinę czternastą i sądziłam, że po południu będę już w domu, tymczasem wyszłam późnym wieczorem* – opowiada. Operował ją młody lekarz po kilkunastu godzinach pracy. – *Anestezjolożka powiedziała*

eprasa.pl 89a8166262

mi półżartem, że ona też jest tam od dwunastu godzin, tylko jej łatwiej, bo siedzi – wspomina.

Początkowo wydawało się, że wszystko przebiegło prawidłowo, jednak po kilku dniach pojawiły się komplikacje, z którymi boryka się nadal, miesiąc po operacji. Prywatne konsultacje przyniosły jej bolesną refleksję, że być może wcale nie była konieczna. – *Mam do siebie pretensje, że nie byłam bardziej stanowcza i nie zadawałam więcej pytań* – przyznaje.

Krystyna Szenfeld miała więcej szczęścia: spędziła w szpitalu dwie godziny i wróciła do domu z zaklejonym okiem. Po zabiegu musiała już tylko przez dwa tygodnie zakraplać oczy kilka razy dziennie. – *Dziś nie potrzebuję okularów już wcale* – mówi, potwierdzając na swoim przykładzie to, co powtarzają jak mantrę okuliści: usunięcie zaćmy stało się w obecnych czasach medycznym synonimem komfortu i skuteczności – szybki efekt, spektakularna poprawa, relatywnie niewielkie ryzyko. A jednak nie zawsze musi tak być.

Czekając na ślepotę

Jak zauważa prof. Jacek P. Szaflik, kierownik Katedry i Kliniki Okulistyki Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, operacje te stały się w krajach rozwiniętych najczęściej wykonywanymi ze wszystkich specjalności chirurgicznych (detronizując nawet cesarskie cięcia), więc nie ma powodu, by w Polsce było inaczej. Przestały być wyłącznie zabiegiem ratującym wzrok. Stały się procedurą poprawiającą jakość życia, a to już zmiana cywilizacyjna.

Kiedyś zaćmę operowano późno, niemal „na ślepotę" czekając, aż soczewka zmętnieje w całości. – *Pacjentów trudniej było namówić* – przyznaje prof. Szaflik. Ale zaraz dodaje, że traktowanie ich lekceważąco, także przez niektórych lekarzy, jakby były szybkim serwisem przypominającym wymianę opon, to też niewybaczalny błąd. Rutyna bywa zdradliwa, zwłaszcza gdy dotyczy oka.

– *Liczba powikłań jest bardzo niewielka, technologia coraz lepsza, a wprawa chirurgów ogromna* – wylicza prof. Szaflik. Z drugiej strony – to przecież nie jest kosmetyczna korekcja paznokcia. – *Choć sam zabieg jest krótki, a znieczulenie miejscowe w kroplach i częściowa narkoza czynią go bezbolesnym, mówimy o ingerencji w narząd wzroku, czyli najważniejszy narząd zmysłów.*

W popkulturowej wersji chirurgii zaćmy wszystko trwa 15 minut, a pacjent za kilka dni czyta gazetę. I rzeczywiście na ogół tak bywa. – *Ale zakładamy, że to przypadek średnio zaawansowany, bez utrudnień* – podkreśla prof. Szaflik.

Krótki czas operacji stał się paradoksalnie źródłem społecznego nieporozumienia. Skoro trwa krócej niż piaskowanie zębów, to musi być błahostką. Ale czas nie mówi nic o jakości operacji. W trakcie tego kwadransa dzieje się niezwykle dużo: ultradźwięki rozdrabniają naturalną soczewkę, mikronarzędzia pracują w strukturach oka, chirurg wykonuje serię ruchów wymagających precyzji i cierpliwości. A wszystko w narządzie, którego w przeciwieństwie do biodra czy kolana nie da się wymienić na nowy.

Półmilionowa kolejka

Prof. Marek Rękas, krajowy konsultant ds. okulistyki, przytacza dane: w Polsce wykonujemy obecnie 900 operacji zaćmy na 100 tys. mieszkańców, choć w krajach z największą dostępnością – takich jak Niemcy, Francja i Włochy – jest ich po 1,5 tys. W trybie tzw. jednodniowej hospitalizacji zabiegi przeprowadza się aż u 98 proc. pacjentów. – *Nic nie stoi na przeszkodzie, by wprowadzić również tryb ambulatoryjny, a więc bardziej uproszczony i oszczędniejszy dla Narodowego Funduszu Zdrowia, który nie musiałby finansować formalności związanych nawet z krótką hospitalizacją* – proponuje prof. Rękas (przypomnijmy, że za operację pani Marii szpital zainkasował stawkę jak za hospitalizację jednodniową, choć kilka godzin spędziła na twardym krześle). – *Ale najpierw należy ustalić sieć placówek okulistycznych, które docelowo powinny funkcjonować w Polsce w oparciu o minimalne liczby wykonywanych operacji* – dodaje profesor.

Te propozycje profesora to odpowiedź na niefortunne zamiary Ministerstwa Zdrowia dotyczące wprowadzenia tu oszczędności. Plany te zakładały ścięcie o połowę stawek za ponadlimitowe zabiegi, zapisane w kontraktach szpitali. Okuliści szybko zaprotestowali, twierdząc, że mechaniczne obcinanie ▶

REKLAMA

Uniwersytet Civitas

11 i 12 czerwca 2026,
Uniwersytet Civitas,
Pałac Kultury i Nauki,
Warszawa

Forum Horyzontów Społecznych Uniwersytetu Civitas 2026

eprasa.pl 89a8166262

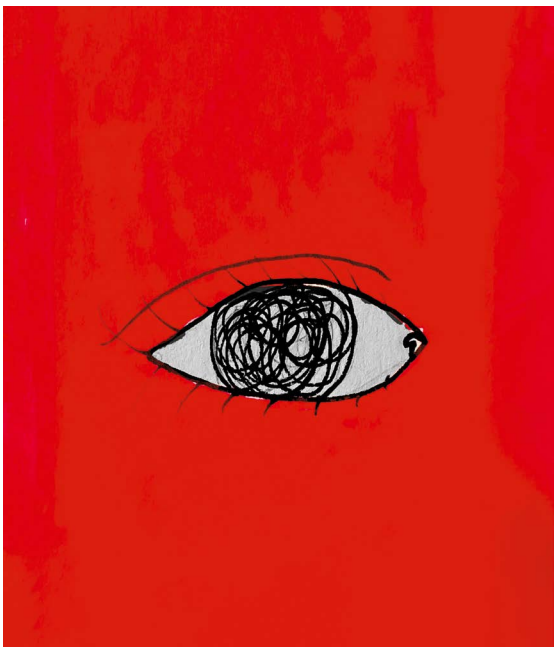

▶ funduszy (na czym NFZ planował odzyskać 200 mln zł) mogłoby doprowadzić do regresu i powrotu do kryzysowej sytuacji z 2018 r., kiedy w gigantycznych kolejkach na usunięcie zaćmy czekało w Polsce pół miliona pacjentów.

Od 2019 r. NFZ zaczął finansować wszystkie wykonane zabiegi, znosząc wcześniejsze limity. Rynek zareagował szybko: wzrosła liczba operacji, do systemu weszły nowe placówki, ich oferta zderzyła się z demografią starzejącego się społeczeństwa. W rezultacie pacjentów z zaćmą po 70. roku życia przybywa dziś w Polsce w dokładnie tym samym tempie co emerytów. W 2025 r. wydatki na wszystkie operacje zaćm w Polsce pochłonęły 1,09 mld zł i były wyższe niż w poprzednim roku o 114,5 mln zł. Te kwoty systematycznie rosną, bo nowe placówki wręcz poszukują klientów.

Centralnym punktem reformy systemu, który proponuje prof. Rękas jest wprowadzenie do koszyka usług sztywnego kryterium: dany ośrodek musi wykonywać minimum 700 operacji zaćmy rocznie, aby móc liczyć na finansowanie ze środków publicznych. – *Obecnie tego wymogu nie spełnia 15–20 proc. placówek w kraju* – szacuje prof. – *Ten krok powinien ukrócić niekontrolowane powstawanie małych, nierentownych punktów, które negatywnie odbijają się na standardach leczenia.*

Z zaćmą do Czech

Kolejnym krokiem mają być wskaźniki jakościowe. Ministerstwo, NFZ i konsultant przygotowali system monitorowania powikłań po operacjach zaćmy oraz dla programu lekowego chorób siatkówki. Ale wciąż nie rozstrzygnięto kwestii jakości soczewek. Krystyna Szenfeld mogła wybrać soczewki refundowane przez NFZ – jednoogniskowe, gwarantujące dobre widzenie do dali, ale wymagające okularów do czytania. Zdecydowała się na tzw. multifokalne, czyli wieloogniskowe, płacąc za dwie operacje – najpierw jednego oka, a tydzień później drugiego 13,2 tys. zł. – *Wybrałam opcję „na bogato", choć to poważny wydatek* – przyznaje.

Dlaczego NFZ nie może pokryć ceny samego zabiegu, skoro pacjent chce dopłacić do soczewki premium? Bo system publicznej ochrony zdrowia jest absurdalnie sztywny i nie dopuszcza możliwości prywatnych dopłat. Fundusz refunduje operacje zaćmy wraz z soczewką jednoogniskową. I tyle (wyjątek stanowią niektóre soczewki toryczne dla osób z większym astygmatyzmem rogówkowym). W praktyce oznacza to zakaz legalnego dopłacenia do lepszej soczewki w ramach refundowanej procedury. Pacjent musi wybierać między rozwiązaniem podstawowym a pełnym finansowaniem prywatnym. Inaczej niż w Czechach, do których polscy pacjenci wciąż pielgrzymują, bo takie dopłaty są tam normą (nie tylko zresztą w okulistyce).

Turystyka zaćmowa rozwinęła się wiele lat temu w ramach unijnej dyrektywy transgranicznej, która pozwala wykonać operację za granicą i odzyskać jej koszt z NFZ. W praktyce oznacza to, że polski Fundusz płaci za zabiegi wykonywane w Czechach – 10 lat temu aż 90 proc. wniosków o zwrot kosztów leczenia dotyczyło właśnie operacji zaćmy wykonywanych u naszych południowych sąsiadów (w szczytowym, 2018 r., NFZ musiał zwrócić 31 mln zł za blisko 16 tys. zabiegów).

Po zniesieniu limitów na te operacje w 2019 r. zjawisko to wyraźnie osłabło, kolejki w Polsce zaczęły szybko maleć, ale czeskie kliniki nie zrezygnowały z walki o polskiego pacjenta. Nadal operują rocznie ok. 6 tys. Polaków, ale choć liczba ta w ciągu 8 lat została zredukowana o 60 proc., próbują przyciągać nie tylko krótkim czasem oczekiwania, ale tańszymi dopłatami do nowoczesnych soczewek (ok. 4 tys. zamiast 6 tys. zł), przy jednoczesnym zachowaniu refundacji samej operacji.

Rozmowa z konsultantką takiej placówki z Czeskiego Cieszyna przypomina kontakt z prywatnym konsjerżem – szczegółowo wyjaśnia kolejne kroki, proponuje wygodny transport z Katowic lub Bielska-Białej, podpowiada nocleg po zabiegu i zapewnia o szybkich terminach. Czeskie kliniki mocno akcentują również kompleksową opiekę. Kwalifikacja odbywa się na miejscu, tego samego dnia co operacja. Nie trzeba osobno organizować badań, a personel jest z Polski, co eliminuje barierę językową. – *Nasz pacjent jest od początku do końca zaopiekowany* – przekonuje współwłaścicielka jednej z klinik. – *Panie na infolinii zawsze odbiorą telefon, uspokoją albo zaproszą na dodatkowe badania.*

Test na ostrość

Polscy okuliści mają tu jednak sporo zastrzeżeń, bo jeśli coś pójdzie nie tak, zaczynają się problemy i infolinia niewiele pomoże: – *Pacjent po powrocie z takiego zabiegu zostaje sam i w razie powikłań nikt go nie chce przyjąć na kontrolę, a nie ma możliwości jeździć wielokrotnie za granicę.*

Właścicielka kliniki z Czeskiego Cieszyna odpowiada na zarzuty: – *Bardzo mi się nie podoba straszenie pacjentów. Przecież jeśli ktoś w Polsce odmówiłby pomocy choremu z ubezpieczeniem, to byłaby sprawa dla prokuratora!*

Ale prof. Szaflik przestrzega: – *Operację zaćmy można zrobić tak naprawdę w każdym oku tylko raz. To zdanie powinno wisieć w każdej reklamie „okazji medycznych". Bo zabiegi naprawcze są trudniejsze, a kolejna wymiana sztucznej soczewki bardziej ograniczona technologicznie.*

Planowane (ale wstrzymane przez NFZ) ograniczenie finansowania ponadlimitowych operacji zaćmy napędziło stracha, że wrócą kolejki do zabiegów jak za dawnych lat. Czesi już zacierali ręce. Prof. Rękas zapewnia, że resort poszedł po rozum do głowy i po uporządkowaniu rynku zaoszczędzi w inny sposób, niż gdyby miał przywrócić limity. Kolejki do operacji zaćmy są najprostszym sposobem na cięcie kosztów, ale w starzejącym się społeczeństwie, w którym liczba pacjentów będzie tylko rosła, byłoby też rozwiązaniem wyjątkowo krótkowzrocznym.

PAWEŁ WALEWSKI

eprasa.pl 89a8166262

POLITYKA

SŁUCHAJ I OGLĄDAJ!



















Rozmawiamy nie tylko o polityce.

Poruszamy sprawy, które mają znaczenie.

Szukamy odpowiedzi na trudne pytania.

POLITYKA.PL/PODKASTY

eprasa.pl 89a8166262

Pani od SAFE

JOANNA SAWICKA, MAREK ŚWIERCZYŃSKI



eprasa.pl 89a8166262

Magdalena Sobkowiak-Czarnecka – dziennikarka, unijna urzędniczka, niepartyjna polityczka, której pozycja w rządzie ostatnio znacząco urosła. To ona walczy o wdrożenie w Polsce wartego miliardy złotych programu SAFE.

Do polityki weszła przez dziennikarstwo. Karierę rozpoczęła w poznańskim radiu RMI FM jeszcze na studiach. Szybko przeniosła się do telewizji – poznańskiego oddziału TV Biznes, a potem do Polsatu i TVP. Była reporterką m.in. „Panoramy" w TVP 2 i prowadziła programy polityczne w TVP Info. W 2011 r., pracując w telewizji publicznej, poznała się z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, który w listopadzie tego roku wszedł do rządu Donalda Tuska jako minister pracy. Zapoznał ich wspólny znajomy Janusz Sejmej, pochodzący też z Krakowa długoletni „kadrowy" PSL w TVP w czasach, gdy telewizja publiczna dzielona była między „czerwono-zielone" wpływy polityczne postkomunistycznej lewicy i ludowców. Spod ręki Sejmeja wyszła też polityczna kariera Jakuba Stefaniaka, byłego prezentera „Teleexpressu" i korespondenta zagranicznego TVP Info, a obecnie sekretarza stanu w KPRM.

Kilka lat później Sobkowiak-Czarnecka przeniosła się do Brukseli, gdzie była korespondentką TVP. To był czas, gdy szefem Rady Europejskiej został Tusk i wszystkie kamery zwrócone były na niego. – *W roli korespondentki radziła sobie bardzo dobrze* – wspomina w rozmowie z POLITYKĄ jeden z jej kolegów po fachu. To była praca polegająca na codziennych relacjach z działań Komisji Europejskiej i Parlamentu, robieniu „setek" z europosłami. Inna długoletnia korespondentka wypomina jej jednak „bieganie za Tuskiem" po brukselskich parkach, co miało wspierać świeży, sportowy i „młodzieżowy" wizerunek polityka.

Tak czy inaczej, było to dziennikarstwo polityczne, dlatego po przejęciu władzy przez PiS Sobkowiak-Czarnecka nie czekała na decyzje z góry i odeszła sama. Została jednak w Brukseli, gdzie otrzymała pracę w Komisji Europejskiej jako specjalistka ds. komunikacji w polityce obronnej i kosmicznej Unii. Podkreślała potem, że to wtedy poznała działanie unijnych instytucji i zdała egzamin na licencjonowaną urzędniczkę.

Droga do kancelarii

Nie chciała jednak zostać w Brukseli na dłużej. Jako mama półtorarocznej córki w 2019 r. wróciła do kraju. Dostała wtedy propozycję współpracy od Kosiniaka-Kamysza, który poprosił ją o wsparcie w kampanii. Najpierw europejskiej, gdzie PSL startował jako część tworzonej przez Grzegorza Schetynę Koalicji Europejskiej, potem parlamentarnej jesienią 2019 r. W grudniu tego roku prezes PSL ogłosił, że wystartuje w wyborach prezydenckich, które miały się odbyć pół roku później w maju. Sobkowiak-Czarnecka została szefową jego doradców oraz sztabu wyborczego.

Kilka tygodni później wybuchła pandemia. To była trudna, ale obiecująca dla prezesa PSL kampania. Toczona w czasie lockdownu, przeciwko silnemu, wspieranemu przez PiS Andrzejowi Dudzie. Z drugiej strony konkurentami byli m.in. nowy w polityce Szymon Hołownia i mało przebojowa kandydatka KO Małgorzata Kidawa-Błońska.

– *Lojalna i profesjonalna* – wspomina Sobkowiak-Czarnecką prezydent Ciechanowa i działacz PSL Krzysztof Kosiński. Razem prowadzili w marcu 2020 r. udany wiec Kosiniaka-Kamysza w Jasionce pod Rzeszowem, która miała wkrótce stać się centrum polskiego wsparcia logistycznego dla Ukrainy.

Wybory wygrał Duda, a ludowcy na jeszcze kilka lat pozostali w opozycji. W tym czasie Sobkowiak-Czarnecka, oprócz doradzania Kosiniakowi-Kamyszowi, zajęła się m.in. rozkręcaniem założonego przez siebie think tanku Kobiety w Centrum, organizacji, która stawia sobie za cel wspieranie kobiet w pracy, domu, życiu publicznym i społecznym. W swoich działaniach dystansuje się od polityki, ale KwC tworzą m.in. polityczki PSL (posłanka Agnieszka Kłopotek i Anna Komar, prezeska struktur Stronnictwa w Nowej Soli), a nasi rozmówcy z partii podkreślają, że organizacja jest z ludowcami związana. Funkcjonuje całkiem prężnie, organizując m.in. tzw. Regionalne Akademie Liderek – weekendowe wyjazdy, na których kobiety uczą się wystąpień publicznych i budowania pewności siebie.

Sobkowiak-Czarnecka do grudnia 2025 r. była prezeską KwC. Nie chce być jednak nazywana feministką, bo uważa, że to określenie w Polsce nabrało pejoratywnego znaczenia. Unika rozmów o kwestiach światopoglądowych.

Po przejęciu władzy przez koalicję 15 października jako zaufana i bliska współpracowniczka prezesa Kosiniaka-Kamysza została sekretarzynią stanu w kancelarii premiera. Tam po kilku tygodniach przejęła – od mianowanego przez PiS doświadczonego urzędnika unijnego Sebastiana Barkowskiego –odpowiedzialność za koordynację przygotowań do rozpoczynającej się w styczniu 2025 r. polskiej prezydencji w Radzie Unii.

Pracowała z dużym zespołem doświadczonych urzędników. Politycznie odpowiedzialny za prezydencję był ówczesny minister ds. Unii Europejskiej Adam Szłapka, ona zaś odpowiadała za organizację i sprawy techniczne. Blisko z nimi współpracował sekretarz stanu w kancelarii premiera Ignacy Niemczycki. Pomimo licznych wyzwań prezydencja okazała się sukcesem. Poniekąd „pomogła" w tym inauguracja prezydentury Donalda Trumpa – skłoniła europejskich liderów, by faktycznie skupić się na forsowanym przez Polskę temacie bezpieczeństwa.

Filmiki na kryzys

Urzędnicy w kancelarii premiera traktowali Sobkowiak-Czarnecką z pewnym dystansem, ale doceniali jej pracowitość i profesjonalizm. – *Miała polityczny posłuch. Gdy ktoś z nas potrzebował załatwić coś na wysokim szczeblu ministerialnym, ona potrafiła szybko uruchomić potrzebne kontakty* – słyszymy od jej współpracowniczki. Z drugiej strony według naszych rozmówców w pracy w kancelarii premiera raczej budowała dystans. Nastawiona na cele i ich realizację. – *Jest osobą, która mocno gra na siebie i bardzo dba o wizerunek. Jej pracy zawsze towarzyszyło nagrywanie rolek. Czasem mieliśmy poczucie, że wszystko się wali, a Sobkowiak-Czarnecka nagrywa filmik. Z drugiej strony ciężko mieć jej* ▶

© ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl 89a8166262



Magdalena Sobkowiak-Czarnecka z premierem Donaldem Tuskiem oraz wicepremierem i szefem MON Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem w siedzibie PIT-Radwar, dostawcy elektroniki dla polskiej armii, w podwarszawskiej Kobyłce, luty 2026 r.

▶ *to za złe. Ostatecznie ona to wszystko firmowała i odpowiadała za całość, a większych kryzysów udało się uniknąć* – podkreśla nasza rozmówczyni.

Po prezydencji przez kilka miesięcy nie było pewne, jaki będzie jej dalszy polityczny los. Uratował ją jednak SAFE – unijny mechanizm pożyczek na zbrojenia, o który w czasie prezydencji zabiegała i który stał się jednym z jej i prezydencji największych sukcesów, pomimo początkowego braku promocji. Warto jednak odnotować, że sięgnięcie po „siłę Unii" jako brokera kredytowego dla zainteresowanych krajów (przymusu nie było, ostatecznie w SAFE uczestniczy 19 z 32 krajów Unii) to pierwszy taki przypadek po funduszu covidowym, znanym u nas jako KPO.

Kobiecy team

Warszawa od lat przekonywała Brukselę, że wzięcie większej odpowiedzialności za obronę Europy to nie chwilowa fanaberia Donalda Trumpa, ale warunek realizacji geopolitycznych ambicji Unii. A co ważniejsze – kwestia być albo nie być narażonych na atak Rosji jej sąsiadów, krajów należących tak do NATO, jak i UE. Ponieważ polska prezydencja nastąpiła tuż po ukonstytuowaniu się nowych unijnych władz po wyborach z 2024 r., w naturalny sposób wytyczyła kierunek na obronne wzmocnienie, a znająca brukselskie korytarze Sobkowiak-Czarnecka stała się tym bardziej użyteczna.

Gdy SAFE był w powijakach, MON z Agencją Uzbrojenia pracował nad wnioskami o wsparcie, ale miał problem w dialogu z Brukselą. Ministerialny pełnomocnik (litościwie pomińmy jego nazwisko) okazał się nieudolny. Gdy wieść o grożącej porażce dotarła do Donalda Tuska, w październiku 2025 r. zaczął szukać kogoś, kto da radę w miesiąc przed upływającym terminem dopiąć wszystkie formalności. Kosiniak-Kamysz zgłosił Sobkowiak-Czarnecką, a premier dobrze ją wspominał. Tym samym bezpartyjna półpolityczka stała się gospodynią jednego z kluczowych programów rządu Tuska, jakim stał się SAFE.

Oznaczało to dla niej wejście z marszu w zmaskulinizowany świat zbrojeń i wojska, z którym musiała pogodzić unijne procedury i finansowe tabele. – *Wykazała się stuprocentowym zaangażowaniem i poświęceniem* – mówi POLITYCE jeden z uczestników tego procesu, przyznając, że największym problemem dla młodej pani minister było przełamanie bariery pokoleniowej w sektorze oraz poznanie wojskowego sprzętu, o którym do tej pory miała nikłe pojęcie. Inny, z generalskimi gwiazdkami: – *Kontrast był ogromny, bo jest nie tylko sprawna intelektualnie, ale też zna te unijne korytarze i języki.*

Szybko odnalazła też wspólny język z równolatkami, menedżerami, politykami i urzędnikami z pokolenia 40+. Konrad Gołota z MAP, Michał Baranowski z MRiT, Jan Grabowski i Arkadiusz Bąk z zarządu PGZ stali się jej partnerami w „biznesie", jak postrzega zarówno SAFE, jak i związany z nim potencjalny eksport polskiej zbrojeniówki. To w tym celu jeździ niemal tydzień w tydzień po europejskich stolicach, szukając w ramach SAFE partnerów dla PGZ i firm prywatnych, które równie ceni.

Wojskowi byli z początku sceptyczni – bo kobieta, bo młoda, bo się nie zna na sprzęcie, bo coś wymusza i o coś dopytuje. Sama pełnomocniczka wyznaje, że technikaliów uzbrojenia musiała się w przyspieszonym tempie nauczyć, a wciąż nie całkiem pewnie porusza się na tym gruncie. Ale po niemal roku współpracy z nią mundurowi przyznają, że „ma jaja" i „dowozi", przekonując do ich koncepcji kręgi polityczne i przemysłowe. Dzięki niej do opinii publicznej przeniknął fakt, że to Sztab Generalny Wojska Polskiego, a nie jakaś Bruksela określa listę zakupów finansowanych z SAFE. Wojskowi, którzy widzieli przy pracy Magdalenę Sobkowiak-Czarnecką, doceniają jej sprawność i sprawczość (może zazdroszczą kontaktu z wicepremierem i premierem?), ale wytykają, że powinna nieco wytłumić emocje.

Sama zbudowała w tym celu niemal wyłącznie kobiecy team. Choć urzęduje w budynku niegdyś zwanym szpiegowcem w sąsiedztwie MSZ, to w MON przy Al. Niepodległości utworzyła „swój" departament funduszy zagranicznych, dokąd ściągnęła

© ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl 89a8166262

Magdalenę Trzpil-Halotę, wcześniej odpowiedzialną za programy współpracy z USA. Jej zastępczynią jest Marta Daniluk, równie doświadczona urzędniczka, którą Sobkowiak-Czarnecka znała z udanej pracy przy prezydencji, oraz ważna w umowach Anna Bujarska z departamentu prawnego. Z Brukseli pełnomocniczka zna Agnieszkę Bartol, obecnie stałą przedstawicielkę RP przy UE. Do tych kobiet „trzymających polski sejf" należy dodać prof. Martę Postułę z Banku Gospodarstwa Krajowego oraz – luźniej – Katarzynę Smyk z przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Warszawie. Nie bez znaczenia może być to, że ich „kontrahentką" w Agencji Uzbrojenia MON też jest kobieta – Sylwia Chądzyńska, mająca na głowie m.in. finansowanie z SAFE.

Szef Agencji Uzbrojenia, gen. dyw. Artur Kuptel wspomina, że kiedy Władysław Kosiniak-Kamysz dziękował za dowiezienie SAFE, większość osób przy stole stanowiły kobiety, co dla wojskowych było szokiem. Niektórzy wciąż niechętnie widzą twarz Sobkowiak-Czarneckiej niemal codziennie przed kamerami i w konferencyjnych panelach. Wtajemniczeni mówią też o chłodnej, urzędowej sympatii, jaką darzą ją formalnie odpowiedzialny za zbrojenia wiceminister Paweł Bejda oraz młodszy, ambitniejszy i aktywniejszy Cezary Tomczyk. Czy widzą w niej potencjalną rywalkę?

Posłanka, wicepremierka?

W kontraście do własnego najbliższego otoczenia w rządzie współpracuje głównie z mężczyznami. W PSL jest ceniona za skuteczność, ale dobre notowania – już od czasów prezydencji – zbiera też w kancelarii premiera. W budowaniu relacji z otoczeniem Donalda Tuska mogła jej pomóc dobra znajomość z Pawłem Grasiem, z którym poznali się w Brukseli.

Pytana, czy czuje się polityczką, odpowiada, że siłą rzeczy została nią, pracując przy SAFE. – *Przy prezydencji skupiałam się na pracy merytorycznej, a na politycznym froncie był Adam Szłapka. Jako pełnomocniczka ds. SAFE trafiłam w sam środek ostrego politycznego sporu i polityki nie dało się już uniknąć* – mówi nam Sobkowiak-Czarnecka. Dlaczego jednak nie wstąpiła do partii? – *Nigdy o tym nie myślałam, nigdy nie miałam takich planów* – podkreśla. Ale na pytanie o możliwy start w wyborach w przyszłości nie odpowiada jednoznacznie.

– *Jeśli SAFE wyjdzie, powinna startować, choć niekoniecznie z PSL* – zachęca niezwiązany z ludowcami kibic ze świata biznesu. Wiadomo jednak, że w samej partii kibiców ma mniej. – *Będąc związana z tą partią, jest tak niepeeselowska, jak tylko się da* – komentuje ów kibic z boku. Jednak większość naszych rozmówców z PSL i partyjnego środowiska uważa, że szykuje dla siebie dalszą polityczną karierę, co w oderwaniu od partii może być niełatwe.

O 42-letniej Sobkowiak-Czarneckiej robi się ostatnio coraz głośniej w mediach. Marcin Fijołek i Piotr Witwicki w podkaście „Polityczny WF" sugerowali niedawno, że może ona zostać twarzą kampanii rządowej w 2027 r. A Włodzimierz Czarzasty został zapytany przez dziennikarza w Sejmie, czy Tusk szykuje dla niej nominację na wicepremierkę (marszałek Sejmu wykręcił się od odpowiedzi). Nasi rozmówcy z koalicji przekonują, że w ciągu kilku miesięcy mogą ją czekać nowe wyzwania, pojawiają się spekulacje na temat stanowiska wiceministry obrony lub członkini zarządu PGZ. Niezależnie od tego, czy któryś z tych scenariuszy jest bliski prawdy, raczej pewne jest, że o Sobkowiak-Czarneckiej jeszcze będziemy słyszeć.

JOANNA SAWICKA, MAREK ŚWIERCZYŃSKI

REKLAMA

POLITYKA + blik

4 miesiące czytania

za jedyne

24,99 zł

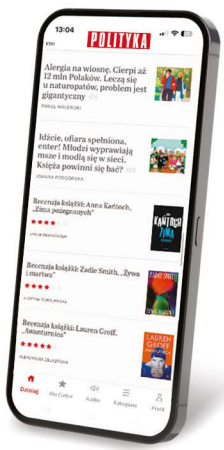

Teksty tygodnika, newsy, analizy

Blogi, Podkasty, Aplikacja

Płatność powtarzalna BLIK

Subskrybuj Polityka.pl

polityka.pl/blik

Oferta tylko dla nowych prenumeratorów

eprasa.pl 89a8166262

Patopodatki

Podatki osobiste w Polsce rosną tylko biedakom i średniakom. Zamożni masowo korzystają z furtek, które dyskretnie otworzył im Polski Ład. A najbogatsi nie płacą już wcale. I nie zapłacą. Karol Nawrocki zapowiedział, że zawetuje każdą ustawę podnoszącą podatki. System PIT został zabetonowany.

JOANNA SOLSKA

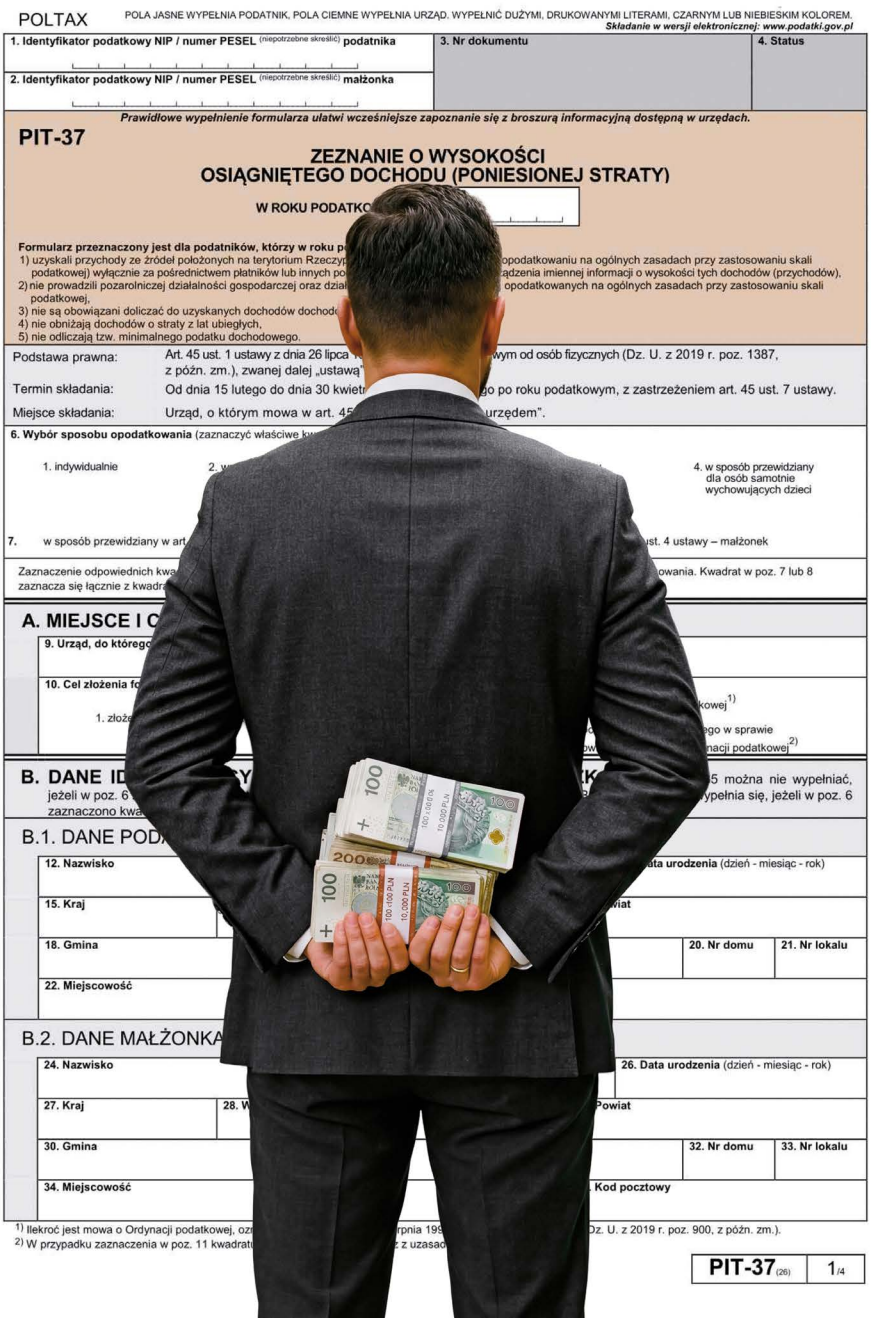

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

Patent na dociążenie średnio zarabiających – ale w taki sposób, żeby się nie zorientowali – wymyślił ówczesny premier Mateusz Morawiecki, cały czas głosząc, że rząd PiS obniża podatki. Składka na zdrowie przestała się nazywać podatkiem, więc górna stawka PIT zmniejszyła się do 32 proc., choć prawdziwe obciążenia wzrosły do 41 proc. Jednocześnie w 2022 r., przy dwucyfrowej inflacji, zamrożono próg podatkowy na poziomie 120 tys. zł, a wraz z nim największy „prezent" PiS, czyli kwotę 30 tys. zł wolną od podatku. Do dziś pozostaje na tym samym poziomie. Z patentu Morawieckiego korzysta obecna ekipa. A zamrożenie kwoty i progów uderza po kieszeni dwie najliczniejsze grupy – zatrudnionych na etacie oraz emerytów.

Prof. Marek Brzeziński z Instytutu Nauk Ekonomicznych UW jest przekonany, że rozwarstwienie dochodowe w naszym kraju się pogłębia, ale nie jest w stanie tego już udowodnić. – *W 2019 r. rząd PiS zablokował naukowcom dostęp do zanonimizowanych danych podatkowych i ten stan trwa do tej pory*. Wiemy jednak, że choć dochody bogatych rosną, to tzw. daninę solidarnościową (czyli 4 proc. podatku od dochodów osobistych przekraczających milion złotych) płaci niewielu. Za 2022 r. fiskus z tego tytułu otrzymał 2,8 mld zł, ale za 2024 r. już tylko 2 mld 135 tys. zł. Kurczy się też liczba płacących ten podatek, na początku było ich zaledwie 40 tys., teraz jest dużo mniej. Wielu korzysta z wprowadzonej przez Polski Ład możliwości stworzenia fundacji rodzinnych, bardzo polecanych przez doradców podatkowych jako doskonały sposób optymalizacji podatków.

Wróćmy do średniaków. Marek Skawiński, do niedawna analityk Ministerstwa Finansów, wylicza, że w 2022 r., kiedy wprowadzano Polski Ład, stawkę 32 proc. PIT płaciły osoby, których dochody przekroczyły 191 proc. średniego wynagrodzenia. Ponieważ próg dochodowy został zamrożony, w 2025 r., za który już się rozliczyliśmy z fiskusem, do grona płacących najwyższy podatek PIT trafiły osoby z dochodami rocznymi przekraczającymi 135 proc. średniej krajowej. W tym roku dotknie to już zarabiających 127 proc. średniego wynagrodzenia. Elitą finansową kraju, według systemu podatkowego, stali się średniacy.

Zgodnie z oficjalnymi danymi MF w 2024 r. zamrożony próg podatkowy,

eprasa.pl 89a8166262

ciągle na poziomie 120 tys. zł, przekroczyło 1,9 mln podatników, czyli 7,97 proc. płacących PIT. Wszystkich jest 25,6 mln, w tym 10 mln emerytów i rencistów. I teraz uwaga! Te 7,97 proc. sfinansowało podatkiem prawie połowę (48,7 proc.) wpływów, które z PIT otrzymało państwo. Za 2025 r. wyliczeń MF jeszcze nie ma, ale szacuje się, że w progresję wpadło już 10 proc podatników i zrzucą się na ponad połowę wpływów. Kim są ci, którzy ponoszą największy ciężar utrzymania państwa? To – powtórzmy – głównie osoby zatrudnione na umowie o pracę oraz dorabiający emeryci, pracujący o wiele dłużej, niż przewiduje wiek emerytalny.

Zamrożone progi

Marek Skawiński, powołując się na dane MF, twierdzi, że w 2024 r. państwo na zamrożeniu progów zarobiło 16 mld zł, a w ubiegłym roku z powodu małej inflacji suma ta spadła do 12,5 mld zł. Zysk tegoroczny szacowany jest na razie na 14 mld zł. Łączne dochody państwa, wynikające z faktu zamrożenia progów, wyniosły w ciągu tych kilku lat 42,5 mld zł.

Spójrzmy z perspektywy przeciętnego podatnika, co stracił na mrożeniu. – *Gdyby kwotę wolną, która od 2022 r. wynosiła 30 tys. zł, oraz progi podatkowe waloryzowano według zasad, które stosuje ZUS, podnosząc wysokość składek ubezpieczeniowych, to rok później kwota wolna powinna wynosić 35 132 zł, w 2024 r. już 39 635 zł, a w zeznaniu podatkowym za 2025 r. powinniśmy odliczyć 43 936 zł* – Michał Myck, prof. Instytutu Nauk Ekonomicznych UW, cytuje sumy z raportu CenEA (Centrum Ekonomicznych Analiz) ze Szczecina, któremu szefuje. To przecież były lata ogromnej inflacji, która w rekordowym roku przekroczyła nawet 18 proc. Sam premier Morawiecki, jak donosiły media, zabezpieczył się przed nią, kupując obligacje indeksowane wskaźnikiem inflacji. Realna wartość rosnących zarobków oraz kwoty wolnej spadała, ale obciążenia podatkowe rosły. Tymczasem do tej pory kwota wolna wynosi 30 tys. zł. Wskutek tego fiskus opodatkowuje nawet emerytów, którzy dzięki kwocie wolnej mieli praktycznie podatku PIT w ogóle nie płacić.

Skutki wcześniejszego wpadania w progresję, czyli przekraczania progu, od którego płacimy już 32 proc. podatku (plus oczywiście 9 proc. składki na zdrowie), też można policzyć. Od czasu Polskiego Ładu próg zamrożony na poziomie 120 tys. zł według CenEA powinien wynosić już 175 745 zł.

Dr Sławomir Dudek jako obywatel nie cieszy się z tego, że dostał po kieszeni, ale jako szef Rady Fiskalnej, która ma uważnie patrzeć rządowi na ręce i alarmować, gdy wydatki państwa niebezpiecznie przekraczają jego możliwości finansowe, uważa że rząd robi słusznie, bo innego wyjścia nie ma. I będzie mroził nadal, bo prawdziwej reformy systemu w obecnej sytuacji zrobić się nie da.

Skoro państwo tyle zarabia na mrożeniu, a średniaków skubie, jakby byli krezusami, to dlaczego tak źle wypadamy na tle innych krajów Unii? – *Udział podatków od dochodów osobistych w PKB krajów UE wynosi przeciętnie 9,6 proc., Polska od tej średniej odstaje, u nas jest to tylko ok. 5 proc.* – mówi Marek Skawiński.

Głównym źródłem dochodów państwa pozostaje VAT, podatek nakładany przy sprzedaży towarów i usług, w tym roku ma przynieść 341,5 mld zł. Stawka tego podatku jest u nas jedną z wyższych w Unii, wynosi 23 proc., najwyższą mieli Węgrzy: 27 proc. Z akcyzy, dodatkowo powiększającej ceny alkoholu, paliw i papierosów, fiskus liczy na kolejne 103,3 mld. W ramach CIT, podatku od zysków firm, budżet ma zostać zasilony sumą 80,4 mld zł, kwota nie wydaje się imponująca. Wpływy z PIT szacuje się na ponad 202 mld zł.

Reforma, której nie da się przeprowadzić, nie powinna polegać jednak na podwyższeniu stawek PIT, nie tędy droga. Wtedy bowiem wpływy z podatku od dochodów osobistych byłyby jeszcze niższe, z systemu uciekliby na samozatrudnienie kolejni najlepiej zarabiający. Bo w Polsce korzystniejszą formą opodatkowania jest obecnie ryczałt ewidencjonowany. – *W żadnym kraju OECD nie ma tak wielu jednoosobowych przedsiębiorców, którzy nikogo nie zatrudniają* – twierdzi Marek Skawiński.

Nowe elity

Obecny system PIT niewiele już przypomina ten, który Leszek Balcerowicz, wtedy wicepremier i minister finansów, wprowadzał w 1991 r., przed 35 laty. Wcześniej podatku od dochodów osobistych nie płaciliśmy sami, za pracowników hurtem płaciły go zakłady pracy, w socjalistycznej gospodarce kominów płacowych nie było. Finansową elitą byli tzw. prywaciarze, to im skarbówka przyglądała się uważnie, od czasu do czasu karząc ich tzw. domiarami. Gospodarka rynkowa, którą zaczynaliśmy budować, dopuszczała rozwarstwienie dochodowe, a państwo potrzebowało nowoczesnego systemu rozliczania podatku od dochodów osobistych, stąd PIT.

Ówczesny PIT był powszechny, obowiązywał wszystkich osiągających dochody. Stawki były trzy: 19, 30 i 40 proc. W najwyższą progresję wpadał niecały procent podatników, wtedy rzeczywiście osiągających imponujące dochody. Nie było ulg na dzieci. Balcerowicz uważał, że od polityki prorodzinnej nie jest Ministerstwo Finansów, tylko spraw socjalnych.

Później ustawa o PIT stała się tą, przy której politycy majstrowali najchętniej, wielokrotnie była nowelizowana. Każda ekipa rządząca usiłowała wprowadzać przywileje podatkowe dla swoich wyborców (do tej pory powszechny system PIT nie objął rolników), lobbyści umieszczali zapisy pozwalające zorientowanym pomniejszyć podatek, zanim luka zostanie ▶

PIT kontra ryczałt

Ile dziś wynosi podatek od dochodów osobistych (Personal Income Tax – PIT)? Od kwoty 30 tys. zł to 12 proc., ale 9 proc. składki na zdrowie obowiązuje od pierwszej zarobionej złotówki. Po przekroczeniu progu 120 tys. zł podatek wynosi 32 proc. **Systemem PIT objęci są emeryci, osoby pracujące, a także mniejsi przedsiębiorcy.**

Z tym że mali przedsiębiorcy z wyższymi dochodami (sporo powyżej 120 tys. zł) mogą też wybrać podatek liniowy ze stawką 19 proc.

Samozatrudnieni to osoby, które założyły jednoosobową firmę. Ich obciążenie, tzw. składki na ZUS oraz na zdrowie, jest mniejsze niż osób na etacie. Ta forma zatrudnienia opłaca się osobom z wyższymi dochodami, które chcą uniknąć podatku 32 proc.

Jeszcze bardziej opłaca się samozatrudnionym tzw. **ryczałt ewidencjonowany**, wypadają wtedy z systemu PIT, unikają progresji podatkowej. Nie płacą podatku, tylko ryczałt. Stawki ryczałtu są różne, od 2 do 17 proc., oblicza się go od uproszczonej ewidencji przychodów. Opłaci się przedsiębiorcom, których firmy mają bardzo małe koszty, np. radcom prawnym, pośrednikom w handlu nieruchomościami. Składki na ZUS i na zdrowie także są dużo niższe.

eprasa.pl 89a8166262

Co się bardziej opłaca

Ile zostaje „na rękę" przy różnych formach opodatkowania.

Oto podatnicy PIT, których roczne przychody wynoszą 100 tys. zł, 250 tys. zł oraz 500 tys. zł. W zależności od tego, czy są na umowie o pracę , czy też decydują się przejść na samozatrudnienie, różnica w zarobkach, jakie otrzymują „na rękę", jest ogromna. Im większe osiągają dochody, tym bardziej im się opłaca.

- **Pracownik, który jest wart dla pracodawcy rocznie 100 tys. zł**, bo taki jest koszt jego pracy, na umowie o pracę, „na rękę" dostanie 60,541 tys. zł. Reszta to składki i podatek. ZUS – 28 378 zł, NFZ – 6446 zł, PIT – 4635 zł. Nawet przy tych samych dochodach opłaci mu się przejść na samozatrudnienie, bo wtedy na rękę dostanie 64,334 tys. zł. Zaoszczędzi na składkach. Na ryczałt przy tak niskich dochodach nie opłaci się przechodzić.
- **Przy rocznych kosztach pracy 250 tys. zł** osoba zatrudniona na etacie „na rękę" otrzyma 134,2 tys. zł, reszta to składki i podatki. Umowa o pracę jest najmniej korzystna. Jako jednoosobowy przedsiębiorca, nawet gdy płaci PIT progresywny, na rękę otrzyma 161,5 tys. zł. Jeśli jednak samozatrudniony zdecyduje się na podatek liniowy, na czysto zostanie mu już 174,8 tys. zł. Gdyby wybrał ryczałt, zarobi jeszcze więcej. Stawka (w przypadku lekarzy, pielęgniarek, inżynierów, architektów) może wynieść 14 proc. i wtedy „na rękę" dostanie 185,6 tys. zł. Przy stawce 12 proc. (m.in. dla informatyków) na czysto oznacza już 190 tys. zł. Jest też stawka 5,5 proc. (też m.in. dla informatyków, kryteria są dość uznaniowe), wtedy jednoosobowy przedsiębiorca ponosi obciążenia najmniejsze, w kieszeni zostanie mu 204,6 tys. zł.
- **Osoba osiągająca 500 tys. zł rocznie** na etacie na czysto dostałaby zaledwie 260,1 tys. zł. Gdyby była jednoosobowym przedsiębiorcą i też rozliczała się „na skali", dostałaby już 309 tys. zł. Bardziej opłaciłoby się jednak zdecydować na podatek liniowy i zostawić sobie 366 tys. zł. Doradca podatkowy z pewnością wskazałby jednak ryczałt. Przy stawce 14 proc. na czysto zostaje 393 tys. zł, a przy 5,5 proc. – już 433 tys. zł.

(Wyliczenia według CenEA)

▶ odkryta i zlikwidowana. Przebojem podatkowym stały się słynne darowizny, umożliwiające zminimalizowanie wysokiego podatku hojną ofiarą na Kościół albo ufundowaniem prywatnej renty dla cioci. Z każdym rokiem system stawał się gorszy, średniakom przykręcał śrubę, najzamożniejszym pozwalał wymigać się od ponoszenia kosztów utrzymania państwa.

Kiedy Leszek Balcerowicz po raz drugi został wicepremierem i ministrem finansów w rządzie Jerzego Buzka, uznał, że pokusę manipulowania przy podatkach zlikwiduje jedna, 19-procentowa stawka dla wszystkich, czyli podatek liniowy. Jedna stawka nie oznacza identycznego podatku, osoby o wyższych dochodach płaciłyby proporcjonalnie więcej. Uchwaloną przez parlament ustawę w 1999 r. zawetował prezydent Aleksander Kwaśniewski. Ale podatek liniowy ze stawką 19 proc. – choć tylko dla przedsiębiorców, także tych najmniejszych, rozliczających się w systemie PIT – wprowadził premier Leszek Miller.

Prof. Ryszarda Bugaja, szefa lewicowej Unii Pracy, oburzał prawicowy zwrot, jaki wykonał lewicowy rząd Leszka Millera. Uważał za niesprawiedliwe, że właściciel firmy może wpisać w jej koszty wiele prywatnych wydatków, podczas gdy koszty uzyskania przychodu dla pracowników są śmiesznie niskie, ledwie starczają na bilet miesięczny na komunikację miejską. Mały przedsiębiorca odlicza zaś sobie nie tylko koszt benzyny, ale i samochodu, a nawet fakturę za karmę dla kota. Najbardziej okazałe rezydencje czołówki najbogatszych Polaków w podwarszawskim Konstancinie formalnie były i są własnością ich firm.

Rząd PiS, zapowiadając Polski Ład, obiecał walkę z patologiami, także z nieuzasadnionymi przywilejami przedsiębiorców. Beneficjentami zmian mieli być najbiedniejsi emeryci, którym 30-tysięczna kwota wolna od podatku miała pozwolić w ogóle go nie płacić. Zyskać mieli także średniacy.

Przedsiębiorcy, płacący do tej pory bardzo niskie, bo liczone od równowartości 60 proc. przeciętnego wynagrodzenia, składki na zdrowie, mieli płacić więcej. Niekiedy absurdalnie dużo, bo składka na zdrowie miała być płacona także od wartości np. sprzedawanego samochodu.

Już po wprowadzeniu Polskiego Ładu zapanował bałagan, z wielu zmian wycofano się w trakcie roku podatkowego. Było o nich głośno. Ważniejsze są jednak te wprowadzone cichcem – w wyniku uzgodnień z różnymi grupami interesu – które szły w odwrotnym kierunku. To one spowodowały, że obecny system PIT stał się nie tylko dysfunkcjonalny, ale że podatki bezpośrednie w najwyższej wysokości płacą niemal wyłącznie osoby zatrudnione na umowie o pracę, które trudno uznać za najbogatsze.

Armia beneficjentów

Prawdziwe zmiany w Polskim Ładzie polegały na tym, że podatnikom „na skali", czyli płacącym PIT z progresywnymi stawkami, dokręcono śrubę zamrożeniem kwoty wolnej oraz progów, a jednocześnie spektakularnie obniżono obciążenia osobom na tzw. ryczałcie oraz podniesiono limit dochodów, które można na tej formie działalności uzyskać: z 250 tys. do 2 mln euro. Czyli osoby będące jednoosobowymi przedsiębiorcami, osiągające roczny dochód do prawie 9 mln zł, mogą zapłacić 14, albo 12, a nawet 5,5 proc. podatku.

Morawiecki doskonale wiedział, kogo obdarowuje. – *Już w 2021 r., kiedy zwiększono ryczałtowcom limit przychodów do 2 mln euro, średni roczny dochód jednoosobowego ryczałtowca, płacącego stawkę 14 proc., wynosił 287 tys. zł. Wtedy liczba rozliczających się w tej formie gwałtownie zaczęła rosnąć. Eksplozja ryczałtowców nastąpiła rok później, kiedy z podatku liniowego masowo rezygnowali informatycy, przechodząc na 12-procentową stawkę ryczałtu* – relacjonuje Marek Skawiński.

Obecnie liczba osób decydujących się na rozliczanie ryczałtem przekroczyła już 2,1 mln i ciągle rośnie, mimo że przy tej formie działalności nie można odliczać kosztów. I tak się opłaci – i to jak! (patrz ramka obok). Niższe są przecież nie tylko liczne stawki ryczałtu, ale także składka na zdrowie oraz obciążenia na ZUS. Zdumiewa też liczba stawek podatku, bez wprowadzenia ostrych kryteriów, które komu się należą.

W obecnej wersji system PIT nie jest sprawiedliwy. Stworzył liczną armię beneficjentów, która kosztem reszty społeczeństwa będzie swoich przywilejów bronić. Na straży ich interesów stoi też prezydent Nawrocki, który zawetował bardzo nieśmiałą ustawę, próbującą nieco uszczelnić ustawę o fundacjach rodzinnych.

JOANNA SOLSKA

eprasa.pl 89a8166262



© ALEXANDER NEMENOV/EPA/PAP

Car prysł

Słabnący w oczach Władimir Putin zaczyna przegrywać wojnę propagandową. Czy teraz Zachód uwierzy, że Rosja może przegrać w Ukrainie?

AGNIESZKA LICHNEROWICZ

Władimir Putin z gołym torsem siedzący na koniu. Albo łowiący ryby w rzece, też z gołą klatą. Przez długie lata wizerunek prezydenta Rosji definiowały tego rodzaju zdjęcia. W pamięci Zachodu mógł też utrwalić się Putin na drzewie, kontemplujący świat. Albo zrobione przy innych okazjach fotografie przywódcy Rosji obok zastrzelonego tygrysa. Lub w batyskafie, celującego z karabinu czy uprawiającego dżudo.

Przekaz rosyjskiej propagandy był prosty: demokracje są słabe i „zniewieściałe", a Putin to siła i macho. Zachodnie media publikowały tego rodzaju zdjęcia niby z przymrużeniem oka, ale też z przepełnioną orientalizmem fascynacją. A bywało, że i z podziwem albo strachem. Jednak w ostatnich miesiącach w tej rosyjskiej maszynie coś się zacięło i w zachodnich narracjach doszło do przewrotu.

Spektakularnym objawem stały się medialne relacje z dorocznej Parady Zwycięstwa. Pod rządami Putina rocznica zakończenia drugiej wojny światowej stała się najważniejszym świeckim świętem. Prezydent Rosji wykorzystywał obchody, aby mobilizować rodaków do walki ze współczesnym nazizmem, czyli – jak przekonuje – z Ukrainą i wspierającym ją Zachodem. Defilady były też okazją do projekcji siły, świat miał podziwiać i bać się najnowszych czołgów, samolotów i pocisków.

W tym roku na Placu Czerwonym nie było ciężkiego sprzętu, rakiety Putin oglądał na telebimach. Co więcej, w jego otoczeniu niemal nie było zagranicznych przywódców, co sygnalizowało, że zdjęcia z Putinem i możliwość pogawędki z przywódcą Rosji mocno straciły na wartości. Tym bardziej że dla wielu zaprzyjaźnionych liderów ryzyko stało się zbyt wysokie – zagraniczne media rozpisywały się o tym, że Ukraińcy potrafią ▶

eprasa.pl 89a8166262

▶ już trafić w cele nawet 2 tys. km w głąb Rosji. A Moskwa jest znacznie bliżej.

Zełenski pozwolił

Uderzenia w rosyjską infrastrukturę przemysłowo-energetyczną i w militarne zaplecze frontu to jeden z filarów ukraińskiej „strategicznej neutralizacji". Jej celem jest nie tyle zwycięstwo, ile niszczenie kremlowskich zdolności do atakowania. Żeby Putinowi w kalkulacjach wyszło, że więcej może osiągnąć dzięki dyplomacji niż na froncie. Ataki, które prezydent Wołodymyr Zełenski nazywa „sankcjami", realnie podkopują gospodarkę wojenną. Jak wylicza agencja Reutera, o 40 proc. zredukowały zyski Rosji z wyższych cen ropy spowodowanych wojną Donalda Trumpa z Iranem. Mają też znaczenie psychologiczne. Zaskoczeni Rosjanie osobiście zaczynają doświadczać wojny, bo rosyjska obrona powietrzna – dziurawa i bezsilna – nie może już zatrzymać wszystkich ukraińskich ataków.

W rezultacie 9 maja internet zalały memy z Putinem uciekającym przez Plac Czerwony przed ukraińskimi dronami. Albo ściganym przez – zbuntowanych jak podczas rewolucji lutowej 1917 r. – żołnierzy wracających z przegrywanej wojny. Ostatecznie prezydentowi Rosji pomógł druh Trump, który wynegocjował z Zełenskim rozejm na czas parady. Prezydent Ukrainy jednak i tak Putina strolował, wydając oficjalny dekret pozwalający Kremlowi na zorganizowanie uroczystości.

Ostatecznie tegoroczne święto zwycięstwa zamiast symbolem siły stało się oznaką rosyjskiej słabości. Zamiast zdjęć nagiego torsu są opowieści o bunkrach. „Putin traci swoją magię. Władza pozostaje niepodzielna w jego rękach, ale jej czar słabnie" – podsumowuje Aleksandr Baunow, analityk Carnegie Russia Eurasia Center. Podkreśla też, że w samym Putinie zamiast samca alfa ludzie „coraz częściej widzą starca z chudymi nogami i kurczącymi się mięśniami pod workowatym garniturem", a jego mowa staje się coraz bardziej chaotyczna.

„Financial Times" opisuje rosnącą obsesję Putina na punkcie bezpieczeństwa. Boi się ponoć nie tylko dronów, ale też zamachu – zdrady podwładnych albo długich rąk ukraińskich służb, które zabiły już kilku rosyjskich generałów. Według brytyjskiego dziennika służby jeszcze mocniej filtrują więc dostęp do Putina, a jego współpracownicy coraz bardziej wybiórczo przekazują mu informacje. I opowiadają mu, że rosyjskie wojsko do jesieni odbije cały obwód doniecki, dzięki czemu prezydent Rosji zasiądzie do stołu negocjacyjnego w lepszej pozycji. Dlatego mimo wszystkich słabości Putin nie zamierza wstrzymywać działań wojennych. Zwłaszcza że potencjalne zawieszenie ognia to dla niego kolejne kłopoty, choćby w postaci powracających z frontu żołnierzy, którzy mają większą gotowość do przemocy i buntu.

Kwestia wiary

Ile w tych doniesieniach jest prawdy, ile umiejętnie podkręcanych przez ukraińskie czy zachodnie służby plotek – trudno zweryfikować. Ewidentnie Putin stracił jednak supremację w wojnie propagandowej. A to wojenny front, który należy doceniać. Wiara w zwycięstwo jest tu kluczowa. Jeśli europejskie społeczeństwa, a za nimi elity polityczne, nie wierzą, że Rosja może wojnę przegrać, to jaki jest sens wspierać Ukrainę? Po tej linii zresztą wcześniej argumentował Trump, który przekonywał, że przecież i tak Moskwa wygra, więc po co przedłużać tragedię wojenną. Lepiej spełnić żądania Kremla przy stole negocjacyjnym, oszczędzić życia żołnierzy i robić interesy. Ale dziś nawet on zmienił zdanie – ostatnio ogłosił, że prezydenta Ukrainy lubi, a ukraińską armię docenia.

Tuż po nieudanej paradzie Kreml przeprowadził potężne ataki na ukraińskie miasta. „Zamiarem było pokazanie siły, ale te posunięcia można równie dobrze zinterpretować jako słabość. Nie reprezentują one nowej strategii wygrania wojny" – komentuje Lawrence Freedman z King's College London. Kijów odpowiedział jedną z największych skoordynowanych operacji dronów, które skierował na obwód moskiewski i tamtejszą rafinerię, terminal naftowy oraz park technologiczny.

„Za każdym razem, gdy Putin się obawia, że kraje zachodnie mogą uznać Rosję za słabą, stara się wzmocnić odstraszanie, przypominając im o jej nuklearnej sile" – ostrzega przy tym Freedman. I rzeczywiście, kilka dni po paradzie Rosja przeprowadziła ćwiczenia z taktyczną bronią jądrową. Eksperci zgodnie oceniali, że ich celem było postraszenie Europy.

„Putin jest dużo słabszy, niż myślicie. Przyzwyczajony do przechytrzania wrogów rosyjski przywódca zaczyna mieć coraz mniej pola manewru" – to kolejny nagłówek z ostatnich tygodni, tym razem w „Foreign Policy". Bo to nie tylko kwestia wizerunku, lecz także twardych faktów. Rosja jest wojną coraz bardziej wyczerpana. Ukraina też, ale odzyskuje inicjatywę. Eksperci już od miesięcy zwracali na to uwagę, ale dopiero wiosną te analizy na szeroką skalę przenikły do zachodnich mediów.

Gorzej niż w Wietnamie

Po pierwsze, zgodnie z przewidywaniami rosyjska gospodarka wojenna stacza się w recesję – w pierwszym kwartale tego roku rosyjski PKB spadł. To nie jest sygnał, że Rosja zaraz zbankrutuje, ale będzie mieć coraz mniej sił na prowadzenie wojny. To bowiem trend o charakterze strukturalnym, a na Kremlu nie widać pomysłu, jak to przełamać. Wojna zaostrzyła liczne patologie, czego symbolem są rosyjskie prognozy demograficzne. Współczynnik dzietności jest najniższy od 200 lat. Na froncie mogło zginąć nawet 350 tys. Rosjan. Kraj opuścił niecały milion osób, ale według niezależnego medium „Coda strony" dane Google wskazują, że znów wzrosło zainteresowanie informacjami o tym, jak emigrować. W odpowiedzi ministerstwo zdrowia zaleciło, by kobiety, które nie chcą mieć dzieci, kierować do psychologa.

Po drugie, mimo ogromnych rosyjskich strat w ludziach front we wschodniej Ukrainie niemal stoi, a bombardowania miast nie złamały ukraińskiej woli walki. Liczba zabitych i poważnie rannych Rosjan może sięgać nawet 1,3 mln. „Liczba poległych żołnierzy rosyjskich jest ponad pięciokrotnie wyższa niż straty poniesione przez armię amerykańską podczas wojny w Wietnamie" – zwraca uwagę „New York Times", podkreślając jednak, że według niektórych szacunków więcej żołnierzy – w stosunku do liczby ludności – straciła Ukraina.

Ukraińcy są potwornie zmęczeni, ale toczą egzystencjalną walkę o przetrwanie, a do tego ich kraj w ostatnim czasie zaliczył kilka sukcesów. Jego strategia – oprócz uderzeń w głąb Rosji – stawia za cel również zwiększenie śmiertelności rosyjskich żołnierzy powyżej obecnych zdolności mobilizacyjnych Moskwy. Wydaje się, że w ostatnich pięciu miesiącach ukraińskim siłom zbrojnym to się udaje. Szersze wykorzystanie nowych technologii na polu walki ma też załagodzić problemy mobilizacyjne.

To właśnie ukraińska rewolucja militarno-przemysłowa w dużej mierze przyczyniła się do zmiany postrzegania układu sił na tej wojnie. Ukraina jest już nie tylko biorcą wsparcia, lecz

eprasa.pl 89a8166262

także atrakcyjnym partnerem w obliczu rosyjskiego imperializmu i amerykańskiego wycofywania się z Europy. Moskwa oczywiście cały czas nadgania Ukrainę w tym wyścigu – jak szacuje Kijów, Rosja wyprodukuje w tym roku 7 mln dronów. Na razie jednak to ukraińskie know-how i technologie (anty)dronowe budzą zainteresowanie innych państw i dają Ukrainie przewagę, z której umiejętnie korzysta. Kijów uniezależnił się też od coraz mniej stabilnych Stanów Zjednoczonych – Zełenski pozwala sobie na krytykę Waszyngtonu i wzywa Europę, by wzorem Kijowa zamiast rozpaczać z powodu Trumpa, wzięła się do budowania własnych zdolności.

Putin z gruntu dobry

Jednocześnie Rosja traci na arenie międzynarodowej: nie uratowała sojuszników w Wenezueli i Syrii, nie pomogła Iranowi, a ostatnio kremlowski Korpus Afrykański został upokorzony w Mali, gdzie wspierający reżim Rosjanie musieli ratować się ucieczką przed dżihadystami.

Coraz bardziej niezadowoleni są też rosyjscy ultrapatrioci. Tak zwani Z-blogerzy krytykują już nie tylko dowództwo armii, lecz także samą wojnę. W marcu szerokim echem w rosyjskiej



Po 9 maja internet zalały memy z przerażonym Putinem uciekającym przez Plac Czerwony przed ukraińskimi dronami

infosferze odbiły się wypowiedzi Ilji Remiesły, który nazwał Putina złodziejem i przestępcą oraz przepowiedział utratę przez niego władzy jeszcze w tym roku. A były dowódca prorosyjskich „separatystów" we wschodniej Ukrainie Igor Striełkow ostrzegł, że Rosja jest na dobrej drodze do klęski militarnej.

Choć społecznego buntu obserwatorzy się nie spodziewają, to jednak niezadowolonych jest coraz więcej tzw. zwykłych Rosjan. Dziesiątki milionów użytkowników obejrzało nagranie rosyjskiej influencerki Wiktorii Bonii, która zwróciła się bezpośrednio do Putina, mówiąc mu: „Ludzie się ciebie boją". Mimo mizoginistycznych ataków ze strony klakierów Kremla Bonia nagrała kolejne filmy, a na jej apel zareagował sam rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow i zapewnił, że podnoszonymi przez nią problemami władze się już zajmują.

„Przedstawiła głęboko archetypiczną rosyjską narrację: dobry władca jest otoczony skorumpowanymi urzędnikami. Sugeruje, że Putin jest z gruntu dobry, ale nie zna całej prawdy, ponieważ urzędnicy ją przed nim ukrywają" – komentuje dziennikarz i pisarz Michaił Zygar. Zwraca jednak uwagę, że popularność nagrania apolitycznej blogerki sygnalizuje niezadowolenie nawet dotychczas obojętnej części rosyjskiego społeczeństwa.

Spadek zaufania do władzy potwierdzają sondaże. Szczególne wzburzenie i frustrację wywołują kremlowskie eksperymenty z odcinaniem internetu, które w końcu dotknęły też Moskwę. Forsowane przez FSB ograniczenia nie tylko utrudniają codzienne funkcjonowanie w XXI-wiecznym mieście, uniemożliwiają korzystanie z transportu i płacenie kartą, ale uderzają też w mniejszy i większy biznes. Coraz bardziej uciążliwe są zakazy i blokady popularnych komunikatorów jak Telegram i WhatsApp.

Analitycy dostrzegają też rosnące niezadowolenie w samej elicie. „Punktem zapalnym jest praktycznie pełna swoboda, jaką Putin pozostawia Federalnej Służbie Bezpieczeństwa (FSB) w zakresie dyscyplinowania elity. (...) Wcześniejsze nieformalne reguły gry, pozwalające na bezpieczne funkcjonowanie i bogacenie się członków elit dzięki spełnianiu określonych oczekiwań Kremla (m.in. bezwzględna lojalność czy przestrzeganie zasad dotyczących korupcji), uległy demontażowi" – pisze Maria Domańska z Ośrodka Studiów Wschodnich.

I dodaje, że wynikiem tych napięć jest fala „korupcyjnych" aresztowań, zwłaszcza na szczeblu regionalnym i lokalnym. Oraz niewyjaśnione zgony przedstawicieli elit politycznych i biznesowych. A do tego nacjonalizacje, reprywatyzacje i wrogie przejęcia na skalę niewidzianą od dekad. „Dla przeważającej części elity kurczą się możliwości pozyskiwania renty korupcyjnej, narasta też darwinistyczna rywalizacja o władzę i dochody" – podsumowuje ekspertka.

Ratujcie Rosję!

Zaznacza przy tym jednak, że „choć nasilają się oznaki erozji systemu, brakuje przesłanek pozwalających mówić o rychłym kryzysie władzy czy możliwym buncie elit". Proces upadania systemu może trwać latami. Chyba że dojdzie do kryzysu na froncie lub śmierci Putina. Inni analitycy dodają jednak, że Putin przetrwał już niejeden kryzys. Tym bardziej że w Rosji utrata poczucia siły może wywołać paniczną agresję. Można spodziewać się zaostrzenia trendu totalitarnego i represji, a na zewnątrz – nasilenia wojny hybrydowej: dywersji, cyberataków i dezinformacji. „Pułapka, którą Putin zastawił na siebie, ma charakter psychologiczny: reżim, który uzasadniał swój autorytarny model obietnicą przywrócenia rosyjskiej potęgi, nie może przyznać się do strategicznej porażki bez ryzyka politycznego upadku" – ostrzegają eksperci z ośrodka analitycznego RUSI.

Jednocześnie ich zdaniem „obecna strategia Zachodu – uzbrajanie Ukrainy, nakładanie sankcji, wzmacnianie krytycznej infrastruktury – rozbija militarną, gospodarczą i polityczną spójność Rosji. Nawet jeśli jest boleśnie powolna, a Ukraina ponosi straszliwe koszty ludzkie". Pytanie tylko, jak długo Europejczycy będą w stanie utrzymać takie wsparcie dla Kijowa.

W przyszłości, jeśli problemy Kremla staną się jeszcze większe, celem rosyjskich operacji wpływu – ostrzega Domańska – będzie skłonienie zachodnich decydentów do „uratowania" reżimu putinowskiego przed skutkami jego własnej polityki. Brzmi to paradoksalnie, ale w przeszłości Moskwa niejednokrotnie umiejętnie grała na strachu państw zachodnich przed upadkiem mocarstwa nuklearnego i destabilizacją w Rosji.

Tymczasem największa od 1945 r. wojna w Europie trwa już piąty rok – front niemal stoi, ale kosztem życia i zdrowia setek tysięcy ukraińskich żołnierzy.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ

© AN (2)

eprasa.pl 89a8166262



Szpieg w oknie

Amerykanin i słynny izraelski agent Jonathan Pollard zapowiada start w tegorocznych wyborach do Knesetu. Jego program – wyrzucić wszystkich Palestyńczyków – niewielu już oburza.

AGNIESZKA ZAGNER

Z okien penthouse'u Jonathana Pollarda w centrum Jerozolimy roztacza się widok na wschodnią część miasta. W jego wizji Palestyńczycy bez izraelskiego obywatelstwa mają stamtąd zniknąć. Gdy już przejmie władzę, to samo czeka mieszkańców Strefy Gazy i Zachodniego Brzegu Jordanu, które powinny być anektowane przez Izrael.

– *Po 7 października wiele się zmieniło. Zrozumiałem, że nie możemy pozwolić, by państwo ponownie porzuciło swoich obywateli. Zacząłem się rozglądać za partią dla siebie, ale zarówno te opozycyjne, jak i będące w obecnej koalicji mają izraelską krew na rękach* – mówi Pollard w rozmowie z POLITYKĄ, odnosząc się do ataku Hamasu z 7 października 2023 r.

Kilka tygodni temu zgłosiła się do niego „jedna z mniejszych partii". Postawił warunek: nikt nie będzie go kontrolować. – *Nie możecie mnie powstrzymać, bo nie potrzebuję pieniędzy. Jestem, dzięki Bogu, odnoszącym sukcesy przedsiębiorcą* – tłumaczy Pollard. Ale o swojej działalności mówi enigmatycznie: – *To rozmaite biznesy, w tym alternatywna energia. I nie chodzi o wiatrową, słoneczną, nuklearną ani gazową. To nowa technologia i właśnie jesteśmy w trakcie jej rozwijania. Teraz staram się robić rzeczy konstruktywne, bo większość mojego zawodowego życia spędziłem, robiąc rzeczy raczej złe.*

30 lat za kratami

Ronen Bergman w książce „Powstań i zabij pierwszy. Tajna historia skrytobójczych akcji izraelskich służb specjalnych" tak opisał Pollarda: „Amerykański Żyd oddający się niedorzecznym marzeniom o byciu szpiegiem i zmianie biegu historii, próbował dostać się do CIA, lecz został odrzucony z powodu »znacznej niestabilności emocjonalnej«". Z kolei Dan Raviv i Yossi Melman w książce „Szpiedzy Mossadu i tajne wojny Izraela" podają bardziej dosadne sformułowania z teczki Pollarda w CIA: „notoryczny kłamca, potencjalny szpieg, żarliwy syjonista, narkoman".

Pollard, obywatel USA, już na studiach w Uniwersytecie Stanforda opowiadał kolegom, że jest pułkownikiem izraelskiej armii, a Mosad przygotowuje go do szpiegowania w Waszyngtonie. Oczywiście wyssał to wszystko z palca, co więcej, kilka lat później Mosad odrzucił jego ofertę współpracy, by nie popsuć relacji z USA. Przygarnęła go jednak niewielka agencja Lakam podległa izraelskiemu ministerstwu obrony, zajmująca się szpiegostwem technologicznym i nuklearnym. Na jej czele stał Rafi Eitan, weteran służb wywiadowczych, osławiony akcją porwania Adolfa Eichmanna.

Pollard był już wtedy analitykiem w amerykańskiej marynarce wojennej z dostępem do informacji wywiadowczych, w tym satelitarnych (w tym czasie Izrael nie miał jeszcze swoich). Mimo że USA były sojusznikiem Izraela, nie dzieliły się z nim wszystkimi informacjami lub przekazywały je z opóźnieniem. Pollard chciał to naprawić – jak zapewniał – nie czyniąc krzywdy Ameryce.

Była połowa lat 80. Trzydziestoparoletni Pollard w ciągu niecałego roku przekazał Izraelowi mnóstwo cennych informacji, w tym dane o najnowszych systemach broni kupionej przez arabskich sąsiadów, syryjskiej broni chemicznej, raporty o pakistańskim programie nuklearnym i o irackich ambicjach atomowych. Najcenniejszą dostarczoną informacją były zdjęcia lotnicze kwatery głównej Organizacji Wyzwolenia Palestyny w Tunisie – pozwoliły Izraelowi zbombardować ten kompleks.

© BRENDAN MCDERMID/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 89a8166262

W końcu jednak Pollard wpadł. Przed amerykańskim sądem przyznał, że gdyby ułożyć przekazane Izraelowi tajne dokumenty w stos, miałby on trzy metry wysokości. Za swoje usługi dla Izraela otrzymywał 1,5 tys. dol. miesięcznie i jednorazowo 10 tys. dol. w gotówce oraz drogi pierścionek z szafirem i brylantem dla ówczesnej żony. Skazano go na dożywocie, przesiedział 30 lat.

Gdy wyszedł z więzienia w 2015 r., miał 61 lat. Ale dopiero w 2020 r. pozwolono mu wyjechać do Izraela – nieprzypadkowo prezydentem był wówczas Donald Trump, znany ze swojej proizraelskiej postawy. „Jesteś w domu" – tak na lotnisku w Tel Awiwie powitał go premier Beniamin Netanjahu.

Dziś Pollard twierdzi, że warto było poświęcić te 30 lat życia. Ma jednak żal do izraelskich polityków i służb. W 1985 r., kiedy zorientował się, że Amerykanie są na jego tropie, próbował z żoną uciec do Ambasady Izraela, ale kazano mu opuścić jej teren, a potem usiłowano się od niego odcinać. Dopiero z czasem izraelscy politycy zaczęli lobbować na rzecz jego ułaskawienia.

Melman, autor wspomnianej książki o Mosadzie: – *Pollard był niezwykle cenny dla izraelskiego wywiadu, ale w oczach amerykańskiej wspólnoty wywiadowczej jest zdrajcą. Wyrządził ogromne szkody relacjom izraelsko-amerykańskim.*

Po złapaniu Pollarda w USA władze izraelskie rozwiązały agencję Lakam, a ówczesny premier Szymon Peres obiecał prezydentowi Ronaldowi Reaganowi, że coś podobnego już nigdy się nie powtórzy. Sprawa Pollarda wciąż jednak głęboko uwiera Amerykanów. Gdy w listopadzie zeszłego roku spotkał się on z ambasadorem USA w Izraelu Mikiem Huckabee, w waszyngtońskich kręgach wywiadowczych zawrzało.

Bez Palestyńczyków

Nissim Louk jest założycielem partii Orot HaSzachar (Światła Świtu). Chce walczyć o to, by ofiara zabitych przez Hamas Izraelczyków nie poszła na marne. Była wśród nich jego 22-letnia córka Szani, porwana z festiwalu Nova, której ciało hamasowcy wrzucili na pick-upa i obwozili po Gazie. Jego ugrupowanie domaga się wysiedlenia wszystkich Palestyńczyków ze Strefy Gazy. Louk nie chce jednak, aby w to miejsce osiedlili się Żydzi. Z radością widziałby realizację futurystycznej wizji Donalda Trumpa z luksusowymi kurortami i parkami.

Pollarda Louk poznał niedawno. Zrobił na nim spore wrażenie jako „idol", „człowiek inteligentny", „z doświadczeniem życiowym". Razem chcą zagospodarować prawą stronę sceny politycznej, stając się radykalną konkurencją dla już radykalnych koalicjantów Netanjahu: Itamara Ben-Gwira i Becalela Smotricza. – *Mieszkańcy Gazy nie mają dziś żadnej przyszłości, nie mają jej też dzieci, ponieważ rodzą się w terrorze i przemocy. Chcemy im pomóc znaleźć lepsze życie, nawet jeśli trzeba będzie za to zapłacić. Możliwe, że trzeba będzie stworzyć „nową Gazę" gdzie indziej, może w Afryce albo w rejonie Kanału Sueskiego* – mówi Louk.

Zdaniem Gayil Talshir, wykładowczyni z Wydziału Nauk Politycznych Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, partia Pollarda i Louka może być testowaniem gruntu, czy Izraelczycy są gotowi na tak radykalne rozwiązania, jak wysiedlenie wszystkich Palestyńczyków ze Strefy Gazy i Zachodniego Brzegu. – *Partie ekstremistyczne są rosnącym segmentem izraelskiej sceny politycznej* – dorzuca Talshir. Jej zdaniem pomysły Pollarda dobrze rezonują w tej części izraelskiego społeczeństwa, która jest zawiedziona spóźnioną reakcją na atak z 7 października i nie widzi już nadziei na współistnienie z Palestyńczykami.

Widać to w sondażach. Wprawdzie sam Likud traci – aż 42 proc. jego wyborców chce głosować na inne, głównie prawicowe partie – ale już ugrupowanie Ben-Gwira, Żydowska Siła, raczej urośnie w nowym Knesecie, który musi być wybrany do października, a wniosek o wcześniejsze rozwiązanie parlamentu zgłosiły zarówno opozycja, jak i koalicja.

Pollard polityk dobrze wpisuje się w przesuwające się coraz bardziej na prawo izraelskie okno Overtona. To teoria stworzona w latach 90. przez amerykańskiego prawnika i analityka Josepha Overtona. Wedle niej „okno dyskursu", czyli zakres tematów i argumentów politycznie akceptowalnych dla ogółu społeczeństwa w danym momencie, może otwierać się bardziej lub mniej. A pomysły początkowo niemożliwe do zaakceptowania z biegiem czasu przestają szokować, a nawet stają się „rozsądne" dla większości.

To, co jeszcze kilkanaście lat temu było dla Izraelczyków nie do przyjęcia, dziś stało się normą. Dla przykładu: przez lata kwestia przymusowego wysiedlenia mieszkańców Strefy Gazy nie była nawet badana w sondażach, nikt nie ośmielił się o tym mówić publicznie. Dziś – jak wynika z badań prof. Tamira Soreka z University of Pennsylvania – aż 82 proc. izraelskich Żydów popiera wysiedlenie, a w praktyce wypędzenie mieszkańców z Gazy.

W tym samym badaniu na pytanie, czy zgadzają się ze stanowiskiem, że Siły Obronne Izraela „podczas zdobywania wrogiego miasta powinny działać w podobny sposób, w jaki postąpili Izraelici, zdobywając Jerycho pod wodzą Jozuego, a mianowicie zabić wszystkich jego mieszkańców", twierdząco odpowiedziała niemal połowa ankietowanych (47 proc.).

Izraelskie okno Overtona przesunęli w dużym stopniu sami politycy, którzy po ataku Hamasu mówili o „ludzkich zwierzętach" (minister obrony Joaw Galant). Sugerowali możliwość użycia broni jądrowej przeciwko Gazie (minister dziedzictwa narodowego Amichai Elijahu), wspominali też o „całkowitej zagładzie i wytępieniu Amaleka spod nieba" (Smotricz) czy „wymazaniu Strefy Gazy z powierzchni ziemi" (wiceprzewodniczący Knesetu Nissim Vaturi).

Tylko on?

I tu pojawia się Pollard. – *Przy każdych wyborach podobni ekstremiści próbują wejść do polityki. Ale dziś może to być dla nich tym łatwiejsze, że przy tak ekstremalnym rządzie, jaki mamy dziś w Izraelu, mogą oni wydawać się całkiem racjonalni* – dodaje Talshir.

W dodatku zaplecze polityczne Pollarda liczy na efekt świeżości – chociażby dlatego, że wśród tego grona brak polityków odpowiedzialnych za katastrofę 7 października. Nawet to, co dla wielu Izraelczyków może być barierą nie do przeskoczenia – czyli fakt, że ostatecznie Amerykanin Pollard zdradził własny kraj, sojusznika Izraela – dla zwolenników żydowskiej supremacji może się okazać zaletą.

Jakimś wyzwaniem jest okoliczność, że 72-letni Pollard nie mówi płynnie po hebrajsku. Ale on sam się tym nie przejmuje. – *Jest tylko jedna osoba, która może zagwarantować, że nigdy więcej nie będzie kolejnego 7 października. To nie Bibi Netanjahu ani żaden z polityków starego systemu. Tylko ja mogę zagwarantować to w 100 proc.* – zarzeka się Pollard, spoglądając w szeroko otwarte izraelskie okno. ■

eprasa.pl 89a8166262

Iran za kratami

Islamski reżim coraz bardziej przypomina monarchię Pahlawich. Gdy jest pod presją, zapełnia więzienia i torturuje, korzystając z mgły wojny. Poznajcie historię noblistki Narges Mohammadi.

ŁUKASZ WÓJCIK



„Była już na skraju życia i śmierci" – tak stan swojej klientki opisuje adwokat Mostafa Nili. Od trzech lat próbuje bronić Narges Mohammadi przed reżimem. Nie jest to łatwe. Mohammadi, laureatka Pokojowej Nagrody Nobla z 2023 r., jest dla władz wrogiem publicznym. 54-letnia dziś aktywistka i obrończyni praw kobiet od pierwszego aresztowania w 1998 r. tylko od czasu do czasu bywała na wolności. Skazana już w sumie na 44 lata więzienia (i 154 baty), głównie za „spiskowanie przeciw władzy", „organizowanie nielegalnych zgromadzeń" itp., ostatnio do więzienia trafiła w grudniu. Funkcjonariusze zgarnęli ją na pogrzebie znajomego prawnika, gdy zaczęła śpiewać protest songi. A śpiewa pięknie.

Karą doraźną było kopanie po całym ciele. Potem została skuta, zasłonięto jej oczy i przez kilka dni nikt – w tym ona sama – nie wiedział, co się z nią dzieje. Odnalazła się w więzieniu w Zandżan, 150 km na północny zachód od Teheranu. W lutym zapadł nowy wyrok – sześć lat za „nielegalne zgromadzenie (choć śpiewała sama) i zmowę przeciwko Republice Islamskiej", półtora roku za „propagandę" i dwa lata zesłania do niewielkiej mieściny 800 km od Teheranu.

Nie wiadomo jednak, czy Mohammadi odbędzie całą karę, bo jest na skraju życia i śmierci. Już podczas poprzednich wyroków miała problemy ze zdrowiem, w tym zawał serca. Teraz doszło pobicie i głodówka, którą noblistka rozpoczęła na znak solidarności z rodzinami zabitych podczas antyreżimowych demonstracji w styczniu (zginęło wówczas nawet 20 tys. osób). Mohammadi schudła o 20 kg, zaczęły się wahania ciśnienia, w kwietniu znaleziono ją w celi nieprzytomną z podejrzeniem kolejnego zawału. Po trzech tygodniach nieskutecznego leczenia w Zandżan władze zgodziły się na jej przewiezienie do jednego z teherańskich szpitali.

17 maja Mohammadi wyszła, a w zasadzie wyjechała na noszach ze szpitala. Pozostałą część rekonwalescencji ma spędzić we własnym domu pod nadzorem funkcjonariuszy. A potem wrócić do więzienia.

Irański system więziennictwa różni się od zachodnich modeli. Jego zasadniczym celem nie jest bowiem odizolowanie niebezpiecznych jednostek od reszty społeczeństwa. Odwrotnie, kolejne niebezpieczne jednostki, które są akurat u władzy, próbują za pomocą systemu więziennictwa odizolować się od społeczeństwa. A przynajmniej tej jego aktywnej części.

Liczby tu niewiele powiedzą. Te publikowane przez Amnesty International mówią o ponad 300 tys. więźniów sumienia (na 93 mln obywateli) – to kategoria znacznie szersza niż tzw. polityczni, bo zawiera również przestępców obyczajowych (homoseksualiści, osoby po zmianie płci) i religijnych (apostaci, niewierne żony). Poza tym owe 300 tys. to tylko osadzeni przebywający w oficjalnych więzieniach. Nie wiadomo, ilu jest przetrzymywanych przez w sumie siedem irańskich służb bezpieczeństwa w ich zamkniętych kompleksach, które znajdują się w każdym większym mieście.

Inne dwie liczby od Amnesty International (AI): po pierwsze, 50 tys. – tylu mniej więcej więźniów sumienia przybyło od wspomnianych styczniowych demonstracji do amerykańsko-izraelskiego ataku na Iran z 28 lutego. I po drugie, 2159 – tyle wyroków śmierci wykonano w Iranie w 2025 r., przy czym AI w tym samym roku na całym świecie odnotowała

© ASLON ARFA/PANOS PICTURES/FORUM

eprasa.pl 89a8166262

w sumie 2707 egzekucji. Ta ostatnia liczba nie jest jednak pełna, bo brakuje informacji o egzekucjach w Chinach czy w Korei Płn.

Niepokojące jest to, że w przeszłości przy okazji kolejnych kryzysów międzynarodowych i wojen irański reżim „opróżniał" więzienia, po prostu mordując osadzonych, aby zrobić miejsce dla kolejnych. Po wybuchu wojny z Irakiem w 1980 r. tak rozprawiono się z lewicową opozycją, która ramię w ramię z Ruhollahem Chomeinim dopiero co obaliła szacha. Tak pozbyto się liberalnej opozycji przed 1988 r. Tak „opróżniano" więzienia podczas tzw. zielonej rewolucji w 2009 r., co Mohammad Rasulof opowiedział w filmie „Nasienie świętej figi".

Jest tam taka scena, gdy pracownik więzienia, jedząc kanapkę, naciska przycisk, a za szybą zwalnia się zapadnia pod szubienicą. Niemal jak u Kieślowskiego w „Krótkim filmie o zabijaniu".

Zła sława irańskiego więziennictwa nie zaczęła się od Chomeiniego. Szach Mohammad Reza Pahlawi ostatnie dwa lata swoich rządów (1978–79) utopił we krwi i torturach. Jak pisze Ryszard Kapuściński w „Szachinszachu", nie zależało mu na śmierci, tylko na cierpieniu, które będzie zapamiętane i potem opowiadane. Więzienia szacha miały przerażać i odstraszać. A szczególnie jedno, zwane irańską Bastylią – teherańskie Evin.

Zbudowane na północnych obrzeżach stolicy w połowie lat 70. z myślą o ok. 300 największych wrogach monarchii, szybko stało się symbolem terroru. W Evin dochodziło do najbardziej wymyślnych tortur, stosowanych przez tajną policję SAVAK, wyszkoloną przez CIA. Wyrywanie paznokci lub wbijanie pod nie gwoździ było tylko wstępem. Ludzie z SAVAK lubili pokazywać zatrzymanym, szczególnie duchownym, gwałty na ich córkach. Gdy ci nie chcieli patrzeć, podpalali im powieki. W Evin była metalowa ściana rozgrzewana do białości. Dochodziły do niej szyny, po których powoli przesuwało się krzesło z zatrzaskami na dłonie i nogi.

Gdy w lutym 1979 r. wybuchła rewolucja islamska, jeden z pierwszych szturmów przeprowadzono na Evin, a potem tłum na rękach wynosił oswobodzonych. Bastylia jednak nie została zburzona. Nowa władza rozbudowała kompleks, dziś może on pomieścić nawet 15 tys. więźniów. Podczas poprzedniej amerykańsko-izraelskiej interwencji w czerwcu 2025 r. izraelskie bomby spadły też na Evin. Według irańskich źródeł zginęło ponad 80 osób, w tym rodziny wizytujące więźniów. Oni sami gołymi rękami wyciągali przysypanych strażników. W „nagrodę" część z nich została potem rozstrzelana, bo w ogólnym chaosie innym strażnikom wydawało się, że próbują uciekać. W Evin kilka lat spędziła również Narges Mohammadi.

Sprawa uwięzienia chorej Mohammadi odbiła się dużym echem na świecie. List z żądaniem jej uwolnienia podpisało 110 noblistów, w tym m.in. Annie Ernaux i JM Coetzee. Zdaniem Valiego Nasra, amerykańsko-irańskiego politologa, reżim mógł się przestraszyć reakcji na prześladowanie niewinnej kobiety, dlatego zgodził się na coś w rodzaju aresztu domowego. – *Wojna przykryła społeczne emocje, z czego reżim chwilowo korzysta. Ale one nie opadły* – twierdzi Nasr. I zwraca uwagę, że coraz więcej upodabnia obecny reżim do monarchii Pahlawich.

W irańskiej opozycyjnej publicystyce popularne jest pojęcie „leniwej władzy". Nie ma ona już siły mozolnie przekonywać poddanych do swoich racji i na przejawy buntu reaguje w najprostszy sposób – wsadza ludzi do więzienia albo po prostu do nich strzela. Tak było ze schyłkowym szachem. Pod koniec jego rządów po modernizacyjnym entuzjazmie lat 60. (tzw. biała rewolucja) nie było już śladu. Jak pisze Kapuściński, do więzienia można było trafić za publiczne stwierdzenie, że „jest duszno".

Obecnemu reżimowi też już się nie chce. Jak pisze Homa Katouzian w nowej książce „Iran and the Revolution", dawno przestało mu zależeć na zbawieniu Irańczyków, którzy są dziś jednym z najbardziej zlaicyzowanych narodów na świecie (o paradoksie!). „Reżim reaguje przemocą i w więzieniach hoduje sobie kolejną rewolucję" – stwierdza Katouzian. A na koniec dodaje: „Tak, kolejna rewolucja irańska będzie kobietą".

Coś w tym jest, że wszystkie głośne ostatnio przypadki uwięzionych w Iranie to kobiety. Kilka lat temu w zachodnich mediach głośno było o Nazanin Zaghari-Ratcliffe, która ma również brytyjskie obywatelstwo, wtrąconej do Evin na sześć lat (2016–22) za „próbę obalenia reżimu". Zaghari-Ratcliffe jeździ teraz po świecie i opowiada o więziennych torturach. W tym o przypadku nastolatki skazanej na śmierć, którą kat – wbrew jej woli – wziął za tymczasową żonę (pozwala na to szyickie prawo), by potem ją „legalnie" zgwałcić – tylko po to, aby po powieszeniu jako dziewica nie poszła prosto do nieba.

Porusza historia zaledwie 32-letniej Sepideh Gholian, która ma już na koncie trzy wyroki, łącznie ponad 10 lat za kratkami. Za pierwszym razem skazano ją za relacjonowanie protestu pracowników w cukrowni w rodzinnym Dezful. Gdy wyszła na wolność po drugim wyroku, stanęła przed bramą Evin i zaczęła krzyczeć: „Chamenei, tyranie, wsadzimy cię do grobu" (to o byłym już najwyższym przywódcy). Po kilkudziesięciu minutach znów była za kratkami.

W więzieniu Gholian zdołała napisać niezwykłą książkę „Klub piekarek więzienia Evin". Kobiety są tam głodzone, próbują więc same przygotowywać jedzenie dzięki sprzętom kuchennym pozostawianym przez osadzone wychodzące na wolność. Zaczęło się od chleba, bo ten dostarczany przez władze więzienia zawiera silne środki uspokajające. W sumie Gholian prezentuje przepisy na 16 więziennych potraw – w tym na ciasto tres leches, ptysie, bułeczki scones i ciasto cytrynowo-bezowe – a tak naprawdę opisuje 16 wstrząsających historii kobiet, które je przyrządzały. Są wśród nich Zaghari-Ratcliffe (chleb) i Narges Mohammadi (ciasto dyniowe).

Pytam irańskiego socjologa Asefa Bayata, dlaczego reżim wsadza niezależne kobiety do więzienia. – *Bo jest wobec nich bezradny. Z mężczyznami reżim ma łatwiej. Ci zazwyczaj są zwolennikami jakiejś ideologii, lewicowej, liberalnej. Łatwiej w nich uderzyć, ale też łatwiej ich skorumpować. Z kobietami jest trudniej, bo one najczęściej nie wyznają żadnej ideologii. Walczą o prawa człowieka, w tym o prawa kobiety. I dlatego trudniej je złamać, bo walczą o swoje prawa, a nie o polityczne zwycięstwo.*

Przepis Gholian na magdalenki towarzyszy historii dziennikarki Marzieh Amiri, skazanej w Evin na dziesięć i pół roku więzienia i 148 batów za „zmowę przeciwko bezpieczeństwu narodowemu" (relacjonowała strajki). „Upiecz je poprzedniego wieczoru, włóż do kieszeni, idź chodnikiem, pozwól hidżabowi zwisać na bok, żebyś poczuła wiatr we włosach. I ugryź magdalenkę, słuchając rapu". ■

eprasa.pl 89a8166262



Państwo dla bogaczy

W Szwecji gwałtownie dokonuje się kapitalistyczna rewolucja. A świat nadal zachwyca się nieistniejącym wzorem państwa opiekuńczego.

KATARZYNA TUBYLEWICZ ZE SZTOKHOLMU

„Szwedzcy miliarderzy cieszą się kosmicznymi przywilejami" – powiedział w głośnym wywiadzie dla szwedzkiego „Dagens Nyheter" prof. Gabriel Zucman. To gwiazda francuskiej ekonomii, autor książki o konieczności wprowadzenia w Europie podatku dla hiperbogaczy. Według niego przepaść pomiędzy bogaczami i przeciętnymi zjadaczami chleba w Szwecji należy do największych na świecie.

Tu pierwszy paradoks. Szwedzka klasa średnia po zsumowaniu wszystkich podatków i składek ubezpieczeniowych nadal przekazuje państwu nawet połowę swoich zarobków. Ale bogacze, którzy od 20 lat nie płacą już w Szwecji podatku majątkowego i których stać na dobrych doradców, płacą podatki wysokości kilkunastu procent. Bez żadnych przekrętów, takie jest prawo.

Dotyczy to również firm. W 2022 r. szwedzki oddział Mety, która zarządza Facebookiem, osiągnął przychody wysokości 4,4 mld koron i zapłacił z tego tytułu 45 tys. koron podatku, a więc mniej niż nieduży kiosk z gazetami i hot dogami, który znajdował się wówczas w tym samym sztokholmskim budynku, co biuro Mety. Jeśli chodzi o miliarderów, dobrym przykładem są deklaracje podatkowe Martina Lorentzona, posiadającego m.in. akcje w Spotify warte 50 mld koron (20 mld zł). W latach 2014–19 zadeklarował przychody wysokości 185 mln i zapłacił 24 mln podatku, a więc 13 proc.

Te liczby stają się symboliczne, jeśli uświadomimy sobie, że mija właśnie 50 lat, odkąd socjaldemokraci przegrali w Szwecji wybory (po 44 latach nieprzerwanych rządów), głównie z powodu surrealistycznych podatków. Z ich przyczyny z kraju wyjeżdżali wtedy najbogatsi, w tym Ingvar Kamprad, twórca Ikei, który zamieszkał w Szwajcarii.

W debatę na ten temat zaangażowała się wówczas sama Astrid Lindgren, która w 1975 r. dowiedziała się, że w roku następnym ma zapłacić fiskusowi 102 proc. dochodów. W proteście napisała polityczną bajkę o Pomperipossie z kraju Monismanien, gdzie mężczyźni u władzy astronomicznymi podatkami zmuszają starsze panie do żebrania na ulicy. Do dziś wielu historyków uważa, że Olof Palme przegrał wtedy wybory właśnie z legendarną pisarką.

Szwedzkie NRD

Do lat 90. Szwecja była egalitarnym krajem słynącym z tzw. szwedzkiego modelu, systemu społeczno-gospodarczego łączącego gospodarkę rynkową z silnym państwem opiekuńczym, a także z wysokimi podatkami, które to państwo finansowały.

© GETTY IMAGES/ISTOCKPHOTO

eprasa.pl 89a8166262

Jedni uważali szwedzki model za sprawiedliwą drogę pomiędzy kapitalizmem i socjalizmem, inni obśmiewali „szwedzkie NRD". Szwecja fascynowała wtedy jako socjaldemokratyczny wyjątek na mapie świata.

To był jednak XX w. Szwecja XXI w. jest zupełnie inna, w czym świat chyba jeszcze się nie zorientował. Polska prawica nadal ma Szwecję za koszmarne miejsce, w którym państwo grabi obywateli z pieniędzy, a twórcy lewicowego podkastu „Dwie lewe ręce" zachwalają szwedzką socjaldemokrację, państwo opiekuńcze i społeczną sprawiedliwość. Jedni i drudzy nie nadążają za rzeczywistością.

Rację ma za to „Wall Street Journal", który ogłasza, że w Szwecji dokonuje się właśnie najbardziej zaskakująca transformacja kapitalistyczna na świecie. Kraj stawia na indywidualizm i prywatyzację m.in. szkolnictwa i służby zdrowia, która już w tej chwili jest w ponad 50 proc. w prywatnych rękach. Zaskakuje galopujące rozwarstwienie społeczne. Według „Forbesa" w 2025 r. Szwecja miała półtora razy więcej miliarderów dolarowych per capita niż USA. A szwedzki Instytut Badań nad Gospodarką podaje, że liczba miliarderów w Szwecji wzrosła z 52 w 2000 r. do 523 w 2023 r.

Andreas Cervenka, autor książki „Chciwa Szwecja", przekonuje, że szwedzki model już dawno nie istnieje. A kraj stał się skrajnie posegregowany mieszkaniowo, bo średnia cena za metr kwadratowy wzrosła w latach 1996–2021 o 800 proc. i nadal rośnie. Cervenka opowiada, że kiedy w 2019 r. wrócił do Sztokholmu po dłuższym pobycie w Silicon Valley, poczuł się jak w Palo Alto. W centrum miasta „tłoczyły się Tesle, Maserati i Land Rovery, a w nich zestresowani młokosi w przykrótkich garniturach, zamszowych butach założonych na bose stopy i z zegarkami wartości kilku rocznych pensji".

W USA ludzie, z którymi Cervenka rozmawiał o swoim kraju, nie mogli uwierzyć, że w Szwecji od dawna nie ma już podatków od nieruchomości, spadków, darowizn i majątku. To według niego jedna z głównych przyczyn, dla których kraj trawi neoliberalizm i brak społecznej sprawiedliwości. Potwierdzają to statystyki szwedzkiego GUS. Niemal 7 proc. społeczeństwa żyje w biedzie, nie stać ich na comiesięczne płacenie rachunków, na chociaż tydzień wakacji, a nawet na pełnowartościowe posiłki każdego dnia.

Szwecja ma też duże problemy z przestępczością zorganizowaną, a gangi zatrudniają dzieci do brudnej roboty, np. płatnych morderstw. Dyskusja na temat złożonych przyczyn rozwoju przestępczości zorganizowanej w Szwecji to temat na inny artykuł, ale jedno jest pewne: nic tak nie sprzyja wciąganiu dzieci w przestępczość jak nierówności społeczne.

Rój miliarderów

Trudno oczekiwać, że będzie lepiej. Globalny indeks równości organizacji Oxfam pokazuje, że Szwecja, słynna kiedyś z walki z nierównościami ekonomicznymi, zajmuje w tej dziedzinie już dawno nie pierwsze, ale 24. miejsce na świecie. Z kolei z raportu Global Wealth Index na 2024 r. wynika, że rozkład majątku w Szwecji jest piątym najbardziej nierównym na świecie – po RPA, Brazylii, Zjednoczonych Emiratach Arabskich i Arabii Saudyjskiej.

„Financial Times" zamieścił w 2025 r. artykuł pt. „Szwecja: socjalistyczny raj, w którym aż roi się od miliarderów". Jego autor, analityk i ekonomista Ruchir Sharma, zauważa, że w Szwecji najszybciej rośnie udział łącznego majątku miliarderów w PKB, biorąc pod uwagę 20 najbardziej rozwiniętych państw świata (dziś wynosi już 31 proc). Ponadto Szwecja wyróżnia się pod względem liczby osób skrajnie majętnych, które wzbogaciły się dzięki dziedziczeniu i posiadaniu aktywów finansowych, a nie poprzez budowanie nowych przedsiębiorstw.

Najbogatszym Amerykaninem w historii był John D. Rockefeller, kontynuuje Sharma, którego majątek w szczytowym momencie (1910 r.) stanowił 1,5 proc. PKB USA. Dziś aż siedmiu szwedzkich bogaczy ma majątki przekraczające ten poziom. Na koniec Sharma porównuje Sztokholm do Bombaju, bo w obu tych miastach wyraźnie widać kontrasty: obszary, w których gromadzą się miliarderzy, znajdują się zaledwie kilka kilometrów od miejsc dotkniętych biedą i wykluczeniem.

Sharma ma rację, ale zarazem też jej nie ma. Szwedzkie obszary biedy i marginalizacji, takie jak sztokholmskie dzielnice Rinkeby, Tensta i Hjulsta czy słynne Rosengård w Malmö, przypominają raczej stare blokowiska na warszawskim Ursynowie, a nie hinduskie slumsy. Bieda po szwedzku jest też zupełnie inna niż ta, którą można dostrzec na ulicach hinduskich miast. Z kolei szwedzkie bogactwo nie kole w oczy złotem i przepychem. Za to szwedzka bieda i szwedzkie bogactwo to światy bliskie geograficznie, ale zupełnie oddzielne, właściwie się nieprzenikające.

Szkolne korporacje

W 1960 r. amerykański prezydent Dwight D. Eisenhower wygłosił słynną mowę, w której krytykował szwedzkie państwo opiekuńcze, nazywając je „eksperymentem ze skrajnego paternalizmu". Wierzący w wolny rynek i siłę jednostki Amerykanin twierdził, że szwedzki socjalizm oraz rząd ingerujący we wszystkie sfery ludzkiego życia sprzyjają zanikowi ambicji, pijaństwu oraz samobójstwom. Dziś Eisenhower mógłby się Szwecją zachwycić.

To jedno z najbardziej przyjaznych państw dla start-upów. Dobrze robi im silna infrastruktura cyfrowa, kultura wspierająca innowacyjność oraz stawianie na młodych. Fundusz Atomico, który robi badania porównujące warunki rozwoju dla firm branży technologicznej w różnych krajach, dowodzi, że Sztokholm jest dla nich drugim najbardziej przyjaznym miastem po San Francisco. To tu powstały Spotify i Klarna (e-commerce), która niedawno zadebiutowała na nowojorskiej giełdzie, oraz swego czasu rewolucyjny, już nieistniejący, Skype.

Zaskakiwać może również skala prywatyzacji szwedzkiego państwa. W tym przeprowadzona w latach 90. reforma systemu edukacji, która część szkół urynkowiła. Szkoły prywatne finansowane są z budżetów gmin, rodzice dzieci nie płacą za nie ani korony. Szkopuł w tym, że szkoły te konkurują o ten sam budżet – o tzw. bony oświatowe – ze zwykłymi szkołami publicznymi, a jednocześnie są traktowane jak normalne podmioty rynkowe, które mogą być prowadzone przez spółkę akcyjną lub fundusz inwestycyjny i generować zyski.

Największe firmy edukacyjne, takie jak Internationella Engelska Skolan (IES) czy AcadeMedia, mają duże sieci szkół i są w zasadzie korporacjami. Założycielka IES Barbara Bergström stała się dzięki swoim szkołom miliarderką. Ich zalety są liczne: wysoki poziom, międzynarodowa, zaangażowana kadra, spokój i dyscyplina, których często brakuje w szkołach publicznych, i laptopy Mac dla każdego ucznia.

Do prywatnych podstawówek uczęszcza dziś 17 proc. dzieci, do prywatnych ▶

eprasa.pl 89a8166262

▶ liceów – 30 proc. Mogą do nich chodzić wszystkie dzieci bez względu na adres czy stan portfela rodziców. Ale do prywatnych szkół i tak trafiają dzieci rodziców zamożniejszych, świadomych i wykształconych, którzy ustawiają je w kolejce do najlepszej szkoły zaraz po urodzeniu i są w stanie pomagać im w nauce. A więc prywatyzacja szkół przyczynia się również do segregacji klasowej, a także etnicznej.

Zdrowie przez apkę

Ciekawie przebiega też prywatyzacja szwedzkiej służby zdrowia. „Wall Street Journal" zachwyca się tym, że odkąd oferująca „cyfrową opiekę zdrowotną" firma Kry wystartowała w 2015 r., apkę pozwalającą na wirtualną wizytę u lekarza ma w Szwecji więcej użytkowników niż Netflixa. Z lekarzem można się umówić o każdej porze dnia, wizyta może się odbyć po szwedzku, angielsku, a nawet po arabsku, a w ostatnich latach Kry zmniejszyło swoje koszty o 40 proc. dzięki AI. W dodatku pacjent płaci tu tyle samo, co w zwykłej państwowej przychodni, czyli niewiele.



Miliarder Martin Lorentzon, właściciel m.in. akcji w Spotify wartych 50 mld koron (20 mld zł), w latach 2014–19 zapłacił 13 proc. podatku.

W Szwecji, nieco upraszczając, są trzy sektory w służbie zdrowia. Pierwszy jest całkowicie państwowy, drugi to firmy podpisujące kontrakty z państwem (w tej dziedzinie reprezentowanym przez gminy) i trzeci – w pełni prywatny. W pierwszym i drugim obowiązuje częściowa (niewielka) odpłatność za wizyty, resztę pokrywa państwo. W trzecim odpłatność jest pełna i zazwyczaj wysoka, ale często pokrywana przez pakiety pracownicze z korporacji. W tym kontekście Kry jest krytykowane za to, że wyciąga ograniczone pieniądze podatników z systemu ochrony zdrowia oraz podbiera stamtąd lekarzy, a obsługuje głównie proste przypadki chorobowe, przeziębienia i wysypki, i jeszcze zwiększa liczbę niepotrzebnych konsultacji, do których także dokłada się podatnik.

John Lapidus, doktor ekonomii z Göteborga, jest autorem książki o współczesnej szwedzkiej służbie zdrowia i uważa, że Szwecja powoli zamienia się w kraj podzielony na pół. „Zamiast wspólnego systemu opieki zdrowotnej, edukacji i opieki społecznej stworzyliśmy dwa różne państwa działające równolegle, każde według własnej logiki" – pisze. I dodaje, że w sytuacji gdy ani szkoła, ani placówki służby zdrowia nie są już miejscami, w których ludzie spotykają się ponad podziałami klasowymi, to właściwie w ogóle nie ma już takich miejsc.

„Historycznie Szwecja była znana jako państwo dobrobytu, z wysokim poziomem życia, bezpłatną edukacją i opieką zdrowotną oraz hojnymi świadczeniami socjalnymi – dodaje w jednym z wywiadów Lapidus. – Jednak wraz z postępującą prywatyzacją opieki zdrowotnej zmierzamy raczej w stronę systemu przypominającego USA, Niderlandy albo Szwajcarię".

Dzielenie i mnożenie

Jak do tego wszystkiego doszło, skoro Szwecją w XX w. rządzili głównie socjaldemokraci, a dziś nadal są największą partią w kraju i w wielu sprawach mają decydujący głos? Obecnie nie są u władzy, ale według najnowszych sondaży mają 32 proc. poparcia i dużą szansę na zwycięstwo w zbliżających się wyborach.

„Nie tłumacz mi, czym są nierówności klasowe. Widziałem je. Dotknęły mnie w dzieciństwie. I ich nienawidzę. Cała moja działalność polityczna jest i będzie poświęcona walce z nierównościami" – te pamiętne słowa wypowiedział w 1998 r. przewodniczący partii socjaldemokratów Göran Persson, uciszając w debacie Carla Bildta, twardego zwolennika ekonomicznego liberalizmu.

Trwała właśnie kampania wyborcza, premier Persson miał zaraz ponownie wygrać wybory – potem rządził Szwecją aż do 2006 r. W tym czasie to właśnie socjaldemokraci, działając jako „partia ludu i dla ludu", zadbali o interesy najbogatszych oraz posiadaczy tzw. starych pieniędzy, m.in. poprzez zlikwidowanie podatków od spadków i darowizn.

Po zakończeniu kariery politycznej Persson, jak większość czołowych szwedzkich polityków, zajął się biznesem. Według gazety „Atfonbladet" w 2024 r. były premier, który jest obecnie przewodniczącym rady nadzorczej Swedbanku, otrzymał za tę funkcję 4,25 mln koron (1,6 mln zł) wynagrodzenia, a jego akcje w tym samym banku były warte 13 mln. Z kolei jego prywatna firma doradcza miała aktywa wartości ponad 80 mln. Były przewodniczący partii o korzeniach robotniczych, która swego czasu stworzyła koncepcję sprawiedliwego Folkhemmet – ludowego domu, w domyśle państwa – jest też właścicielem luksusowego dworku.

Czy można mu zarzucić brak konsekwencji i hipokryzję? Pewnie tak. Można też powiedzieć, że szwedzka socjaldemokracja bywa dziś bardziej neoliberalna od neoliberałów i zachłysnęła się wolnym rynkiem. Jest w tym jakaś żarliwość neofitów.

W efekcie dziś szwedzkie społeczeństwo rozwarstwia się i dzieli, miliarderzy nie płacą podatków, w przeciwieństwie do samotnych matek z kiepską pensją. Jednocześnie prywatne szkoły oraz prywatna służba zdrowia w większości przypadków obywatela nie kosztują nic albo niewiele. Utrzymują to jednak przeciętniacy, którzy płacą wysokie podatki. A innowacyjni przedsiębiorcy, milionerzy i miliarderzy funkcjonują w szwedzkim raju podatkowym.

KATARZYNA TUBYLEWICZ

© ATILA ALTUNTAS/ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

eprasa.pl 89a8166262



ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

Godzina N

Polska inwestuje w zbrojenia, ale nauki wciąż nie traktuje jako elementu bezpieczeństwa narodowego. To błąd, którego skutki zobaczymy za dekadę.

MACIEJ GRZYBEK

Polska słusznie inwestuje dziś w obronność – za rekordowe sumy kupuje samoloty, czołgi, wyrzutnie rakietowe i systemy obrony powietrznej. To zrozumiałe, kiedy za naszą granicą toczy się wojna, która zmieniła europejską wyobraźnię strategiczną. Problem polega na tym, że czołgami można odeprzeć agresora jutro. A co pojutrze? Bez naukowców nie będzie komu projektować następnej generacji systemów obronnych, oceniać ryzyka biologicznego, rozwijać cyberbezpieczeństwa, budować energetyki jądrowej, wdrażać sztucznej inteligencji ani sprawdzać, czy importowana technologia rzeczywiście działa tak, jak obiecują jej dostawcy.

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego nakłady Polski na badania i rozwój w 2024 r. spadły z 1,56 do 1,41 proc. PKB. W tym samym czasie średnia unijna wynosiła 2,24 proc. PKB. Po raz pierwszy od lat nie przybliżyliśmy się do europejskiego centrum, lecz się od niego oddaliliśmy. Równolegle państwo uchwaliło budżet obronny na 2026 r.: 200,1 mld zł, czyli 4,81 proc. prognozowanego PKB. Jeszcze raz: sam fakt wysokich wydatków na obronność nie jest problemem. Jest nim asymetria myślenia. Państwo, które potrafi bardzo szybko uznać jeden typ wydatków za konieczny dla przetrwania, ale nie potrafi podobnie traktować inwestycji w wiedzę, ma problem z definicją bezpieczeństwa. ▶

eprasa.pl 89a8166262

▶ Cicha obrona

Bezpieczeństwo militarne łatwo pokazać. Ma mundur, fabrykę, poligon, kontrakt i zdjęcie z jego podpisania. Bezpieczeństwo naukowe jest cichsze i zdecydowanie mniej widoczne. Składa się z m.in. doktorantów, zespołów badawczych i instytucji zdolnych reagować szybciej, niż nadchodzi kryzys. W oficjalnym polskim myśleniu strategicznym nauka pojawia się rozproszona – jako element innowacyjności, gospodarki, szkolnictwa wyższego albo konkurencyjności. Rzadziej – jako warunek odporności państwa. Nie ma nawet osobnej kategorii bezpieczeństwa naukowego ani systemu utrzymywania kompetencji w dziedzinach krytycznych.

A przecież wolność technologiczna jest wolnością polityczną. Każde importowane F-35, Patriot, HIMARS, K2, systemy rozpoznania, technologie medyczne, rozwiązania energetyczne czy algorytmy sztucznej inteligencji ktoś musi w Polsce rozumieć, integrować, testować, zabezpieczać, naprawiać i zastępować następną generacją. Bez krajowej bazy naukowej i inżynierskiej kupujemy nie tylko sprzęt. Kupujemy zależność. Im bardziej złożony sprzęt, tym droższą.

Pandemia Covid-19 pokazała, że państwa potrzebują nie tylko szpitali i respiratorów, lecz także laboratoriów diagnostycznych, epidemiologów, wirusologów, specjalistów zdrowia publicznego i sprawnych kanałów doradztwa naukowego. Wojna w Ukrainie ujawiła, że współczesny konflikt jest wojną artylerii i okopów, lecz także dronów, satelitów, danych, oprogramowania, zakłócania sygnałów, logistyki, medycyny pola walki i odporności infrastruktury krytycznej. Kryzys energetyczny pokazał, że suwerenność energetyczna wymaga nie tylko kontraktów, lecz także kompetencji technologicznych. Wszystkie te obszary łączy jedno –– bez własnej nauki państwo jest zdane na cudzą interpretację rzeczywistości.

Odrzucone talenty

W konkursie ERC Starting Grants 2024 finansowanie zdobyło 10 naukowców z Polski lub polskiego pochodzenia. Jednak tylko dwa projekty będą realizowane w polskich instytucjach. Pozostałe granty trafiły do badaczy pracujących w zagranicznych ośrodkach – od Groningen i Hamburga, przez Helsinki, Göteborg i Barcelonę, po Niceę i Oksford. Można to czytać jako sukces: polskie szkoły

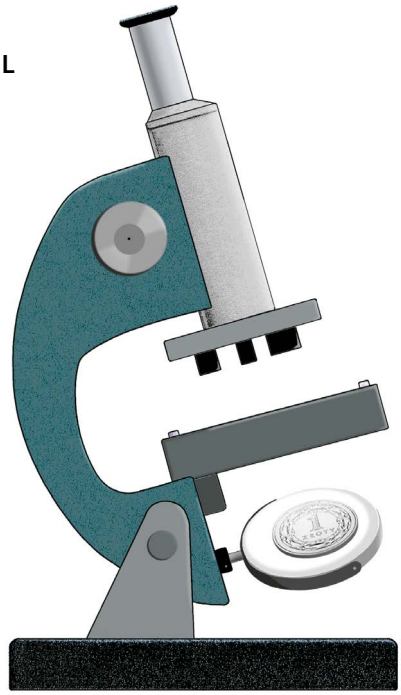

i uczelnie nadal kształcą ludzi zdolnych do gry w europejskiej pierwszej lidze. Można też czytać jako diagnozę: polski system często nie jest dla nich najbardziej atrakcyjnym miejscem do prowadzenia badań. Granty ERC nie mierzą jakości całej nauki. Są jednak jednym z najlepszych testów atrakcyjności instytucji dla badaczy zdolnych prowadzić przełomowe projekty. Dlatego ważniejsze od pytania, ilu Polaków wygrywa ERC, jest to, gdzie chcą te granty realizować.

Od 2007 r. jeden belgijski uniwersytet , KU Leuven, koordynował więcej grantów ERC niż wszystkie instytucje w Polsce razem wzięte. KU Leuven to 183 granty ERC, a do Polski od początku działania ERC trafiło niespełna sto takich grantów. Grupa Wyszehradzka wypada w tych statystykach słabo w porównaniu z państwami Europy Zachodniej, ale Polska słabiej, niż wynikałoby z jej wielkości, ambicji i potencjału. Tego nie da się już tłumaczyć wyłącznie historią, zapóźnieniem startowym ani różnicą infrastruktury.

Młody badacz po doktoracie w Polsce zwykle staje przed wyborem między etatem z wysokim obciążeniem dydaktycznym a krótkim kontraktem grantowym bez jasnej perspektywy stabilizacji. W wielu krajach Europy Zachodniej standardem jest *tenure track*: kilka lat intensywnej pracy, ocena i możliwość przejścia na stabilne stanowisko. U nas wciąż to wyjątek. Młody naukowiec często dostaje serię umów czasowych, kolejne granty, sprawozdania. I poczucie, że system potrzebuje jego pracy, ale nie oferuje mu przyszłości.

Do tego dochodzi finansowanie badań podstawowych. Konkursy Narodowego Centrum Nauki w wielu panelach mają wskaźniki sukcesu na poziomie, który nie pozwala odróżnić projektów dobrych od bardzo dobrych. Gdy finansowanie otrzymuje od kilku do kilkunastu procent wniosków, a wiele wysoko ocenionych projektów odpada z braku środków, zaczyna to przypominać selekcję przez niedobór. Dla młodego naukowca wracającego z zagranicy komunikat jest prosty: możesz mieć dobry projekt, dorobek i międzynarodowe doświadczenie, a mimo to nie zbudujesz w Polsce zespołu, bo zabraknie środków na start.

Zdrenowane mózgi

Polska już raz zapłaciła ogromną cenę za utratę ciągłości elit eksperckich. W XX w. wojna, okupacja, zbrodnie nazistowskie i sowieckie, zmiana granic oraz powojenne podporządkowanie państwa systemowi komunistycznemu zniszczyły albo rozproszyły znaczną część polskiej inteligencji. Sonderaktion Krakau, zbrodnia katyńska, likwidacja środowisk akademickich Wilna i Lwowa – to nie są tylko rozdziały historii martyrologicznej. Także przerwanej transmisji wiedzy.

Dzisiejszej sytuacji oczywiście nie wolno z tym zrównywać. Obecny odpływ ma charakter dobrowolny i często racjonalny z punktu widzenia jednostki. Ludzie wybierają lepsze warunki pracy, stabilniejsze kariery, sprawniejsze instytucje, większe granty i bardziej przewidywalne życie. Skutek systemowy może być jednak podobny: utrata szkół naukowych, mentorów, sieci eksperckich i kompetencji oraz zaufania nie odbudowuje się szybko.

Laboratorium można wyposażyć w dwa lata. Budynek postawić w jedną kadencję. Aparaturę kupić z funduszy europejskich. Zespół badawczy, który naprawdę działa, powstaje jednak długo. Doktor potrzebuje do rozwoju zwykle czterech lub pięciu lat. Samodzielny lider naukowy – kolejnej dekady. Szkoła naukowa dojrzewa przez pokolenie. Niektóre po przerwaniu nie wracają nigdy.

Dlatego obecny odpływ młodych naukowców jest problemem strategicznym. Nie chodzi o to, że każda osoba z doktoratem musi zostać na uczelni. Wyjazdy są potrzebne. Problem zaczyna się wtedy, gdy państwo nie ma zachęt do powrotu, mechanizmu przyciągania talentów ani utrzymywania kompetencji

eprasa.pl 89a8166262

w dziedzinach krytycznych. Wtedy mobilność zamienia się w drenaż.

Według danych Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego liczba doktorantów w Polsce spadła z ok. 39 tys. w 2018 r. do ok. 20 tys. w 2024 r. Reforma szkół doktorskich miała zwiększyć jakość kształcenia. W części to zrobiła – doktorantów jest mniej, ale mają stypendia i działają w bardziej uporządkowanym systemie. Równocześnie jednak młodzi ludzie otrzymali jasny sygnał ekonomiczny: nauka jest ścieżką prestiżową, ale nisko wynagradzaną, niepewną i trudną do pogodzenia z normalnym życiem.

Doktorant w laboratorium biologicznym, chemicznym czy technologicznym nie pracuje od ósmej do szesnastej. Eksperymenty nie kończą się dlatego, że kończy się dzień pracy. Artykuły nie piszą się same. Granty nie czekają. Jeżeli system oferuje takim ludziom stypendium zbliżone do płacy minimalnej i mówi im, że robią coś strategicznie ważnego dla państwa, trudno się dziwić, że część wybiera sektor prywatny albo zagranicę.

Trzeba jednak powiedzieć jasno: samo zwiększenie finansowania nie naprawi polskiej nauki. Dosypanie pieniędzy do systemu bez reform mogłoby utrwalić część jego najsłabszych cech: feudalne relacje akademickie, niską mobilność, słabe umiędzynarodowienie, rozproszenie odpowiedzialności, niewystarczające wsparcie dla najlepszych grantów, zbyt słabe powiązania z gospodarką i brak strategicznego myślenia o kadrach.

Dlatego postulat zwiększenia nakładów na badania i rozwój nie powinien być rozumiany jako prosta prośba środowiska akademickiego o większy budżet. Powinien być kontraktem modernizacyjnym. Więcej środków – tak, ale w zamian za zmiany w przebiegu kariery, profesjonalizację zarządzania badaniami, silniejsze mechanizmy mobilności, programy powrotowe, lepsze wsparcie grantowe, jasne wskaźniki efektywności i strategiczne programy kompetencyjne w dziedzinach istotnych dla bezpieczeństwa państwa. Innymi słowy, chodzi o to, aby system był zdolny utrzymać i przyciągać ludzi, których będzie potrzebować w czasie kryzysu.

Potrzebne zmiany

Ustawowy harmonogram dojścia do 3 proc. PKB całkowitych nakładów na badania i rozwój, połączony z reformami. Cel 3 proc. nie może oznaczać wyłącznie większych wydatków publicznych. W logice europejskiej znacząca część nakładów powinna pochodzić z sektora prywatnego. Państwo musi więc nie tylko zwiększyć własne finansowanie, lecz także uruchomić mechanizmy, które pobudzą inwestycje firm: ulgi podatkowe, zamówienia przedkomercyjne, partnerstwa publiczno-prywatne, długoterminowe programy technologiczne i stabilne reguły współpracy między nauką a gospodarką.

Reforma kariery naukowej: realna ścieżka *tenure track* w pierwszych latach po doktoracie, lepsze warunki dla doktorantów, mniej przypadkowości zatrudnienia grantowego, jasne zasady awansu. Nie da się budować bezpieczeństwa państwa na ludziach, którym państwo nie oferuje przewidywalnej przyszłości. Programy powrotowe powinny mieć skalę większą niż symboliczna. Nie chodzi o kilka głośnych nazwisk, lecz o systematyczne przyciąganie 200–300 badaczy rocznie: Polaków pracujących za granicą i cudzoziemców, którzy mogliby budować zespoły w Polsce.

Profesjonalne wsparcie dla grantów europejskich i strategicznych. W wielu najlepszych uczelniach świata naukowiec nie jest samotnym petentem wobec administracji. Ma zespół wspierający przygotowanie budżetu, strategii, etyki, komunikacji, zarządzania danymi i kontaktów z agencją finansującą. W Polsce badacz często najpierw walczy z własną instytucją, a dopiero później z konkurencją europejską. Jeżeli chcemy więcej grantów ERC, większego umiędzynarodowienia i lepszej pozycji polskich uczelni, musimy przestać traktować środki na administrację nauki jako koszt uboczny.

Bezpieczeństwo naukowe wpisane do Strategii Bezpieczeństwa Narodowego jako osobna kategoria, mierzalny element odporności państwa. Wskaźniki mogłyby obejmować m.in. nakłady GERD/PKB, udział sektora prywatnego w B+R, liczbę grantów ERC w Polsce, strukturę wiekową kadry, saldo migracji naukowej, liczbę doktorantów w dziedzinach krytycznych i zdolność krajowych instytucji do reagowania w sytuacjach kryzysowych. Taki przegląd powinien być wykonywany cyklicznie, najlepiej co dwa lata, z odpowiedzialnością przypisaną konkretnemu organowi państwa.

Sprzęt wojskowy kupuje się decyzją budżetową. Kompetencje buduje się przez pokolenie. Dlatego bezpieczeństwo naukowe jest tak trudne politycznie: nie daje szybkiego efektu, nie mieści się w jednej kadencji, nie nadaje się łatwo do przecięcia wstęgi. Jednak państwa, które myślą poważnie o suwerenności, wiedzą, że najważniejsze rezerwy strategiczne nie zawsze stoją w magazynach wojskowych. Czasem siedzą w laboratoriach, bibliotekach, salach seminaryjnych i zespołach badawczych, których istnienie zauważamy dopiero wtedy, gdy ich zabraknie. Dlatego 27 maja o godz. 13 naukowcy, doktoranci, studenci i pracownicy sektora akademickiego planują protest przed Sejmem RP w ramach inicjatywy „3 proc. dla nauki, 100 proc. dla Polski". To nie jest wyłącznie protest środowiskowy. To apel o uznanie, że finansowanie nauki jest częścią bezpieczeństwa państwa.

MACIEJ GRZYBEK

Autor jest parazytologiem i epidemiologiem, absolwentem University of Nottingham, profesorem tytularnym na Gdańskim Uniwersytecie Medycznym. W 2024 r. ukończył Leadership Academy for Poland.

REKLAMA



eprasa.pl 89a8166262

Ciągle tylko sześć liczb

Jak badać niezmierzony wszechświat przy ograniczonym budżecie na naukę – doradza prof. Hiranya Peiris, astrofizyczka z University of Cambridge.



© ANADOLU/GETTY IMAGES

Badacze z Vera C. Rubin Observatory oglądają kosmos w ruchu, mapują czas i przestrzeń

ŁUKASZ TYCHONIEC: **– Była pani prelegentką tegorocznego Copernicus Festival, którego tematem jest „Złożoność". Jak nam idzie rozszyfrowywanie pochodzenia i losu wszechświata?**

HIRANYA PEIRIS: – I początek, i koniec są wciąż tajemnicze. Widzimy bardzo złożony wszechświat, który wydaje się trochę zbyt prosty, gdy próbujemy dopasować do niego model. Wciąż piszemy jego historię, a to, w jaki sposób z prostych składników pojawiła się złożoność, jest tu kluczowe. Dziś w zasadzie wiemy, jak opisać ok. 5 proc. jego energii.

Te 5 proc. to „normalna" materia, którą widzimy, a 95 proc. pozostaje zagadką. Czy z powodu tej dysproporcji odczuwa pani stres badawczy?

Myślę o tym dniami i nocami. Te 5 proc. opisuje standardowy model fizyki cząstek, który jest teorią prawdopodobnie najlepiej eksperymentalnie przetestowaną. Ciemną materię, która stanowi 25 proc., już mapujemy i myślę, że zidentyfikujemy ją w laboratorium. Pozostałe 70 proc. to zjawisko, które przyspiesza ekspansję wszechświata, czyli ciemna energia. Nie jesteśmy ani trochę bliżej zrozumienia, czym jest, mimo że podczas 30 lat badań zebraliśmy mnóstwo danych. To jest dla nas jako fizyków wyjątkowo niekomfortowe.

Niedawno pojawiły się zagadkowe wyniki z Dark Energy Survey Instrument (DESI). Czy ciemna energia może ewoluować inaczej, niż się spodziewaliśmy?

Moim zdaniem te dane tego jednoznacznie nie dowodzą. Co nie znaczy, że mam zamknięty umysł, po prostu te dowody mnie nie przekonują. Teoretycy mogą spekulować, ile tylko zechcą, ale obserwatorzy powinni bardzo ostrożnie przekładać swoje empiryczne odkrycia na język teorii. Jestem jednak pewna, że istnieje właściwe rozwiązanie zagadki ciemnej energii i że je znajdziemy.

Początki pani ścieżki naukowej to obserwacje najstarszego światła we wszechświecie – mikrofalowego promieniowania tła. Skąd zainteresowanie tym tematem?

Robiłam doktorat na Uniwersytecie Princeton w 1998 r. Początkowo nie zamierzałam pracować nad kosmicznym mikrofalowym tłem, ale ok. 2000 r.

eprasa.pl 89a8166262

promotor spytał, czy zaangażowałabym się w Wilkinson Microwave Anisotropy Probe (WMAP), czyli w drugą misję satelitarną mapującą kosmiczne mikrofalowe tło. Poszłam na debatę między Rogerem Penrose'em a Stephenem Hawkingiem. Rozmawiali o różnych hipotezach pochodzenia struktury wszechświata. Dostrzegłam związek między tym pytaniem, które zawsze mnie fascynowało, a możliwością empirycznego testowania różnych teorii, właśnie przy użyciu mikrofalowego promieniowania tła. Wtedy postanowiłam, że to będzie temat mojego doktoratu.

To było już po tym, jak Cosmic Background Explorer (COBE) dostarczył pierwsze mapy kosmicznego mikrofalowego tła?

Tak, COBE zrobił to w 1992 r. Wyglądało na niemal jednorodne, ale pojawiły się pierwsze ślady fluktuacji. Potem WMAP mapował je z dużo większą czułością i rozdzielczością. Po raz pierwszy mogliśmy w jednym zbiorze danych precyzyjnie określić parametry naszego modelu kosmologicznego. Wszechświat – co potwierdził WMAP – wydaje się opisywany tylko przez sześć liczb, mimo że jest bardzo skomplikowany. I niektóre z tych liczb pozostają niewyjaśnione i tajemnicze, to ciągle jest ich tylko sześć! Wiele osób było tym zaskoczonych. Ten zbiór danych również wykluczył wiele teorii pochodzenia struktury kosmicznej.

Pani obecny grant Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych (ERC) ma przygotować kosmologię do innego zadania. Vera C. Rubin Observatory będzie badać bliższe i dalsze galaktyki. Powstanie dzięki temu chyba najbardziej złożony zbiór danych, jaki stworzyła ludzkość. Jak pani podchodzi do dekodowania złożoności, którą tam znajdziemy?

Zbudowaliśmy model wszechświata, badając jego początki. Teraz musimy go poważnie przetestować, bo wiele składników nie mieści się w standardowych teoriach fizyki. Musimy sprawdzić, czy to, co widzimy we wszechświecie starszym niż kilkaset tysięcy lat, gdy powstało promieniowanie tła, zgadza się z przewidywaniami naszego modelu. Dlatego postanowiłam zająć się nieco dojrzalszym wszechświatem. A to, co ma robić Vera C. Rubin Observatory, wydaje mi się bardzo ekscytujące, nigdy wcześniej nie obserwowaliśmy nieba w ten sposób.

To nie są tylko głębokie obrazy kosmosu, jakie dostarczy np. teleskop Euclid. To mapowanie czasu i przestrzeni jednocześnie – skanowanie nieba wyjątkowo szeroko i szybko, co oznacza, że możemy zobaczyć dynamiczny wszechświat. Możemy obserwować ekstremalne zjawiska, takie jak supernowe i źródła fal grawitacyjnych, jednocześnie uzyskując bardzo głęboki obraz wszechświata. Pracujemy nad tym, żeby nie tonąć w tych danych, ale szybko je zrozumieć. Opracowujemy metody uczenia maszynowego, wykorzystując tzw. generatywną AI.

Sztuczna inteligencja rewolucjonizuje naukę. W jednym z artykułów napisała pani: „Najtrudniejsze dla naukowca nie jest wykonanie badania, lecz ustalenie, które problemy są naprawdę istotne".

Pytanie o to, nad jakimi kwestiami warto pracować, jest oczywiście znacznie starsze niż AI. Astronomię można uprawiać w bardzo prosty sposób: pewne pytania zostały postawione przez mądrych ludzi bardzo dawno temu, a my próbujemy na nie odpowiedzieć. To jednak nie dla ▶

OGŁOSZENIE

NARODOWE CENTRUM NAUKI

KONKURS NA STANOWISKO ZASTĘPCY/ZASTĘPCZYNI DYREKTORA NARODOWEGO CENTRUM NAUKI

Dyrektor Narodowego Centrum Nauki działając na podstawie art. 5 ust.1 ustawy z dnia 30 kwietnia 2010 r. o Narodowym Centrum Nauki (t.j. Dz. U. z 2026 r. poz. 101) ogłasza **nabór kandydatów na stanowisko zastępcy/ zastępczyni Dyrektora Narodowego Centrum Nauki**.

Konkurs przeprowadzany jest zgodnie z Rozporządzeniem Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego z dnia 7 grudnia 2010 r. w sprawie konkursów na stanowiska Dyrektora i zastępcy Dyrektora Narodowego Centrum Nauki (Dz. U. Nr 238, poz. 1585) i składa się z dwóch etapów obejmujących:

- ocenę formalną zgłoszeń do konkursu oraz ocenę kwalifikacji zawodowych kandydatów na podstawie przedstawionych dokumentów i umiejętności zarządzania dużymi zespołami pracowników;
- ocenę kandydatów na podstawie rozmowy kwalifikacyjnej.

Wymagania:
Kandydatem/ kandydatką na stanowisko zastępcy Dyrektora Narodowego Centrum Nauki może być osoba, która:

- korzysta z pełni praw publicznych;
- nie była skazana prawomocnym wyrokiem za umyślne przestępstwo lub przestępstwo skarbowe;
- posiada co najmniej 3-letnie doświadczenie na stanowiskach kierowniczych w sektorze naukowym lub badawczo-rozwojowym;
- posiada co najmniej tytuł zawodowy magistra lub równorzędny;
- posiada znajomość języka angielskiego w stopniu pozwalającym na swobodne porozumiewanie się;
- w okresie od dnia 22 lipca 1944 r. do dnia 31 lipca 1990 r. nie pracowała w organach bezpieczeństwa państwa w rozumieniu art. 2 ustawy z dnia 18 października 2006 r. o ujawnianiu informacji o dokumentach organów bezpieczeństwa państwa z lat 1944-1990 oraz treści tych dokumentów (tj. Dz. U. z 2025 r. poz. 1519), nie pełniła w nich służby ani nie współpracowała z tymi organami.

Zgłoszenie kandydata/kandydatki powinno zawierać:

- informację o dotychczasowym przebiegu pracy zawodowej, w tym o zakresie obowiązków związanych z zajmowanymi stanowiskami i pełnionymi funkcjami, okresie ich pełnienia, liczbie podległych pracowników oraz osiągnięciach zawodowych;
- poświadczone za zgodność z oryginałem kopie dokumentów potwierdzających:
- przebieg pracy zawodowej,
- wykształcenie, w tym posiadanie stopnia lub tytułu naukowego,
- ukończenie kursów i szkoleń mających znaczenie dla oceny kwalifikacji zawodowych, wiedzy oraz predyspozycji kandydata do zarządzania dużymi zespołami ludzkimi, budowy i rozwoju instytucji oraz do rozwoju kapitału ludzkiego zespołów pracowniczych;
- oświadczenie o niekaralności za umyślne przestępstwo lub przestępstwo skarbowe;
- oświadczenie o korzystaniu z pełni praw publicznych;
- oświadczenie, o którym mowa w art. 7 ust. 1 ustawy z dnia 18 października 2006 r.; o ujawnianiu informacji o dokumentach organów bezpieczeństwa państwa z lat 1944 - 1990 oraz treści tych dokumentów (t.j. Dz. U. z 2025 r. poz. 1519); oświadczenie o wyrażeniu zgody na przetwarzanie danych osobowych w ramach konkursu zgodnie z art. 13 ust. 1 i ust. 2 Rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) 2016/679 z dnia 27 kwietnia 2016 r. w sprawie ochrony osób fizycznych w związku z przetwarzaniem danych osobowych i w sprawie swobodnego przepływu takich danych oraz uchylenia dyrektywy 95/46/WE (ogólne rozporządzenie o ochronie danych osobowych);
- poświadczoną za zgodność z oryginałem kopię dowodu osobistego lub innego dokumentu potwierdzającego tożsamość.

Wykaz dokumentów, które należy dołączyć do zgłoszenia w tym wzory ww. oświadczeń dostępne są na stronie internetowej Biuletynu Informacji Publicznej NCN w zakładce „Oferty pracy".

Termin i sposób składania zgłoszeń:
Zgłoszenia z dopiskiem „Zastępca/ Zastępczyni Dyrektora NCN – konkurs" należy złożyć w terminie do 21 czerwca 2026 r. osobiście w siedzibie NCN lub przesłać na adres: Narodowe Centrum Nauki, ul. Twardowskiego 16, 30-312 Kraków (decyduje data stempla pocztowego, a w przypadku wysłania za pośrednictwem kuriera, data wpływu do NCN).

Informacje o konkursie, w tym materiały informacyjne dotyczące funkcjonowania Narodowego Centrum Nauki dostępne są na stronie internetowej www.ncn.gov.pl

Zgłoszenia niekompletne, niespełniające wymogów formalnych oraz przekazane po terminie nie będą rozpatrywane.
O dalszych etapach konkursu, kandydaci zostaną powiadomieni drogą pisemną i elektroniczną. Informacja o wynikach konkursu zostanie opublikowana w Biuletynie Informacji Publicznej NCN oraz w siedzibie Centrum.

eprasa.pl 89a8166262

▶ mnie. Wolę dociekać, jakie fakty możemy ustalić o wszechświecie. Jakie są niewiadome dotyczące pochodzenia jego struktury? Jak ciemna materia, galaktyki i czarne dziury współewoluują? To dwa wątki badawcze, które mnie obecnie fascynują i nad którymi ciężko pracuję, łącząc teorię i obserwację. Pierwszy element motywuje do zadawania pytań, co pozwala organizować skomplikowane zbiory danych pod kątem odpowiedzi. Jeśli to ujawni coś, czego teoria nie wyjaśnia, zyskuję wskazówki, co może być nie tak z naszym obecnym obrazem wszechświata.

Napisała też pani, że duże modele językowe stwarzają jednak pewne problemy.

Tak. Są rzeczy w rozwoju naukowym, których nie można zlecić maszynie. A jeśli już coś jej powierzamy, najpierw trzeba rozwinąć swoją wiedzę na dany temat. Innym kłopotem, który dostrzegam, przynajmniej w kosmologii, jest to, że ludzi mniej interesuje to, by zostać ekspertami, a bardziej analiza danych. A modele LLM są tu bardzo pomocne. Tyle że ich „udział" oznacza całkowite pominięcie tej części badań, w której zastanawiamy się nad tym, które pytania są właściwe.

I może się okazać, że dzisiejsi studenci nie będą umieli ich zadawać?

Właśnie. Nie sądzę jednak, żeby angażowanie AI było opcjonalne. To jakby 20 lat temu ktoś powiedział: „Nie, nie musisz uczyć się statystyki bayesowskiej", a 10 lat temu: „Nie, nie musisz uczyć się Pythona" (język programowania – przyp. red.). Tylko nie wiem, czy ktokolwiek zna właściwy sposób szkolenia ludzi. Sama wciąż próbuję rozgryźć, jak skutecznie korzystać z tych narzędzi samodzielnie.

Zaczęłam z nimi pracować dopiero w grudniu, kiedy uznałam, że są wystarczająco rozwinięte, by się przydały. I myślę, że mogę spróbować ustalić, co można powierzyć AI, a co nie. Dopiero potem wprowadzam w to studentów. Największym zagrożeniem jest odejście w tym procesie od własnej głębokiej wiedzy w danej dziedzinie. Dlatego napisałam, że chodzi o wspieranie badaczy, a nie o automatyzację nauki. To drugie jest bardzo niebezpieczne.

Jako trzecia kobieta w historii otrzymała pani Medal Eddingtona przyznawany przez Królewskie Towarzystwo Astronomiczne za wybitne osiągnięcia w dziedzinie astrofizyki teoretycznej. A wie pani, co to znaczy być jedyną kobietą w zespole. Z jakimi wyzwaniami dziś mierzą się nie tylko kobiety, lecz w ogóle mniej obecne grupy w astronomii i nauce?



Hiranya Peiris – brytyjska astrofizyczka, profesor University of Cambridge. Zasłynęła pracami nad mikrofalowym promieniowaniem tła. Prowadzi interdyscyplinarne badania na styku kosmologii i fizyki cząstek elementarnych. Uczestniczka tegorocznego Copernicus Festival w Krakowie.

Ważne, żeby mówić najpierw o pozytywach. Kiedy byłam studentką w Cambridge, nie miałam ani jednej wykładowczyni. Po powrocie na uczelnię chciałam wziąć najważniejszy przedmiot i go poprowadzić. To był trzeci rok kursu ogólnej teorii względności, na którym było ok. 160 osób. Trudny przedmiot. Stojąc przed tą grupą, zobaczyłam ogromne różnice w porównaniu z moim doświadczeniem. Na moim roku były 72 osoby, w tym trzy kobiety. Teraz jest ich wiele, są też osoby o różnych kolorach skóry i z różnych stron świata. Uważam to za postęp.

Na wyższych szczeblach wciąż jednak są problemy. Byłam pierwszą badaczką wybraną na stanowisko szefowej katedry astrofizyki, która istnieje od 125 lat. Myślę, że bariery są niższe niż kiedyś, ale kobiety wciąż muszą walczyć bardziej niż mężczyźni na niemal każdym polu, żeby się przebić. Swoją drogą warto jednak odejść od binarności w nauce – w niej liczy się różnorodność i różne punkty widzenia oraz odmienne doświadczenia. Z jednej strony chodzi o sprawiedliwość – ludzie powinni mieć szansę spełnienia swoich aspiracji, niezależnie od płci, wyglądu czy pochodzenia. Ich zasługi powinny być traktowane tak samo jak w przypadku standardowego białego mężczyzny, jeśli mogę tak to ująć. Nadal w tej kwestii pozostaje wiele do zrobienia.

Czy to zależy od decydentów?

Wiele propozycji zmian pojawiło się oddolnie i to jest zasługa naszej społeczności. Nam w Wielkiej Brytanii pomagali również decydenci: przykładem Karta Athena SWAN. Podpisując ją, uniwersytety zobowiązały się do systemowego wspierania karier kobiet (dziś już nie tylko ich) w naukach ścisłych i medycznych. Ta przełomowa zmiana, wprowadzona w 2005 r., przyspieszyła postęp, bo uczelnie naprawdę zwracają uwagę na te kwestie, kiedy w grę wchodzi finansowanie.

Z nim są problemy. Polscy badacze demonstrują właśnie przed Sejmem w sprawie zwiększenia nakładów na naukę. Dlaczego nie docenia się jej wartości?

Dużo o tym myślałam ze względu na problemy, jakie od początku roku mamy w Wielkiej Brytanii. Dochodzę do wniosku, że nie chodzi tu o niedocenianie, lecz o badania, jakie prowadzimy – podstawowe, czyli nieprowadzące od razu do zastosowań. Decydenci nie rozumieją, dlaczego to jest ważne. Nie wiem, na ile odpowiada to sytuacji w waszym kraju, ale moim zdaniem polska gospodarka radzi sobie bardzo dobrze i wygląda na to, że władze naprawdę dbają o rozwój. Dlatego zaskakuje mnie, że nie dostrzegają znaczenia nauki.

A przecież głębokie przemiany społeczne zawdzięczamy badaniom podstawowym. Ogólna teoria względności i mechanika kwantowa przekształciły cywilizację na przestrzeni stu lat. I jestem przekonana, że kiedyś to długoplanowe myślenie będzie mieć znaczenie dla decydentów. Obecnie myślą jednak tylko o kolejnym roku, a nawet miesiącu, czy po prostu o własnej kadencji. Częściowo może to wynikać z faktu, że wielu z nich nigdy nie podjęło studiów naukowych, przynajmniej tak jest w moim kraju. I mam wrażenie, że zaufanie do ekspertów zaczęło spadać, choćby za sprawą portali społecznościowych.

Poza tym uważam, że niektórzy z nas, naukowców, odpuszczają ten temat, wielu traktuje też takie instrumenty jak granty ERC jako oczywistość. A to niesamowite i wyjątkowe narzędzie finansowania. Nie wiem jednak, ilu naukowców to zauważa i mówi: „Wiecie, mamy w Europie coś niewiarygodnie wartościowego". Czuję się zaszczycona, że ERC zaprosiło mnie na Copernicus Festival. Byłam tam z przesłaniem, że nauka to coś, co musimy chronić.

ROZMAWIAŁ ŁUKASZ TYCHONIEC

© MAX ALEXANDER/SCIENCE PHOTO LIBRARY/EAST NEWS

eprasa.pl 89a8166262

Leczyć więcej niż zęby

Rozmowa z dr Emmą Kiworkową, właścicielką Kliniki Stomatologicznej Villa Nova Dental Clinic i współwłaścicielką Villa Nova Orthodontics:

Tomasz Kwieciński: – Od 8 do 12 proc. Polaków jest w trakcie leczenia ortodontycznego, a wśród dzieci i nastolatków odsetek ten sięga nawet 60 proc. To wciąż moda czy trwała zmiana społeczna?

Dr Emma Kiworkowa: – Przez lata ortodoncję przedstawiano jako luksusowy dodatek, coś pomiędzy wybielaniem zębów a medycyną estetyczną. Tymczasem to leczenie dotyczy podstawowych funkcji organizmu: prawidłowego oddychania, żucia, rozwoju kości twarzoczaszki oraz ochrony własnych zębów przed przedwczesnym zużyciem.

A więc to nie kosmetyka dla bogatych?

Pacjent po dobrze przeprowadzonym leczeniu ortodontycznym nie tylko wygląda lepiej. Ma większą szansę zachować naturalne uzębienie do późnej starości, a w starzejących się społeczeństwach zdrowie jamy ustnej staje się jednym z kluczowych elementów jakości życia. Medycyna długo skupiała się na sercu i metabolizmie, pomijając ten aspekt.

Trudno o prostych zębach nie myśleć przez pryzmat estetyki.

Oczywiście, że ładny uśmiech jest najbardziej widocznym efektem. Ale pacjent powinien docenić więcej: poprawę żucia, wolniejsze ścieranie szkliwa i łatwiejszą higienę. Krzywo ustawione zęby znacznie trudniej utrzymać w czystości, a nieprawidłowy zgryz prowadzi do chronicznych napięć i przeciążeń.

Kiedy zacząć leczenie ortodontyczne, czy u dzieci czekać na stałe zęby?

Zdecydowanie wcześniej niż większości rodziców się wydaje. Dziecko powinno zostać zbadane przez ortodontę ok. 6. roku życia – niekoniecznie po to, by od razu zakładać aparat, ale by wychwycić zaburzenia rozwoju. Dziś dzieci rozwijają się inaczej niż poprzednie pokolenia: jedzą miękkie pokarmy, które nie stymulują prawidłowego wzrostu zgryzu. Do tego dochodzi oddychanie przez usta wskutek przewlekłych infekcji i alergii. Efekt? Zwężona szczęka, zaburzenia oddychania, nieprawidłowa pozycja języka. Niedotlenione dziecko gorzej śpi i bywa bardziej zmęczone.

Brzmi to jak medycyna funkcjonalna, a nie doraźna stomatologia.

Bo nowoczesna ortodoncja to już nie tylko prostowanie zębów. Na szczęście stomatolodzy dziecięcy i pediatrzy coraz częściej zwracają uwagę także na oddychanie, ustawienie żuchwy i rozwój łuków zębowych. To ogromna zmiana, bo w wypadku nieprawidłowości kierują dzieci do ortodontów.

A jeśli ktoś ma 40–50 lat, to nie jest już za późno?

Absolutnie nie. Dziś możliwości są znacznie większe niż kilkanaście lat temu. Dorosły pacjent przychodzi jednak z bagażem konsekwencji: startymi zębami, chorym przyzębiem, bólami mięśniowymi i zaburzeniami stawów skroniowo-żuchwowych. Dlatego leczenie dorosłych musi być interdyscyplinarne – ortodonta, protetyk, periodontolog, chirurg, fizjoterapeuta i neurologopeda.



I właśnie wokół takiego modelu zbudowała pani, wraz z dr Rafałem Brandtem, Villa Nova Orthodontics?

Nowa klinika to naturalne rozwinięcie filozofii, którą wyznajemy od dwudziestu lat w Villa Nova Dental Clinic. To miejsce, w którym pacjent nie jest odsyłany od specjalisty do specjalisty. Mamy 13 gabinetów ortodontycznych, nowoczesne zaplecze diagnostyczne i zespół ekspertów pod jednym dachem. Jesteśmy największą tego typu kliniką na prywatnym rynku w Europie.

Cała współczesna medycyna mówi o holistycznym leczeniu. W stomatologii to realna zmiana?

Jeśli pacjent przez kilkadziesiąt lat funkcjonował z wadą zgryzu, samo przesunięcie zębów nie wystarczy. Organizm wypracował patologiczne wzorce napięć – trzeba je odwrócić. Dlatego współpracujemy z fizjoterapeutami i logopedami. Bez zmiany nawyków (np. pracy języka) wada może wrócić.

Klinika ma być też centrum szkolenia młodych lekarzy. Skąd taki pomysł?

W Polsce jest za mało miejsc specjalizacyjnych, a rozwój technologii przyspieszył. Wiedza akademicka już nie wystarcza. Uruchamiamy jesienią program masterclass – młodzi lekarze będą pracować pod opieką mentorów, prowadzić własnych pacjentów, obserwować dziesiątki innych przypadków i korzystać z webinarów z najlepszymi specjalistami.

Takie ośrodki szkoleniowe na prywatnym rynku to nowość?

Chcemy łączyć leczenie, dydaktykę i rozwój technologii. W odróżnieniu od wielu projektów europejskich u nas młodzi lekarze zyskają kompleksowe doświadczenie kliniczne, a pacjentom biorącym udział w programie edukacji zaproponujemy preferencyjne warunki leczenia.

Co najbardziej panią razi w tej branży?

Powierzchowność. Żyjemy w kulturze instagramowego „przed i po". Tymczasem rzetelna ortodoncja to wieloletni proces wymagający dokładnej diagnostyki, cierpliwości i współpracy wielu specjalistów. Najgorsze, co można zrobić pacjentowi, to obiecać szybkie i proste rozwiązanie skomplikowanego problemu biologicznego. A nasz organizm nie działa przecież jak aplikacja.

ROZMAWIAŁ TOMASZ KWIECIŃSKI

...picasa.pl #a8166262

Ze świtą w zaświaty

Nie dość, że silni i bogaci uciskali słabych i biednych za życia, to jeszcze „zabierali ich do grobu” po swojej śmierci. Makabryczny przesąd z epoki brązu po dziś dzień zostawił ślady w ludzkich głowach.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

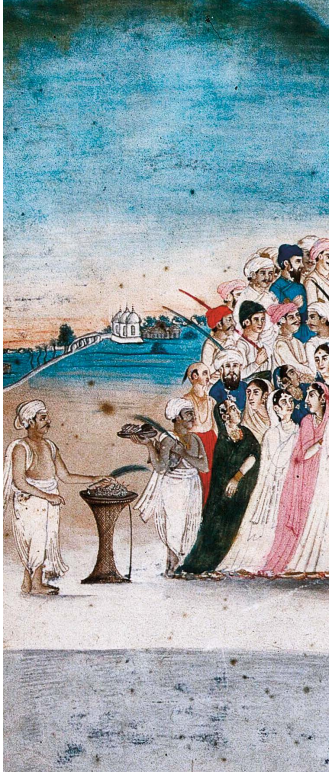

Spalenie wdowy po zgonie męża. Mimo zakazów starożytny obyczaj sati praktykowano w Indiach jeszcze w XIX w.

Niewolnica krążyła między namiotami, prowadzona od jednego mężczyzny do drugiego. Wszyscy pili i się śmiali, do momentu, kiedy półprzytomną kobietę wprowadzono na łódź i posadzono obok ciała wodza. Gdy podano jej kolejne napoje i poprawiono strój, mężczyźni złapali ją za ręce i nogi, a prowadząca ceremonię starucha zadała jej cios nożem. Żałobnicy zaczęli uderzać w tarcze, by zagłuszyć krzyk ofiary. Bezwładne ciało upadło na pokład, celebranci zeszli na ląd, a łódź chwilę później stanęła w płomieniach.

Opis pogrzebu wodza Rusów w 922 r. – autorstwa arabskiego podróżnika Ahmada ibn Fadlana – to świadectwo odbierania człowiekowi życia po to, by towarzyszył dostojnikowi po śmierci. Jego relacja jest jednak wyjątkiem, zwykle po takim rytuale zachowują się jedynie wzmianki oraz groby i szkielety. Gdy je znajdowano, badacze raczej skupiali się na właścicielach grobów, ale ostatnio koreańscy archeolodzy zainteresowali się ofiarami. Analiza DNA z mogił władców królestwa Silla potwierdziła to, co podejrzewano od dawna – ludzie składani w ofierze nie byli przypadkowi, a taka śmierć, podobnie jak status, była dziedziczna.

Silla to obok Baekje i Goguryeo jedno z Trzech Królestw Korei (od I w. p.n.e. do VII w. n.e.). Znajdowało się w południowo-wschodniej części Półwyspu Koreańskiego, a jego stolicą było Gyeongju. Początkowo było spośród nich najbardziej peryferyjne, ale z czasem zaczęło dominować i w 668 r. zjednoczyło większość Korei. Już wcześniej jego elity stworzyły sztywny system hierarchii społecznej – i to właśnie w jego ramach rozwijał się zwyczaj pogrzebowy zwany sunjang. Już wcześniej w kurhanach na nekropoli w Gyeongju, datowanych na IV–VI w., znajdowano – poza szczątkami króla – kości kilku, czasem kilkunastu osób. Ich ciała ułożono w osobnych komorach lub przy wejściu do grobu.

Archeolodzy sprawdzili pochówki elit z cmentarzyska Imdang-Joyeong. Przebadano genomy 78 osób – tych z centralnych komór i tych złożonych obok nich. Wśród tych drugich byli rodzice i dzieci, rodzeństwo oraz dalsi krewni. Co może świadczyć o istnieniu grup zależnych od elity, które w przypadku śmierci „patronów”, mogły zostać wybrane na ofiary. Praktykę *retainer sacrifice* (ofiara ze sług) znano w różnych częściach świata od epoki brązu. Wraz z wyłonieniem się silnych grup uprzywilejowanych i pierwszych organizmów państwowych, pojawiają się groby, w których służba, wojownicy czy dworzanie są składani razem z elitą, bo śmierć stała się spektaklem władzy. Czasami były to akty powtarzalne, czasami jednorazowe.

Tych ostatnich dopuszczali się Scytowie. W najstarszych kurhanach obok zmarłego wodza znajdowano pojedyncze ludzkie ofiary i zwierzęta. W Tunnug 1 w Tuwie z końca IX w. p.n.e. było to 18 koni i co najmniej jeden człowiek. Podobnych odkryć dokonywano w pochówkach skandynawskich i na północnym wybrzeżu Peru, w kulturze Moche, w elitarnych pochówkach z pierwszej połowy I tysiąclecia n.e. W grobie w Huaca Cao Viejo należącym do Señory de Cao, zmarłej między 440 a 540 r., pochowano jeszcze kilka osób, które – jak wynika z analiz – były z nią spokrewnione.

Miejsc, w których przedstawiciele elit systemowo zabierali w zaświaty „towarzyszy”, nie było wiele. Jednym z przykładów jest cmentarzysko w Ur w Mezopotamii (ok. 2600–2500 r. p.n.e.) – tam w grobach zmarłych władców składano od kilku do kilkudziesięciu mężczyzn i kobiet. Najliczniejszą świtę (74 osoby) miała królowa Puabi. Ofiary przed śmiercią zazwyczaj odurzano, dlatego często leżą spokojnie, jakby zasnęły w bogatych strojach wśród przedmiotów używanych za życia. Tradycja ta jednak zanikła po kilku pokoleniach.

Podobnie w Egipcie. Tam za I dynastii (3000–2800 p.n.e.) wokół centralnej komory, w której leżał faraon, budowano dziesiątki mniejszych grobów osób zmarłych (lub raczej zabitych) w tym samym czasie. Koło grobowca Dżera było ponad 300 takich pochówków należących do służby, urzędników i konkubin. Kolejni władcy zastąpili już ofiary figurkami uszebti (służących) i nałożnic (dla przyjemności zmysłowych).

Znacznie większą skalę zjawisko to miało w Chinach epoki Shang (1600–1046 p.n.e.). W Anyang, stolicy tej dynastii, w królewskich grobach były nie tylko liczne dary. W grobie królowej Fu Hao (ok. XIII w. p.n.e.) poza 1600 przedmiotami i sześcioma psami znaleziono szczątki co najmniej 16 osób. W innych grobach liczby te sięgają kilkudziesięciu – zarówno członków otoczenia władcy, jak i jeńców wojennych. Dopiero po przejęciu władzy przez dynastię Zhou zaczęto zastępować ludzi figurkami, modelami domów i zwierzętami z ceramiki. Proces ten osiąga spektakularne zwieńczenie za dynastii Qin – w grobowcu pierwszego cesarza Qin Shi Huanga (zm. w 210 r. p.n.e.) zamiast figurek pojawia się armia tysięcy pełnowymiarowych żołnierzy z terakoty.

Na tym tle Silla jest wyjątkiem. Co prawda łączy je z innymi powtarzalność

© ALAMY/BE&W

eprasa.pl 89a8166262



krwawego rytuału, jego organizacja i ścisły związek z władzą, ale różni to, że pojawił się w późnych fazach państwowości. Królestwo powstało ok. 50 r. p.n.e., a sunjang praktykowano w IV–VI w., gdy podobne rozwiązania były już przeszłością. W Japonii ze źródeł pisanych wynika, że na początku okresu Kofun w III w. przy pogrzebach elit składano ludzi w ofierze, jednak monumentalne kurhany władców, budowane do VI w., otaczają jedynie tysiące glinianych figur haniwa, przedstawiające wojowników, służbę, konie, domy. Podobnie w dwóch innych koreańskich królestwach – w Baekje status zmarłego podkreślano bogatym wyposażeniem grobu, a w Goguryeo malowidłami ze scenami z życia pośmiertnego, symbolizującymi zaświatowy dwór.

W Silla sunjang stanowi element „ekonomii politycznej" oraz narzędzie kontroli społecznej – ludzie przeznaczeni na ofiary stanowili część politycznej struktury. Chodziło o to, że elita „zabierała" ze sobą do grobu relacje społeczne i zależności. Realna śmierć była bardziej niż symbole przekonująca jako komunikat: życie poddanych należy do nas.

Zmusza to do rewizji intuicyjnego przekonania o istnieniu jednego kierunku rozwoju – od przemocy do jej ograniczenia. Konkretne rozwiązanie społeczne może pojawiać się w różnych momentach dziejów i znikać nie dlatego, że jest „przestarzałe", lecz dlatego, że przestaje być potrzebne. Koreańskie królestwo trzymało się sunjang do ok. 527 r., kiedy za oficjalną ideologię uznano buddyzm, co przyniosło nie tylko inne wyobrażenia o życiu i śmierci, ale też zmieniło język władzy. Zamiast spektakularnego gestu dominacji nad cudzym ciałem pojawia się idea zasługi, karmy i moralnego porządku. Nie znaczy to jednak, że ludzie stali się bardziej humanitarni – po prostu zmieniono narzędzie.

Silla, które w VII w. przekształciło się w tzw. Zjednoczone Silla, a po jego upadku ustąpiło miejsca dynastii Goryeo (stąd nazwa Korea), stworzyło jeden z najsztywniejszych ustrojów społecznych w historii regionu. Zwano go systemem „kości", czyli golpum, który dzielił elity na zamknięte dziedziczne kategorie, dające dostęp do władzy, urzędów, określonego stroju, architektury i małżeństw. W tym sensie sunjang i golpum to dwie odsłony tej samej logiki – jedna brutalna i dosłowna, druga uporządkowana i trwała, ale oparta na tym samym założeniu, że miejsce człowieka w społeczeństwie jest przekazywane wraz z urodzeniem.

W dynastii Joseon (od końca XIV w.) jest zresztą podobnie – państwo przyjmuje konfucjanizm jako ideologię, a wraz z nim rozbudowany system hierarchii społecznej. Na szczycie stoją yangban – elity urzędnicze i intelektualne, które dziedziczą prestiż i przywileje; niżej znajdują się wolni chłopi, rzemieślnicy i kupcy, a na samym dole – grupy wykluczone, jak cheonmin, czyli np. niewolnicy i artyści. Hierarchia nie potrzebuje już rytuału śmierci, wystarczy system kontroli nad zachowaniem, statusem i ciałem. Przemoc przestaje być fizyczna, a zaczyna być normą społeczną, która najbardziej dotyka kobiety.

Wzmianki o sati pojawiały się już w starożytności, ale zwyczaj ten był najpowszechniejszy w średniowieczu i wczesnej nowożytności. Ciekawe, że w tym samym czasie w Chinach epoki Ming (1368–1644) i Qing (1644–1912) oraz w Korei za dynastii Joseon postępowano podobnie – wdowy nie powinny wychodzić powtórnie za mąż, a rodzinę uznawano za bardziej honorową, jeśli po śmierci męża odebrały sobie życie. Państwo i lokalne wspólnoty nagradzały taką postawę, wznosząc „łuki cnoty", czyli kamienne bramy upamiętniające wierne żony. Budowle takie nie opowiadają historii tych kobiet. Powtarzają jedynie formuły, jak „cnota", „wierność", „oddanie". Imiona, jeśli się pojawiają, giną w cieniu określenia „wdowa po...". To nie pomniki życia, lecz pomniki normy.

Często nie były to dobrowolne gesty. W źródłach opisano przypadki kobiet zmuszanych do samobójstwa przez rodzinę lub społeczność, a europejscy obserwatorzy z XVIII i XIX w. wspominają o takich, które próbowano wprowadzić na stos siłą. Jeszcze w XIX w. w Indiach odnotowywano podobne przypadki, mimo prób zakazu tej praktyki. To także był system moralnej presji: o ile w sunjang chodzi o podporządkowanie części społeczeństwa, o tyle w samobójstwach wdów – o kontrolę nad kobietą i jej seksualnością. Nic dziwnego, że ta forma przetrwała najdłużej.

Czy z tego wynika, że współcześni mieszkańcy Azji Wschodniej myślą kastowo i mają „w genach" większą skłonność do okrucieństwa i przemocy? Nie. Zwyczaje utrzymują się dzięki instytucjom, normom, pamięci kulturowej i trwałości struktur. A to ostatnie jest wyjątkowo wyraźne w Korei Południowej. Choć formalne podziały stanowe zniknęły pod koniec XIX w., nadal znaczenie ma pochodzenie rodzinne, sieć powiązań, prestiż ukończonej uczelni... To nie sunjang czy golpum, lecz przekonanie, że nie wszyscy startują z tego samego miejsca, przez stulecia uzasadnia nierówność. Od płonącej łodzi, przez kamienne łuki cnoty, po mężów bijących żony za zbyt słoną zupę – zmieniają się formy, nie logika przemocy wobec kobiet. ■

eprasa.pl 89a8166262



Jabłka bez jabłoni

Uprowadzenie tysięcy ukraińskich dzieci przez putinowskie służby i próby wychowania ich na Wielkorusów to odrażający eksperyment pedagogiczny. Płyną z niego jednak nie tylko ponure wnioski.

JANUSZ A. MAJCHEREK

Psycholodzy i pedagodzy znają równie buńczuczną, co przerażającą deklarację behawiorysty Johna Watsona: „Dajcie mi tuzin zdrowych niemowląt i pozostawcie mi mój świat jako miejsce ich dorastania, a uczynię z nich, kogo tylko zechcę – lekarza, prawnika, artystę, kupca, a nawet żebraka, złodzieja, niezależnie od ich talentów, upodobań, skłonności, możliwości, powołań czy rasy ich rodziców". U podłoża tej zdumiewającej oferty leżały pozytywne intencje proklamowania równości wszystkich ludzi przychodzących na świat bez wrodzonych różnic. Rezultaty jednak bywały okropne. Twórca pedagogiki sowieckiej Anton Makarenko był przekonany, że odpowiednimi metodami wychowawczymi z każdego dziecka można uczynić zdeklarowanego komunistę. Kuriozalne jest, że pogląd ten on sam i jego propagatorzy nazywali optymizmem pedagogicznym.

Jeszcze bardziej ten absurd terminologiczny ujawniła doktryna i praktyka nazistów odbierających dzieci mieszkańcom podbitych terytoriów (np. z polskiej Zamojszczyzny) i urabiających je na wzorowych członków Hitlerjugend, z nadzieją, że zostaną wzorowymi aktywistami NSDAP, a może i SS. Osobliwym elementem tego ohydnego procederu było dobieranie dzieci według kryteriów „rasowych". Nie wszystkie miały się nadawać na Niemców. Dawni sowieccy i obecni rosyjscy inżynierowie społeczni są mniej wybredni.

Praktyka porywania dzieci z wrogich lub podbitych społeczności i urabiania ich na lojalnych obywateli, a nawet gorliwych funkcjonariuszy własnego państwa, była znana wcześniej. Zapewne najbardziej spektakularny jest przykład janczarów – brańców uprowadzanych przez osmańskich Turków i przysposabianych (po obowiązkowej konwersji na islam) na walecznych żołnierzy, gotowych zabijać swoich pobratymców w imię wierności sułtanowi, z którego polecenia ich porwano. To zupełnie tak jak porwane lub zwabione ukraińskie dziecko wychowywane na wroga Ukrainy, gotowego przeciw niej walczyć w imię wielkoruskich, imperialistycznych haseł i celów.

Jednak możliwość wychowania dziecka według innych wzorów kultury niż te obowiązujące w społeczności, z której się wywodzi, ma też bardziej optymistyczne przejawy i konsekwencje. W czasie drugiej wojny światowej część dzieci żydowskich udało się uratować w „aryjskich" rodzinach wychowujących je na Polaków i katolików, co pozwoliło im się ukryć przed nazistowskimi oprawcami. Znane są przypadki nie tylko skutecznego (umożliwiającego przeżycie), ale także trwałego przyjęcia nowej tożsamości przez takie osoby, które nawet po zdobyciu w dorosłym życiu wiedzy o swoim pochodzeniu pozostawały przy tej nowej tożsamości.

Spektakularne są przykłady księży katolickich żydowskiego pochodzenia, wychowanych (poddanych socjalizacji pierwotnej) w katolickich rodzinach. Szczególnie wymowna i mocno dwuznaczna jest historia Edgardo Mortary, żydowskiego dziecka

© LAURA LEZZA/GETTY IMAGES

eprasa.pl 89a8166262

z Bolonii, uprowadzonego w połowie XIX w. przez funkcjonariuszy ówczesnego państwa kościelnego (jako rzekomo ochrzczonego w niemowlęctwie przez służącą) i wychowanego w katolickim zakładzie, w wyniku czego został gorliwym księdzem, prowadzącym działalność misyjną i usiłującym nawracać na katolicyzm swoją umierającą matkę.

Dzięki możliwości zmiany tożsamości funkcjonują adopcje, często ratujące dzieci (np. z patologicznych rodzin) przed deprawacją i demoralizacją. Przysposobione przez zagranicznych rodziców zastępczych na ogół całkowicie się asymilują w nowym środowisku. Jednak adopcje transgraniczne, międzykulturowe są często reglamentowane lub wręcz zakazywane. Według zwolenników takich ograniczeń dzieci powinny pozostać w macierzystym otoczeniu kulturowym, zwłaszcza poprzez podtrzymanie znajomości języka. Niektóre organizacje żydowskie wyszukiwały po wojnie dzieci przechowane w obcych rodzinach, pragnąc je przywrócić wspólnocie żydowskiej, nawet jeśli nikt z ich rodziny nie przeżył, a one same o swoim pochodzeniu nie wiedziały lub zapomniały.

Za rządów PiS w 2017 r. dokonano radykalnego ograniczenia możliwości adopcji polskich dzieci za granicę. Polski Kodeks rodzinny i opiekuńczy dopuszcza adopcję zagraniczną dziecka urodzonego w Polsce, tylko jeśli to jedyny sposób na zapewnienie mu odpowiedniego środowiska rodzinnego. Zatem istnieje pierwszeństwo wniosków adopcyjnych od mieszkańców i obywateli Polski, w praktyce za granicę wyjeżdżają niemal wyłącznie dzieci niepełnosprawne, których – nazywając to brutalnie – nikt w Polsce nie chciał wziąć na przysposobienie. Odsetek adopcji zagranicznych spadł w ostatnich latach radykalnie. O ile na początku lat 90. i w niektórych latach obecnego stulecia wyrażał się wartościami dwucyfrowymi (w 1992 r. było to 480 przypadków, a więc prawie 16 proc. wszystkich, w 2006 r. – 344, czyli ponad 12 proc.), o tyle w ostatnich latach są to przypadki pojedyncze.

Być może jednym z powodów jest także wyrównywanie się poziomu życia w Polsce i krajach zachodnich. O ile kilkadziesiąt, a nawet jeszcze kilkanaście lat temu przyjęcie do przeciętnej rodziny zachodnioeuropejskiej było życiową szansą, obecnie w wielu polskich rodzinach adopcyjnych warunki są porównywalne. Zapewne dlatego obserwuje się trend przeciwny: coraz częstsze adopcje dzieci z zagranicy przez rodziny mieszkające w Polsce, zwłaszcza mieszane, gdy jedno z przyszłych rodziców pochodzi z tego samego kraju, co przysposabiane dziecko. Nie może to jednak być Ukraina, bo tamtejsze władze nie zezwalają na zagraniczne adopcje ukraińskich dzieci.

Możliwość skutecznego kształcenia i kształtowania dzieci w innej kulturze niż ta, z której pochodzili rodzice, ma optymistyczną wymowę wobec napływu imigrantów, także do Polski. Pozwala wierzyć, że asymilacja jest możliwa. Problem jednak polega na tym, że na ogół dzieci migrują wraz z rodzicami i pozostają pod ich wpływem także w miejscu osiedlenia, co procesy asymilacyjne opóźnia, czasami nawet hamuje.

Przykłady dzieci przybyszy ze społeczności muzułmańskich są deprymujące: niekiedy przejmują one identyfikację z islamem w wersji radykalnej, a nawet fundamentalistycznej. Zdarza się to także w przypadku tych, które urodziły się już w nowym otoczeniu, a nabierają do niego nie tylko niechęci, ale wręcz wrogości, pod wpływem znaczących osób – niekoniecznie rodziców – z rodzimej społeczności.

Steven Pinker, jeden z najbardziej znanych współczesnych psychologów, w książce „Tabula rasa" poddał krytyce teorie oparte na tytułowym pojęciu. Używane od stuleci w pierwotnej wersji odnosiło się do zagadnień poznawczych i wyrażało empirystyczny pogląd, że umysł człowieka przychodzącego na świat jest pusty (*tabula rasa* – łac. czysta tablica), a wypełnia się treściami w trakcie kolejnych doświadczeń. W wersji rozszerzonej oznacza, że niemowlę jest nieukształtowane, także pod względem innych cech i przymiotów mentalnych, osobowościowych, charakterologicznych, które kształtują się w procesie jego socjalizacji. Cytowana deklaracja Watsona to radykalne ujęcie tego poglądu.

Odkrycia genetyki pozwalają podważyć przynajmniej niektóre z tych koncepcji. Nie tylko cechy anatomiczno-biologiczne, lecz także charakterologiczne, osobowościowe, mentalne są uwarunkowane genetycznie. Według niektórych ustaleń osiągnięcia edukacyjne zależą w 60 proc. od czynników wrodzonych, inteligencja w 50 proc., a cechy osobowościowe w 40 proc. Wprawdzie, poza nielicznymi wyjątkami chodzi tu o uwarunkowania zależne od sekwencji i konfiguracji wielu genów, lecz nie są one modyfikowalne. Dotyczy to np. talentów, predyspozycji, predylekcji. Wbrew deklaracji Watsona nie da się z każdego dziecka zrobić pianisty, naukowca, sportowca, szachisty, informatyka, komika...

Można to uznać za konstatację pesymistyczną, ale niekoniecznie. Dzieci mają różne uzdolnienia, trzeba je tylko rozpoznać i rozwinąć. Znany głównie ze swego ateizmu Richard Dawkins jest autorem pojęcia memu, w jego rozumieniu mającego oznaczać jednostkę dziedziczenia kulturowego, analogicznie do genu, czyli jednostki dziedziczenia biologicznego. Jednak dziedziczenie cech kulturowych odbywa się inaczej, nie są wrodzone, lecz przyswajane w toku procesów kulturalizacji. Te zaś uwarunkowane są wzorami kultury środowiska, w którym zachodzą. Biologiczne (genetyczne) cechy rodziców i krewnych nie mają dla nich znaczenia, a kulturowe jedynie o tyle, o ile biorą oni udział w tych procesach. Współcześnie, nie tylko ze względu na wychowawcze role szkoły, lecz także wpływy innych organizacji, instytucji i kanałów oddziaływania (zwłaszcza internetu), a także migracji (wewnętrznych i zewnętrznych) maleje tu znaczenie środowiska rodzinnego.

Zarówno teoretyczne ustalenia, jak i praktyczne obserwacje uprawniają wniosek, że cechy charakterologiczno-osobowościowe są w znacznej części wrodzone i słabo modyfikowalne. Jednak te społeczno-kulturowe zostają nabyte. Nie da się z introwertyka uczynić trybuna ludowego, a z choleryka potulnego pracusia, lecz każdego można wychować i wykształcić na Polaka, Ślązaka, Warszawiaka (cokolwiek to ostatnie miałoby znaczyć). Także niezależnie od koloru skóry, kształtu oczu, miejsca urodzenia czy pochodzenia rodziców, jeśli ci nie stwarzają przeszkód. To ważny i optymistyczny wniosek w kontekście nieuchronnej i z wielu powodów pożądanej imigracji. Ciemnoskóry czy skośnooki Polak (Polka) to fakt i perspektywa nie bardziej problematyczne niż takiż Francuz, Hiszpan, Brytyjczyk...

Porwane ukraińskie dzieci powinny jednak jak najszybciej wrócić do rodzimego środowiska, bo zostały z niego wyrwane przemocą. Im dłużej pozostaną pod wpływem rosyjskich instytucji wychowawczych i propagandowych, tym większe, niestety, prawdopodobieństwo ich zrusyfikowania, a nawet ukształtowania na Wielkorusów. A to byłoby nieszczęście zarówno dla nich, jak i dla świata, dla którego Rosja ze swą wielkoruską ideologią i imperialistyczną doktryną jest zagrożeniem. ■

eprasa.pl 89a8166262

Sąd nad Petlurą

„Zabiłem wielkiego mordercę!” – wykrzykiwał Szlomo Szwarcbard, oddając się w ręce policji. Chwilę wcześniej zastrzelił Symona Petlurę wychodzącego z paryskiej restauracji. Był 25 maja 1926 r. Rok później rozpoczął się jeden z najgłośniejszych procesów sądowych w historii.



Symon Petlura, 1919 r.

EDWIN BENDYK

Symon Petlura to jedna z postaci historycznego panteonu Ukraińców. Polacy pamiętają go jako sojusznika Józefa Piłsudskiego w wojnie z bolszewikami w 1920 r. Petlura stał na czele Ukraińskiej Republiki Ludowej i jako główny ataman kierował także jej armią. W kwietniu 1920 r. oba państwa podpisały umowę warszawską określającą warunki współpracy i pomocy dla walczącej o niepodległość Ukrainy. Młoda republika ukraińska uznała m.in. granicę na Zbruczu, zrzekając się tym samym suwerenności nad Wołyniem i ziemiami wschodniej Galicji.

Zmagania z bolszewikami, których najbardziej dramatycznym momentem stała się Bitwa Warszawska w sierpniu 1920 r., zakończyło podpisanie 18 marca 1921 r. traktatu ryskiego. Jego stronami były Rzeczpospolita oraz Rosyjska Socjalistyczna Federacyjna Republika Radziecka, państwowość ukraińską reprezentowała Ukraińska Socjalistyczna Republika Radziecka. Ukraińską Republikę Ludową pominięto, jej żołnierzy przebywających w Polsce internowano. Odwiedzając 15 maja 1921 r. obóz internowania w Szczypiornie, Piłsudski powiedział pamiętne: „Ja was przepraszam, panowie, ja was bardzo przepraszam, tak nie miało być”. Ukraińcy mówią wprost o zdradzie przez Polskę.

Dyrektoriat Ukraińskiej Republiki Ludowej, na którego czele stał Petlura, już w listopadzie 1920 r. przeszedł w tryb pracy rządu na uchodźstwie ze zmieniającymi się lokalizacjami w Tarnowie, Częstochowie, Warszawie. W 1924 r. Petlura osiedlił się w Paryżu, mieście wyboru wielu głośnych ukraińskich emigrantów. Do francuskiej stolicy dotarł w 1925 r. anarchista Nestor Machno, twórca i dowódca Rewolucyjnej Powstańczej Armii Ukrainy. Odrzucał wizję ukraińskiej niepodległości w ramach burżuazyjnej republiki, więc walczył z Petlurą. Podobnie nie uznawał władzy bolszewickiej, więc walczył także z bolszewikami. Gardził konserwatywnym projektem hetmana Pawła Skoropadskiego, przeciwstawiając się mu zbrojnie. Tym bardziej jednak nie odpowiadał mu pomysł reaktywacji Imperium Rosyjskiego, więc gromił wojska Denikina.

W Paryżu Machno utrzymywał relacje ze środowiskami anarchistów żydowskich, większa zażyłość łączyła go ze Szlomo Szwarcbardem. Ukraiński historyk Wołodymyr Czop

eprasa.pl 89a8166262

przekonuje, że ujawnił on Machnie pomysł zamachu na Petlurę. Ten miał go od zamiaru odwodzić. Bezskutecznie.

Socjalista, anarchista, zegarmistrz

Szwarcbard urodził się w 1886 r. w Izmaile, w naddunajskim miasteczku znajdującym się dziś na terenie Ukrainy, choć właściwym miejscem zamieszkania jego rodu było Podole, okolice Bałty. Do Bałty też przenieśli się Szwarcbardowie w 1888 r. zmuszeni carskim rozporządzeniem zakazującym Żydom zamieszkiwanie 50-kilometrowego pasa przygranicznego.

Rémy Bijaoui, francuski prawnik i autor książek poświęconych historii prawa, w tym także monografii „Le crime de Samuel Schwartzbard" (Zbrodnia Samuela Szwarcbarda), podkreśla, że dzieciństwo zabójcy Petlury naznaczone było doświadczeniem antyżydowskich pogromów i antysemityzmu. W wymiarze polityczno-ideowym młody Szlomo uległ, jak wielu w tamtym czasie, urokowi idei socjalistycznych, z czasem przechodząc na pozycje anarchistyczne. Na życie zarabiał jako zegarmistrz.

Johnson Kelly, autor biografii „Sholem Schwarzbard: Biography of a Jewish Assassin" (Szlomo Szwarcbard. Biografia żydowskiego zabójcy), pokazał, że Szwarcbard angażował się zarówno w ruch rewolucyjny, jak i organizację samoobrony swych współrodaków przed pogromami. W 1905 r. zasłynął, gdy w Krutach czynnie wystąpił przeciwko pijanym żołdakom – weteranom wojny rosyjsko-japońskiej wrzeszczącym „bij Żydów" i atakującym żydowskich mieszkańców osady. Po powrocie do Bałty odegrał kluczową rolę w organizacji żydowskiej samoobrony podczas pogromu 20 października 1905 r. Po tych wydarzeniach wyjechał do nadgranicznego Wołoczyska, gdzie zajmował się działalnością rewolucyjną, szmuglując broń i ulotki przez granicę.

Tułacz

Zadenuncjowany trafił do więzienia, zwolniony po kilku miesiącach wyjechał do Czerniowiec w ówczesnych Austro-Węgrzech. Długo w bukowińskim mieście się nie zasiedział, przenosząc się kolejno m.in. do Lwowa, Znojma, Budapesztu, by w 1908 r. osiąść w Wiedniu. Po drodze nasiąkał ideami anarchistycznymi, ulegając zarówno urokowi prac Piotra Kropotkina, jak i bezpośrednio wpływowi Pierre'a Ramusa. W Wiedniu dopuścił się aktu „ekspropriacji" – tak rewolucjoniści nazywali kradzieże finansujące działalność polityczną. Za swój czyn odsiedział wyrok kilku miesięcy ciężkich robót, w 1909 r. wyjechał do Budapesztu. Po kolejnym aresztowaniu, tym razem za posiadanie literatury wywrotowej, opuścił Austro-Węgry, by osiąść w Paryżu.

Po wybuchu pierwszej wojny światowej zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej i walczył bohatersko dla swej nowej ojczyzny. Ciężko ranny pod Sommą w 1916 r., ledwie przeżył. Republika uhonorowała Szwarcbarda za bohaterstwo Krzyżem Wojennym. On sam, gdy tylko wrócił do sił, znów poczuł chęć do walki – w Rosji wybuchła rewolucja, więc nadszedł czas powrotu do starej ojczyzny. I znowu, jak w 1905 r., Szwarcbard zobaczył, że musi wybierać między zaangażowaniem w rewolucyjny czyn, dołączając w końcu do bolszewików, a obroną swojej żydowskiej wspólnoty przed pogromami. W latach 1917–21 stały się one stałym tłem wydarzeń w dawnym Imperium Rosyjskim, zwłaszcza na ziemiach o największej żydowskiej populacji – w Ukrainie. Szlomo Szwarcbard stracił w nich całą rodzinę – piętnaście osób.

Pod koniec 1919 r. żydowski rewolucjonista wspierany przez towarzyszącą mu żonę Annę ruszył z powrotem w kierunku



Proces Szlomo Schwarcbarda, 1927 r.

Francji, do której dotarł w styczniu 1920 r. W pamiętniku napisał: „Na początku 1920 roku ponownie osiedliłem się w Paryżu, który opuściłem trzy lata wcześniej z lekkim sercem i w radosnym nastroju. Powróciłem z sercem złamanym i przygnębiony...". Uosobieniem pogromowego bestialstwa stał się dla Szwarcbarda Symon Petlura. Jego likwidacja miała być gestem przywrócenia elementarniej sprawiedliwości i zadośćuczynieniem zbrodni wołającej o pomstę do nieba. Czy była też zadaniem zleconym przez radzieckie OGPU? Choć to dość popularna teza, nie ma przekonujących dowodów.

Ukraińska niepodległość

Wybór Petlury na figurę Wielkiego Zabójcy skupiającą odpowiedzialność za pogromy lat 1917–21 na ziemiach ukraińskich to wyraz okrutnej ironii losu. Przywódca Ukraińskiej Republiki Ludowej bardziej zasługuje na etykietę filosemity niż krwawego żydożercy. Również polityczny projekt, który współtworzył i za który odpowiadał, nie miał nic wspólnego z antysemityzmem lub systemową dyskryminacją społeczności żydowskiej. Przeciwnie.

Upadek caratu w wyniku rewolucji lutowej 1917 r. otworzył drogę najpierw do budowy ukraińskiej autonomii w ramach dogorywającego Imperium Rosyjskiego, a następnie niepodległości. Wyrazem tych dążeń było powołanie w Kijowie już 7 marca 1917 r. Centralnej Rady z historykiem Mychajło Hruszewskim na czele. Z inicjatywy Rady w kwietniu odbył się Ukraiński Kongres Narodowy, podczas którego dokonała się legitymizacja Rady jako organu władzy politycznej.

Równolegle rozwijał się ruch konsolidujący środowiska wojskowe – w maju 1917 r. w Kijowie odbył się I Wszechukraiński Zjazd Wojskowy. Jednym z głównych bohaterów tych wydarzeń stał się Symon Petlura, socjalista, rzecznik budowy niezależnych ukraińskich sił zbrojnych, choć jeszcze w tamtym czasie przeciwnik idei niepodległości – przyszłość Ukrainy widział w formie ▶

eprasa.pl 89a8166262

▶ autonomii w ramach dawnego imperium. W maju Petlura stanął na czele Ukraińskiego Generalnego Komitetu Wojskowego i wszedł do Rady Centralnej. Gdy w lipcu został powołany organ wykonawczy – Sekretariat Generalny z Wołodymyrem Wynnyczenką na czele – Petlura objął w nim funkcję generalnego sekretarza spraw wojskowych.

Drogę do ukraińskiej autonomii, a następnie niepodległości, wyznaczają uniwersały Rady. Pierwszy Uniwersał proklamujący autonomię został ogłoszony 23 czerwca 1917 r. Szczególne znaczenie miał jednak Drugi Uniwersał z 16 lipca, bo przedstawiał on ustrój nowej Ukrainy. Jego podstawą miała być pełna równość wszystkich grup etnicznych. Ideę tę wcielił w życie statut (odpowiednik konstytucji) przyjęty przez Sekretariat Generalny 29 lipca zapewniający bezpośrednią reprezentację w Sekretariacie najważniejszych mniejszości narodowych: Żydów, Rosjan i Polaków. Ich przedstawiciele wyłonieni na drodze wyborów pełnić mieli funkcje podsekretarzy z pełnią praw w obszarze swojej jurysdykcji, jakie przysługiwały sekretarzowi generalnemu ds. narodowości.

Artykuł 20. statutu stanowił, że „wszystkie akty prawne, przepisy administracyjne i decyzje opublikowane w języku ukraińskim ogłaszane będą także w języku rosyjskim, polskim i żydowskim". Na pierwszego podsekretarza ds. żydowskich został wybrany Mosze Silferfarb. Rząd Kiereńskiego nie uznawał ukraińskich aspiracji, ale spory między Piotrogrodem i Kijowem rozwiązał 7 listopada 1917 r. bolszewicki przewrót zwany rewolucją październikową. W odpowiedzi na zmiany w imperium już 20 listopada Centralna Rada ogłosiła Trzeci Uniwersał proklamujący powstanie Ukraińskiej Republiki Ludowej. Podtrzymał on prawa mniejszości do autonomii i samorządu, czego wyrazem stała się przyjęta 22 stycznia 1918 r. ustawa o autonomii narodowo-osobistej.

Pogromowa rzeczywistość

Niestety emancypacyjny i postępowy charakter polityki Ukraińskiej Republiki Ludowej nie mógł przesłonić faktu, że nie miała ona zbyt wielkich zasobów władzy, by kontrolować podległe sobie terytorium. Tymczasem Ukraina stała się przestrzenią chaosu generowanego przez zdemoralizowanych żołnierzy z oddziałów wracających lub porzucających front oraz różnorodne uzbrojone formacje występujące w imię haseł rewolucyjnych lub zajmujących się zwyczajną bandyterką, nierzadko łącząc cele polityczne z kryminalnymi.

Chaos pogłębił się po upadku rządu Kiereńskiego, kiedy „zwykłą" przemoc uzupełnił krwawy terror jako główna metoda prowadzenia walki rewolucyjnej przez bolszewików i kontrrewolucyjnej przez „białych". Ponurym wyrazem tej metody stała się rzeź Kijowa po zdobyciu miasta przez bolszewików w lutym 1918 r. Mychajło Murawiow dowodzący oddziałami najeźdźczymi wydał rozkaz likwidacji wszystkich oficerów i wrogów rewolucji, zachęcając podwładnych do burzenia i mordowania. Zginęły wówczas tysiące Kijowian, w większości ludność cywilna.

Największa groza padła jednak na społeczność żydowską. Duch pogromu, jaki opanował Imperium Rosyjskie pod koniec XIX w., w warunkach rewolucyjnego chaosu ujawnił przerażające moce. Żydzi w miastach i wsiach stali się celem zarówno regularnych oddziałów czerwonych i białych, jak i maruderów. Pogromów dopuszczały się także oddziały formalnie podległe Symonowi Petlurze. O udziale Polaków w tym procederze też nie należy zapominać.

Symbolem zbrodniczej fali stał się pogrom w Proskirowie dokonany 15 lutego 1919 r. przez oddział atamana Iwana Semesenki. W ciągu trzech i pół godziny miało zginąć ok. 1200 osób, dalszych 300 zmarło na skutek odniesionych ran. Semesenko został stracony w 1920 r., nie ma jednak jasności co do tego, czy głównym powodem wydania wyroku śmierci była odpowiedzialność za proskurowski pogrom. Samo wydarzenie ujawniło jednak, jak ograniczoną kontrolę nad rzeczywistością miała władza polityczna Republiki. Mimo ponawianych rozporządzeń rządu i rozkazów wydawanych przez Petlurę proceder nie ustawał. Wobec tej bezsiły w marcu 1919 r. do dymisji podał się Arnold Margolin, wiceminister spraw zagranicznych URL.

Proces

Szlomo Szwarcbard stanął przed sądem 18 października 1927 r. Sprawa wydawała się oczywista, zabójca został ujęty na gorącym uczynku, więcej – głośno podkreślał, że zrealizował swój plan. Wyrok skazujący za morderstwo z premedytacją wydawał się oczywisty. 10 dni później zapadł werdykt – 28 października Szwarcbard został uniewinniony. Winowajcą okazał się Symon Petlura, sąd przychylił się do narzuconej przez adwokata zabójcy, legendarnego Henry'ego Torrésa, interpretacji czynu: Szwarcbard jedynie wymierzył sprawiedliwość za zbrodnie dokonane na narodzie żydowskim w czasie rewolucji w Ukrainie. Faktycznym przestępcą miał być Petlura.

Do zaskakującego wyroku nie doszłoby, gdyby nie wielomiesięczna kampania społeczno-polityczna animowana przez Torrésa. Prawnik wiedział, że bez problemu uchroni swojego klienta przed gilotyną. Wszak ten był bohaterem wojennym, można było także tłumaczyć jego działanie traumą z czasów dzieciństwa i młodości. To jednak było za mało, żeby ogłosić triumf. Torrés postanowił więc odwrócić historię i proces o zabójstwo przekształcił w proces nad pogromami.

Hannah Arendt, autorka książki „Eichmann w Jerozolimie" opisującej i analizującej proces Adolfa Eichmanna, zarządcy Zagłady Żydów, przywołała proces Szwarcbarda, wskazując na podobieństwo tych rozpraw. Rzeczywiście Torrés włożył wiele wysiłku, by podczas procesu mówiono o mechanice pogromów, powołał się na licznych świadków i zgromadzoną dokumentację oraz zmobilizował opinię publiczną z takimi nazwiskami jak Albert Einstein, Romain Rolland, Paul Langevin czy Maksym Gorki.

W efekcie Symon Petlura nie tylko został przekształcony z ofiary zabójstwa w figurę Wielkiego Zabójcy. Stał się symbolem pogromowego antysemityzmu zapowiadającego możliwość tego, co miało nadejść – Zagłady. Gdy 14 października 2017 r. w Winnicy odsłaniano pierwszy w Ukrainie pomnik Symona Petlury, zaprotestowali Światowy Kongres Żydów i ambasador Izraela w Ukrainie. Wybrzmiała argumentacja mająca źródła w procesie Szwarcbarda. Do oburzenia dołączył się też Władimir Putin, mówiąc podczas spotkania Klubu Wałdajskiego, że „w Ukrainie stawia się pomnik antysemicie i człowiekowi o nazistowskich poglądach, który mordował Żydów".

Nestor Machno, w czasie rewolucji zacięty wróg Petlury, zeznawał jako świadek w czasie procesu Szwarcbarda. Mimo przyjaźni z żydowskim anarchistą nie potwierdził w sądzie jego wersji historii i zaprzeczył, jakoby Symon Petlura był sprawcą pogromów. Przekonywał, że odwrotnie – stanowczo się im sprzeciwiał.

EDWIN BENDYK

eprasa.pl 89a8166262

Nietykalne ziarna

Simon Parkin, **Zakazany ogród Stalina. Jak naukowcy (nie) uratowali mieszkańców Leningradu**, przekład Magdalena Papuzińska-Mill, Wydawnictwo Znak, Kraków 2026, s. 361

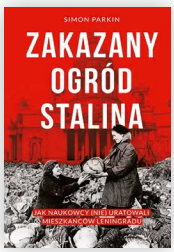

Książka łączy reportaż historyczny, biografię i opowieść o etosie nauki w ekstremalnych warunkach drugiej wojny światowej. Simon Parkin opowiada o Nikołaju Wawiłowie – wizjonerze, podróżniku, twórcy koncepcji centrów pochodzenia roślin uprawnych – oraz o botanikach z leningradzkiego Instytutu Roślin, którzy podczas niemieckiej blokady miasta strzegli jednego z największych na świecie banków nasion. W mieście, w którym z głodu ginęły setki tysięcy ludzi, naukowcy mieli pod ręką ziarno, ryż, ziemniaki – żywność, która mogła ich ocalić. Nie sięgnęli po nią. Jedną z najbardziej wstrząsających scen książki jest ta pokazująca naukowców śpiących na podłodze, umierających z głodu wśród worków pełnych ryżu i ziaren. Po wojnie odnaleziono nietknięte zapasy żywności i dokumentację prowadzoną do ostatnich dni. Choć można to odebrać jako gest heroicznej abstrakcji, to raczej było wyrazem przekonania, że nauka jest zobowiązaniem wobec przyszłych pokoleń. Bank nasion miał chronić bioróżnorodność świata, stać się narzędziem walki z globalnym głodem. Nie „tu i teraz" podczas wojny, lecz w dłuższej perspektywie. Autor wykorzystuje dzienniki, listy, archiwa, ale potrafi nadać narracji tempo i emocjonalną głębię. „Zakazany ogród Stalina" to poruszająca przypowieść o upolitycznieniu nauki, przemocy ideologii i cenie za niezależne myślenie.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Kostki domina

Andrzej Chwalba, **Maj 1926. Zamach, którego miało nie być**, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025, s. 384

Przewrót majowy w Polsce wpisał się w dość powszechną prawidłowość tamtej epoki. Demokracje instalowane w powersalskim ładzie w odrodzonych lub nowo powstałych państwach wywracały się po kolei. Nie dawały rady, były za młode, za słabe, by sprostać wyzwaniom czasu. W każdym z państw ulegających tej prawidłowości łamanie demokracji miało swój własny charakter, swoją specyfikę i swoje osoby dramatu. Prof. Andrzej Chwalba to opisał. Pokazał Rzeczpospolitą, która swojej niepodległości musiała bronić od razu przed nawałnicą bolszewicką, scalić dzielnice pozaborowe, wszystko ułożyć na nowo w trudnej sytuacji gospodarczej, przy wielkich napięciach społecznych i narodowościowych, z wrogimi sąsiadami. Sytuację komplikowały ramy ustrojowe i ostra walka polityczna. „Sejmokracja", czyli dominująca nad władzą wykonawczą władza parlamentu, przy wielkim rozdrobnieniu partyjnym i głębokiej polaryzacji nie sprzyjała skutecznym rządom. Po zabójstwie Gabriela Narutowicza powszechne stało się odczucie, że państwo jest na krawędzi i narasta niebezpieczeństwo zamachu stanu. I w maju 1926 r. się stało. Książka świetnie przedstawia przyczyny i przebieg zamachu, jego bilans, ale też zachęca do refleksji bardziej współczesnych. Przewrót uderzył w demokrację, ale to był pierwszy krok, potem były następne.

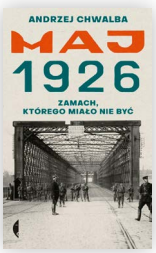

WIESŁAW WŁADYKA

Brazylijska gorączka

Wojciech Lada, **Za chlebem. Polscy chłopi w poszukiwaniu ziemi obiecanej**, Wielka Litera, Warszawa 2026, s. 334

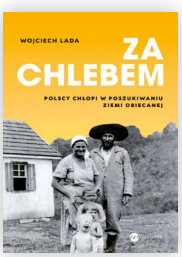

Epidemia samobójstw. Wady i zalety womitowania. Niepodległa republika zombie – nie tylko takimi tytułami rozdziałów Wojciech Lada wciąga nas w trochę zapomnianą epopeję polskich chłopów. O tym, że pod koniec XIX w. w Galicji i w zaborze rosyjskim bieda aż piszczała, nie trzeba nikomu przypominać. Prawdziwy kryzys, a z nim pauperyzację i głód, wywołało pęknięcie bańki spekulacyjnej na wiedeńskiej giełdzie w 1873 r. Zamożny Wiedeń doświadczył epidemii samobójstw wywołanej bankructwami. Kryzys pogłębił jeszcze napływ taniego zboża z USA. Więc do Ameryki, ale Południowej, ruszyli z dwóch najbiedniejszych zaborów polscy chłopi. Objuczeni dziećmi i tobołkami zwykle kierowali się do Bremy bądź innego portu II Rzeszy. Niemcy starali się im pomóc, zasadniczo jednak widzieli w nich plagę wschodnioeuropejskich dziadów, licho ubranych, często nieobutych. Pod pokładami na statkach do Brazylii marli jak muchy. Po dopłynięciu byli wymęczeni, nieprzygotowani do tropikalnych warunków i przyrody, którą starali się okiełznać. W puszczy brazylijskiej polowali na nich Indianie. Lada śledzi ten exodus, pokazując kulturowe i historyczne konteksty, np. niewolnictwo w Brazylii. Wykorzystał m.in. opublikowane przez Witolda Kulę, Ninę Assorodobraj i Marcina Kulę listy chłopskich emigrantów do kraju. Dawno nie czytałem tak dobrze napisanego reportażu historycznego.

MARCIN ZAREMBA

Droga miecza

Tom Holland, **Pax. Wojna i pokój w złotej epoce Rzymu**, przeł. Tomasz Fiedorek, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2026, s. 352

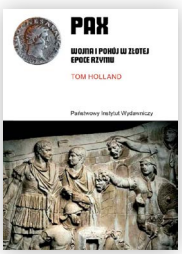

Wielu historyków pisze o starożytnym Rzymie, ale mało który współczesny autor robi to tak jak Tom Holland. Brytyjski historyk – mało dotąd znany w Polsce – jest autorem trylogii obejmującej okres od upadku republiki po ustanowienie i okrzepnięcie w Rzymie cesarstwa. „Pax" jest jej ostatnią częścią, relacjonującą dzieje Rzymu od zamętu i wojny domowej po śmierci Nerona aż po czasy Trajana i Hadriana, kiedy cesarstwo osiągnęło największą potęgę. Przewagą Hollanda jest to, że dzięki obeznaniu ze światem rzymskich bóstw i mitów, znajomości kronik oraz niepodrabialnemu stylowi jest w stanie wciągnąć czytelnika w tamten świat. A był on – zarówno jeśli chodzi o obyczaje, jak i moralność – zupełnie inny od naszego. Właśnie ta inność, wręcz obcość dawnych Rzymian jest najbardziej fascynującym elementem „Pax". Świat Rzymian był światem przenicowanych wartości, gdzie tak podstawowe wyrażenia, jak choćby pokój, znaczyły co innego niż dzisiaj. Dla Rzymian pokój nie był stanem wygaszenia konfliktów i powszechnej zgody. Pokój rzymski – *Pax Romana* – zaprowadzało się za pomocą miecza. A droga do niego była, dosłownie, usłana trupami. Opisywani przez Hollanda Rzymianie czasem urzekają, jeszcze częściej odrzucają, ale nie sposób przejść obok nich obojętnie.

TOMASZ TARGAŃSKI

eprasa.pl 89a8166262

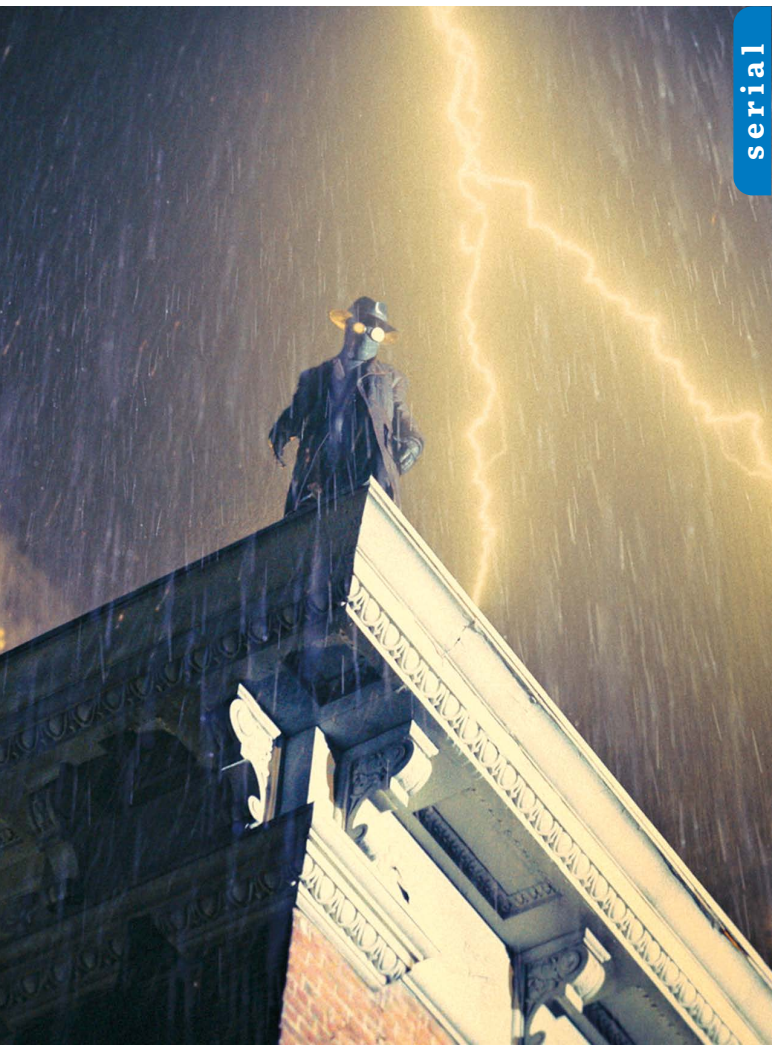

serial

Pająk z cienia 4/6

Spider-Noir, twórca serii: Oren Uziel, 8 odc., Prime Video

Wydawnictwo Marvel co jakiś czas szuka sposobu na odświeżenie swojego uniwersum i proponuje czytelnikom alternatywne wersje przygód lubianych superherosów. Tak kilkanaście lat temu narodził się Marvel Noir: seria komiksów z akcją osadzoną w latach 30. XX w., przetwarzających na superbohaterską modłę schematy czarnego kryminału. Człowiek-Pająk ze świata Noir pojawił się już w oscarowej animacji „Spider-Man Uniwersum" (dubbingował go **Nicolas Cage**). A że postać spotkała się z ciepłym przyjęciem widzów, doczekała się własnego serialu. Nie jest to ta sama wersja bohatera – choć gra go również Cage – dla fabuły ma to jednak niewielkie znaczenie. W serialu Spider-Manem jest Ben Reilly, prywatny detektyw, który kilka lat wcześniej porzucił superbohaterski biznes i teraz zajmuje się rozwiązywaniem nudnych spraw za marne pieniądze. W Nowym Jorku narasta jednak fala przemocy, gangi sterowane przez przebiegłego Silvermane'a (świetny jak zawsze Brendan Gleeson) przejmują ulice, pojawiają się kolejni ludzie obdarzeni nadludzkimi mocami, więc Ben musi odkurzyć stary kostium i znów wkroczyć do akcji jako Spider, postrach bandytów.
Jako próba ucieczki od coraz bardziej zużytych superbohaterskich klisz „Spider-Noir" jest całkiem obiecujący, lecz jednocześnie nie do końca wykorzystuje potencjał tkwiący w wyjściowym pomyśle. Może to wina niespecjalnie porywającego scenariusza (do recenzji udostępnione zostały jedynie trzy epizody), może niezbyt konsekwentnie budowanego nastroju. Serial jest świetny, gdy porusza tematy rymujące się ze współczesną rzeczywistością Stanów Zjednoczonych: korupcję władzy, dyskryminację mniejszości etnicznych. Znacznie słabiej wypada, gdy próbuje równoważyć emocje za pomocą podrzędnego humoru. Główną atrakcją pozostaje więc Nicolas Cage, tym razem wyjątkowo oszczędny w swoim aktorstwie, jako bohater, który może ma wielką moc, ale z wielką odpowiedzialnością to jest raczej na bakier.

JAKUB DEMIAŃCZUK

serial

Tanie państwo na wojnie 4/6

Legendy, twórca serii: Neil Forsyth, 6 odc., Netflix

„Tę historię napisało życie", „na faktach" – tak reklamuje się coraz więcej fabularnych produkcji. Proporcje prawdy i fikcji wywołują dyskusje, jak niedawno przy okazji netflixowych „Ołowianych dzieci", ale ten masowy szturm filmowców na archiwa ma tę dobrą stronę, że pomaga odkrywać historie czasem bardzo zaskakujące. Jak ta przywołana w miniserialu „Legendy", opartym na książce Guya Stantona i Petera Walsha. Tytuł odnosi się do bohaterstwa, ale też do fikcyjnych tożsamości, które przyjmują szpiedzy. W tym wypadku są nimi... brytyjscy celnicy. Początek lat 90., Wyspy zmagają się z napływem heroiny, walcząca ze spadającym poparciem Margaret Thatcher ogłasza wojnę z narkobiznesem, ale dodatkowych środków przeznaczać na nią nie zamierza. Tak powstaje pomysł, by pierwsze uderzenie wykonali celnicy ochotnicy. Trzytygodniowe szkolenie w MI5 przechodzi czwórka. Guy (**Tom Burke**) ma przeniknąć do tureckiego gangu w Londynie, Bailey (**Aml Ameen**) i Kate (**Hayley Squires**) – rozgryźć działalność gangu w Liverpoolu, Erin (**Jasmine Blackborow**) zapewnia dane i logistykę, a szefujący grupie Don (**Steve Coogan**) – doświadczenie agenta i czarny humor. Dramat społeczny łączy się tu z thrillerem nieco w stylu „Kulawych koni". Bywa schematycznie, patetycznie i na skróty, ale to wciąż produkcja z lokalnym kolorytem, przeciwieństwo zuniformizowanej masówki zalewającej ostatnio streamingi niczym heroina Anglię w erze Thatcher.



Celnicy, którzy nie znają granic. Podróż do czasów Margaret Thatcher.

ANETA KYZIOŁ

© AMAZON CONTENT SERVICES LLC/PRIME VIDEO, SALLY MAIS/NETFLIX, DISNEY, MAGDA HUECKEL, AGNIESZKA INDYK

eprasa.pl 89a8166262



film

Wiedźmin w kosmosie 3/6

Gwiezdne wojny: Mandalorian i Grogu, reż. Jon Favreau, prod. USA, 131 min, już w kinach

Pełnometrażowy film o mandaloriańskim łowcy nagród i jego podopiecznym powinien być eleganckim domknięciem serialowej opowieści. Zamiast tego dostajemy kolejny odcinek, który nie mówi nic nowego ani o bohaterach, ani o świecie, który ich otacza. Din Djarin i Grogu pracują teraz dla Nowej Republiki, ścigając niedobitki dowódców imperium. A jedno z zadań oznacza zawarcie układu z gangsterskim rodem Huttów: jeśli Mando uratuje z niewoli Rotto Hutta (syna Jabby), to w zamian dostanie namiary na kryjówkę jednego z czołowych imperialnych dygnitarzy. Fabuła filmu przypomina nieco skrypty do starych gier wideo: toczy się od zadania do zadania, od pojedynku do pojedynku, za to bez większej dbałości o interesujące postacie (Rotto próbujący wyłamać się z rodzinnego przestępczego biznesu jest tu wyjątkiem) czy dialogi. Zaskakująco wielu przeciwników Mandalorianina to różnego rodzaju potwory, jakby scenarzyści próbowali niezbyt udanie przenieść elementy opowiadań o wiedźminie do świata „Gwiezdnych wojen", a luki zapełnić albo odwołaniami do innych części sagi, albo niespodziankami takimi jak całkiem zabawna dubbingowa rola Martina Scorsesego. Jednak nawet w połączeniu z nieodpartym urokiem Grogu i charyzmą **Pedra Pascala** to nie wystarcza, żeby seans zapadł na dłużej w pamięć.

JD

scena

Skapywanie z pisuaru 5/6

William Szekspir, **Hamlet**, reż. Kamil Białaszek, Teatr Powszechny w Warszawie

Polski teatr chce widzieć w Kamilu Białaszku, rocznik 2000, nową energię, rapera buntownika, ojcobójcę? W odpowiedzi Białaszek robi pokoleniowego „Hamleta", w którym tytułowy bohater (w gościnnym, świetnym wykonaniu **Antka Sztaby**, rocznik 2001) jest buntownikiem co najwyżej z Instagrama, wymuskanym nepo baby, tyleż wrażliwym na zło świata, co narcystycznym i bezsilnym. Ale czy można go potępiać? Kapitalizm jest dziś jak powietrze, korpoprzywódcy i politycy są infantylni i śmieszno-straszni, dominuje marazm i brak złudzeń. Horacjo z wytatuowanym krzyżem (Michał Czachor) baja w wannie o wyższości systemu feudalnego nad demokracją, król/prezes Klaudiusz (Arkadiusz Brykalski) jest nijaki, noszą dizajnerskie wersje rozwleczonych slipów, w centrum sceny niczym tron stoi pisuar, szyderczy komentarz do kapitalistycznej teorii skapywania. Hamlet w miejsce monologu „Być albo nie być" zaczyna dopisane rozważania o motywowanym zemstą terroryzmie, ale szybko wraca do Szekspira („bo jestem w tym taki śliczny"). Ta inercja ma odbicie także w strukturze zabawnego i pełnego pomysłów spektaklu. Rozbudowane role Ewy Skibińskiej (starsza, zgorzkniała wersja Ofelii) i Anny Ilczuk (pragmatyczna i sarkastyczna Gertruda) wyglądają, jakby gwiazdy Powszechnego same wyreżyserowały swoje sceny. Finałowy pojedynek przechodzi w imprezę, a wygłaszany po nim przez Andrzeja Kłaka monolog o zniesieniu prawa dziedziczenia przypomina niezborną improwizację.

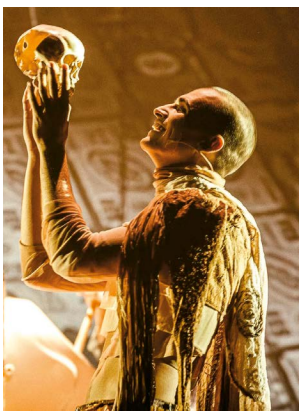

AK

galeria

Wilanów od północy 4/6

Rubensiana. Fascynacje kolekcjonerskie w Polsce XVII–XXI w., Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, do 31 grudnia

Dwa dni po wybuchu afery wokół koncertu techno na pałacowym dziedzińcu i zdecydowanie w jej cieniu odbyła się niezwykle ważna dla muzeum uroczystość. Po pięciu latach gruntownych prac konserwatorskich otwarto dla zwiedzających parter północnego skrzydła pałacu, a wraz z nim okolicznościową ekspozycję. Zaproponowany przez prof. Dorotę Folgę-Januszewską kontekst wystawy „Rubensiana" poświęcony jest relacjom między trzema kategoriami obrazów: oryginałem, kopią i repliką. To fascynujący wątek, przypominający, że w dawnych wiekach oryginały i ich repliki oraz kopie miały status niemal równorzędny. Nie liczyła się bowiem sygnatura, lecz sam zamysł mistrza, często realizowany przez zatrudnionych w pracowni uczniów. Można jednak powędrować przez udostępnione na nowo sale nie intelektualnym tropem, tylko z poczuciem prostej przyjemności wynikającej z obcowania z dziełami (nie tylko obrazami, ale też meblami, zegarami, wazonami itp.): pięknymi, misternymi, a nawet zachwycającymi. Zanurzyć się w atmosferze Sypialni Pani (rewelacyjne repliki dawnych tapet), podziwiać szczegóły klatki schodowej i rozmach Sieni Dolnej. Przystanąć przed przejmującą „Śmiercią Seneki" ze szkoły Rubensa czy dać się uwieść kunsztowi warsztatowemu jego wybitnych naśladowców i uczniów. A wychodząc, rzucić okiem na prace nad rewitalizacją zadeptanych na koncercie trawników.

PIOTR SARZYŃSKI



Szkoła Petera Paula Rubensa, „Śmierć Seneki", 2. poł. XVII w.

eprasa.pl 89a8166262

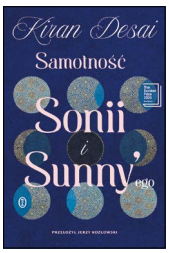

Romans to za mało 6/6

Kiran Desai, **Samotność Soni i Sunny'ego**, przeł. Jerzy Kozłowski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, s. 816



Wspaniała Kiran Desai długo kazała na siebie czekać. Powieść powstawała prawie 20 lat i spuchła do rozmiarów, które rzadko kojarzymy z romansem. Ale romans to za mało powiedziane. Sonia i Sunny wyjechali z Indii do Ameryki po lepsze życie, oboje chcą się tu zająć pisaniem: ona powieści, on reportaży. Nie znają się, ale ich rodziny już tak, więc kiedy Sonia oznajmia z płaczem przez telefon, że czuje się osamotniona, krewni próbują ich zdalnie zeswatać. Nie wiedzą, że dziewczyna związała się w USA ze sporo starszym ekscentrycznym malarzem, który czołga ją emocjonalnie i zadręcza. Sunny też kogoś ma i też to ukrywa. No i czy ma się zaprzedać za kebaby? Bo to część kontraktu, jeden z wielu gorzko śmiesznych elementów powieści. We wszystkich związkach, które Desai rozkłada na cząsteczki, pulsują emocje, potęgowane przez pęknięcia kulturowe, realne i domniemane różnice, napięcia między kobietami i mężczyznami. Historia zaczyna się w latach 90., ale duchy przeszłości majaczą głośno. Desai uczciwie i kąśliwie pokazuje, jak w Indiach postrzegana jest Ameryka i na odwrót. Objaśnia, czym jest amerykański sen, a czym hinduska wiara w sny. Samotność może przy tym dopaść i w Nowym Jorku, i w Nowym Delhi. „Historie o aranżowanych małżeństwach niewiele się różnią od orientalistycznych bajeczek o małpach" – myśli Sonia, gdy biedzi się nad własnym pisaniem i szuka jakiejś prawdy do przekazania. Kiran Desai znalazła.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

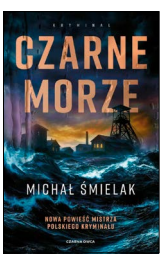

Niewyrównane rachunki 4/6

Michał Śmielak, **Czarne Morze**, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2026, s. 432

Doświadczony gliniarz, który topi w alkoholu zawodową porażkę i ucieka od traumy z dzieciństwa. Seryjny morderca kobiet grasujący po Zagłębiu i nieustannie prowokujący policję. Wredna prokuratorka, która dla dobra własnej córki musi współpracować ze znienawidzonym komisarzem. W „Czarnym Morzu" – tytuł powieści to nazwa dawnej osady leżącej na terenach dzisiejszego Sosnowca, choć niesie ze sobą także metaforyczne znaczenia – wiele elementów może wydawać się znajomych. Jednak Michał Śmielak potrafi z nich skorzystać. Jeśli powiela jakieś wzorce, robi to, by z jednej strony dać czytelnikom poczucie zakorzenienia w konkretnym gatunku, a z drugiej – sprytnie zwodzić ich na manowce. Jego nowa powieść, chociaż osadzona w czasach współczesnych, ma klimat filmowego thrillera z lat 90. z przerysowaną akcją oraz wyrazistymi bohaterami, którzy szybko myślą i jeszcze szybciej działają, naginają prawo do własnych potrzeb, rzucając sarkastyczne komentarze. Na drugim planie pojawia się nieodzowna w literaturze gatunkowej krytyka niewydolnych instytucji, lecz akcja jest tu bez wątpienia najważniejsza. A Śmielak, autor ze sporym już dorobkiem, prowadzi ją sprawnie, bez straty czasu i miejsca na zbędne wątki, za to z wystarczającą uwagą poświęconą głównym bohaterom. „Czarne Morze" nie udaje, że jest czymś więcej niż rozrywką, lecz przynajmniej to rozrywka naprawdę dobrze poukładana.

JD

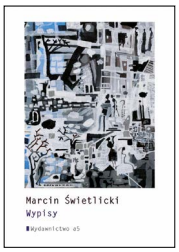

Przekaz dnia 5/6

Marcin Świetlicki, **Wypisy**, wydawnictwo a5, Kraków 2026, s. 56

„Wypisuję sobie/ nieobecność / coraz staranniej". Ten gest – wyjścia, odejścia, zamknięcia, końca – Marcin Świetlicki powtarzał wielokrotnie. Zatem także i tom wierszy „Wypisy" wpisuje się w jego rytm. Autor „zredukowany do szarości" to ulubiona persona poety. Z dużych wydarzeń – wizyta u weterynarza, z doświadczeń obywatelskich – nieważny głos. „Co mi świat oferuje? Wyłącznie banały". Świetlicki posiadł umiejętność uchwycenia tego, w czym żyjemy, i robi to w sposób iście niebanalny. Taki jest choćby wiersz „Prosty przekaz", który oddaje wzburzenia społeczne dyktowane przez media społecznościowe. „Kogo dziś będzie/ się nie lubić? Kogo/ oskarży się o / i o?" „(…) na niebie ekran z przekazem dnia". W „Wypisach" znajdziemy też rozmowę o poezji. Tak jak kiedyś odpowiadał Czesławowi Miłoszowi i Ryszardowi Krynickiemu, śpiewając „Co to za poezja, która nie ocala – ani człowieka ani robala", tak teraz dyskutuje z Andrzejem Sosnowskim, stwierdzając, że „Wiersz został w domu i już się nie ruszy", czy z Tadeuszem Różewiczem i jego „Ocalonym". Ironicznie pisze o kończeniu wojny wierszem w dwadzieścia cztery godziny. O dewaluacji słów Świetlicki wypowiada się w sposób, który nic a nic się nie dewaluuje. W tych wierszach pojawiają się też bardzo subtelne nuty kontemplacyjne. I zawsze zostają ujęte w ironiczny nawias, żeby nie zrobiło się tu zbyt serio. Jak na deklarowane nieuczestniczenie ta książka Świetlickiego jest uwikłana we wszystko, czym żyjemy, nasze wojenki i prawdziwe wojny. A zostawia nas poeta z wizją nowego życia, które jest „żartobliwym widmem". Możemy z tym zrobić, co tylko zechcemy, podobnie jak z finalnym „bezdusznym listkiem", który dalekim echem przywołuje samego Adama Mickiewicza.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

© WIKTOR SZYMANOWICZ/ANADOLU/GETTY IMAGES, TIMOTHY NORRIS/GETTY IMAGES/COACHELLA, LESZEK ZYCH, ALAMY STOCK PHOT/BE&W, MP (7)

eprasa.pl 89a8166262

Nie tylko dla dzieci



Włoski artysta ukrywający się pod pseudonimem **Pera Toons** publikuje głównie na Instagramie. **„Bitwa na żarty” (przeł. Ewa Pater-Podgórna, Wydawnictwo Mamania, 3/6)** zbiera część jego prac, najczęściej krótkich, łącząc je fabułą o pojedynku na dowcipy toczonym przez szkolnych rywali. Suchary powtarzane od pokoleń sąsiadują ze skeczami błyskotliwymi, podanymi w przezroczystej formie graficznej. Dla dorosłych to może być czerwona flaga, lecz dzieciom w wieku wczesnoszkolnym pewnie się spodoba.



Starsza młodzież – pod warunkiem że zainteresuje się klasyką popkultury – może sięgnąć po adaptację książki Edgara Rice’a Burroughsa. **„Tarzan. Człowiek małpa” (scen. Éric Corbeyran, rys. Roy Allan Martinez, przeł. Maria Mosiewicz, Story House Egmont, 4/6)** dość wiernie trzyma się fabuły oryginału, jednocześnie kontrując jego kolonialną i rasistowską wymowę. Opowieść zyskała nowy kontekst i wpisuje się w próby odkłamywania ugruntowanego także przez kulturę masową wizerunku kontynentu afrykańskiego (a przede wszystkim obecności tam białych najeźdźców). Pozostaje przy tym historią przygodową, choć powieść Burroughsa można było potraktować odważniej.

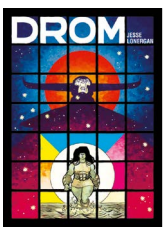

„Drom” (przeł. Marceli Szpak, Kultura Gniewu, 6/6) to już propozycja dla dojrzałych czytelników. Nie ze względu na obecną w fabule przemoc, lecz przede wszystkim teologiczne i filozoficzne odniesienia. Album **Jessego Lonergana** to czerpiąca z różnych mitologii i religii opowieść o stworzeniu świata i rozgrywce, jaką bóstwa toczą między sobą za pomocą ludzi. W epicką narrację wpisana jest zaś historia miłości, rywalizacji i zdrady na bardziej przyziemnym – powiedzmy, półboskim – poziomie. Lonergan opowiada tę historię z minimalną liczbą dialogów, za to w fenomenalnej graficznie formie: to nie tylko piękne, hipnotyzujące obrazy, lecz również dowód, że narracyjne formy komiksu są nieograniczone. „Drom” przywodzi na myśl awangardowe dzieła Jeana „Moebiusa” Girauda i w tym przypadku lepszy wzór trudno sobie wyobrazić.

JD

Chwiejna Rumunia 4/6

Błoto + Ion D, **Atmosfera**, Astigmatic



Po głośnym tekście Bartosza Nowickiego w „Dwutygodniku”, zarzucającym młodej polskiej scenie jazzowej, że idzie w stronę popowego bezpieczeństwa i nijakości, nową płytę kwartetu Błoto odbiera się jak idealny głos w dyskusji. Nagrany w Rumunii z Ionem Dumitrescu, postacią tamtejszej sceny alternatywnej, oraz producentem Plevną album po raz kolejny transformuje działania polskiej formacji z członkami EABS w składzie. W warstwie narracyjnej (tytuły utworów: „Władza”, „Bieda”, „Korupcja” itd.) odnosi się do filmów Radu Jude o ekscesach późnego kapitalizmu. A w warstwie muzycznej, stawiającej na klimat i hipnotyzującej, stroniącej od solowych popisów, odpowiada na pytanie, gdzie jest dziś jazz. Po czasach swingu przyszła epoka groove’u, do której odnosił się tekst w „Dwutygodniku”, rozpoczęta jeszcze za Milesa Davisa. Błoto reprezentuje raczej „Dilla time”, czyli erę rytmiki chwiejnej, na modłę amerykańskiego rapowego producenta J Dilli. Choć parę bardziej regularnych rytmicznie utworów też się tu znajdzie, nie jest to płyta nijaka.

BARTEK CHACIŃSKI

nie przegap



Orange Warsaw Festival 2026, Tor Wyścigów Konnych Warszawa–Służewiec, 29–30 maja

Na miesiąc przed Open’erem jego organizator przygotowuje imprezę w Warszawie. Ta ma zwykle profil nieco bardziej popowy, ale tym razem nie jest to oczywiste. W programie są **FKA Twigs**, artystka łącząca futurystyczne R&B z rozbudowanymi choreografiami i oprawą wizualną, Olivia Dean – młoda gwiazda brytyjskiego soulu – oraz Blood Orange, Anglik działający w Ameryce, również kreatywnie podchodzący do R&B i soulu. To spójny zestaw artystów, świetnie uzupełniający Open’era. BCH

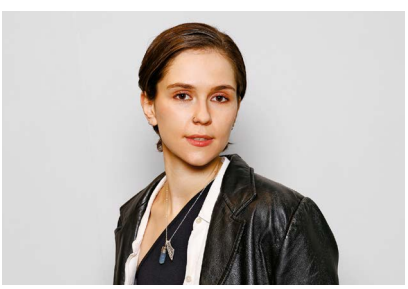

Up To Date Festival, Białystok, 28–30 maja

Jeden z ważniejszych polskich festiwali muzyki elektronicznej gości dwoje laureatów Paszportów POLITYKI z ostatnich lat: 2K88 (u nas jeszcze jako 1988) oraz **Aleksandrę Słyż**. Już ta dwójka pokazuje zakres stylistyczny, więcej być może powiedzą o tym kolejni goście, m.in. Skee Mask czy µ-Ziq. Po skandalu wokół imprezy Circoloco w Wilanowie festiwal Up To Date planowane koncerty w Parku Lubomirskich czujnie przeniósł – ze względu na kwestie środowiskowe – na parkingi Stadionu Miejskiego w Białymstoku. BCH



Mikey i Nicky, reż. Elaine May, w kinach od 29 maja

Podrzędny gangster, winien pieniądze swojemu szefowi, prosi kolegę z dzieciństwa, by pomógł mu wydostać się z tarapatów. Nieprzewidywalny kryminał wymieszany z komedią kumpelską został zignorowany tuż po premierze i zatrzymał reżyserską karierę Elaine May na ponad dekadę. Po latach został odkryty na nowo jako wnikliwy portret męskiej przyjaźni i jeden z najciekawszych amerykańskich filmów lat 70. A główne role **Petera Falka** i **Johna Cassavetesa** to popis aktorstwa najwyższej klasy. JD

eprasa.pl 89a8166262

Bogini z sąsiedztwa

Sto lat temu urodziła się Marilyn Monroe, ikona popkultury, aktorka, która w Polsce przez lata była symbolem niekoniecznie dzięki swoim rolom.

MIROSŁAW PĘCZAK

Co młodsi polscy kinomani mogą być zaskoczeni informacją, że w drugiej połowie lat 50., kiedy „platynowa blondynka" stała się najjaśniej świecącą gwiazdą Hollywood, filmów z jej udziałem w polskich kinach właściwie nie było. Katarzyna Czajka-Kominiarczuk w wydanej właśnie biografii aktorki „Marilyn Monroe. Wszystkie twarze bogini" opisuje trudną dziś do zrozumienia sytuację, w której słynne komedie z Marilyn – jak „Słomiany wdowiec" czy „Książę i aktoreczka" – znalazły się w polskich kinach kilka dobrych lat po amerykańskich premierach, a „Przystanek autobusowy" czy „Rzeka bez powrotu" dopiero w 1968 r. „Stosunkowo najszybciej – czytamy – na polskie ekrany trafił ostatni film Marilyn, obraz »Skłóceni z życiem« pojawił się w kinach w 1962 roku, czyli ledwie rok po premierze. Niektóre, [np.] »Jak poślubić milionera«, nie doczekały się dystrybucji w kinach. Z dwudziestu dziewięciu filmów, w których zagrała Marilyn Monroe, w polskich kinach można było zobaczyć tylko osiem". Teraz zainteresowani znajdą te filmy na platformach streamingowych albo w repertuarze okolicznościowych pokazów.

A jednak już na fali „odwilży" 1956 r. Polacy mogli się całkiem sporo dowiedzieć o Marilyn... z prasy, choćby z „Przekroju" czy „Filmu". Od początku lat 60. każdy kolejny film, w którym występowała, był też recenzowany w POLITYCE, czym zajmował się regularnie najbardziej złośliwy prześmiewca rodzimej krytyki filmowej Zygmunt Kałużyński. W recenzji z „Pół żartem, pół serio" ogłosił, że „Marilyn jest istotnie imponująca. Jest to blondyna tęga i biuściasta, zawsze w obcisłych sukniach, o naiwnie-głupim spojrzeniu, które stanowi kontrast z jej prowokacyjnym wyglądem (...). Podobno w Hollywoodzie wyznaczono jej rozmyślnie typ »erotyzm w połączeniu z głupotą«, co przyciąga masy

© BETTMANN ARCHIVE/GETTY IMAGES

przeciętnych widzów-mężczyzn, onieśmielonych na widok olśniewających gwiazd, niedostępnych dla śmiertelnika".

Jeśli tę opinię skonfrontujemy z wciąż żywym mitem Marilyn, będziemy w kłopocie. No bo niby pozostaje prawdą, że grała przede wszystkim role słodkich blondynek uległych wobec niekoniecznie wyrafinowanych umysłowo facetów, jednak jej postać bardzo szybko stała się czymś wyjątkowym.



Seksualna fantazja

Tymczasem już wtedy wszyscy i po tamtej, i po tej stronie Atlantyku byli zgodni, że Marilyn uosabia ideał kobiety podziwianej i pożądanej. Zupełnie przy tym innej niż wcześniejsze gwiazdy Hollywood. 14 lat temu na łamach POLITYKI przypomniałem znamienny epizod z samych początków jej kariery: „Była atrakcyjna, zanim jeszcze stała się najsłynniejszą na świecie platynową blondynką (...). Wystarczy przyjrzeć się tym starym fotografiom z czasów, kiedy jeszcze nie nazywała się Marilyn Monroe. Pierwsza ważna sesja, której efektem są zdjęcia 19-letniej Normy Jeane Mortenson na autostradzie w północnym Hollywood, pokazuje dziewczynę na bosaka, w prostej jasnej bluzce i spódnicy w groszki. Niby widziało się takie podlotki za kontuarem w przydrożnych barach albo w sklepach na stacjach benzynowych, ale ta pozująca na autostradzie roześmiana nastolatka sprawiała wrażenie seksualnego manifestu nowych czasów".

Już wcześniej pozowała jako *pin-up girl*, modelka, której zdjęcia umieszczali sobie później żołnierze na swoich koszarowych szafkach, kierowcy ciężarówek w szoferkach i więźniowie w celach. Ale pozowała jak żadna inna dziewczyna przed nią. Był w tym przepotężny ładunek erotyzmu i jakiś magiczny rodzaj dostępności. Była zarazem pięknym wyobrażeniem seksualnych fantazji i „dziewczyną z sąsiedztwa".

Z takim wizerunkiem niebywale skutecznie wstrzeliła się we właściwy moment historyczny i – kto wie? – może trzeba ją uznać za prekursorkę rewolucji obyczajowej, która rozpoczęła się faktycznie dopiero w latach 60. Kiedy w 1953 r. pokazała się na kinowych ekranach w filmie „Mężczyźni wolą blondynki", co przyniosło jej wielką sławę, świat wkraczał w nową epokę mediów audiowizualnych. W Ameryce powszechnie dostępna stała się telewizja, burzliwie rozwijał się przemysł płytowy, zasilany pierwszymi przebojami rock'n'rollowymi, a szczegółowe upodobania konsumentów kultury zdawały się zmieniać z sezonu na sezon, zgodnie z rytmem masowej mody.

Marilyn Monroe symbolizowała te zmiany – podobnie jak James Dean albo Elvis Presley. Czy jej polscy fani mogli mieć tego świadomość? Różnica cywilizacyjna między ówczesnym Zachodem, zwłaszcza zaś Stanami Zjednoczonymi, a Polską Ludową była przepastna. Swoje robiły też ograniczenia polityczne, aczkolwiek w dużych polskich miastach wśród zainteresowanych tematem czytelników prasy po 1956 r., kiedy już zelżały rygory cenzorskie, wiedza o tym, co się dzieje w zachodniej popkulturze, była wcale niemała.

Odległa galaktyka

Z listów do redakcji „Przekroju" po pierwszych publikacjach o nowej amerykańskiej gwieździe ekranu wynika, że czytelnicy postrzegali ją jako kolejny przejaw amerykańskiego snu – na równi z różowym Cadillakiem, wakacjami na Hawajach i schludnym wolnostojącym domkiem na przedmieściach. Choć już wtedy krążył za nią slogan o „dziewczynie z sąsiedztwa", w Polsce wydawała się równie niedostępna jak wcześniej Greta Garbo. Swoją drogą tak właśnie opisywał Gretę Garbo francuski klasyk kulturoznawstwa Roland Barthes w swoich „Mitologiach", przeciwstawiając ją „nowoczesnej" i „dostępnej" Audrey Hepburn. Zawsze, kiedy przypominam sobie ów tekst o twarzy Garbo, dziwię się, dlaczego autor nie wybrał – zamiast Hepburn – Marilyn Monroe, która o wiele śmielej podważyła stereotyp gwiazdy „nie z tego świata".

Tak czy inaczej, Marilyn w polskich oczach, podobnie jak inne hollywoodzkie gwiazdy obwoływane wzorcami kobiecej urody, po prostu symbolizowała jakąś odległą galaktykę. Jej kreacje odzieżowe, zwiewne sukienki, białe futra, mocny makijaż, sztuczny pieprzyk na lewym policzku, jej lekko drżące usta, które zdawały się zapraszać do pocałunku – to wszystko było tak nierzeczywiste w zderzeniu z peerelowską codziennością, że za każdym razem, kiedy Polska Kronika Filmowa puszczała jakąś migawkę z jej postacią, widzowie musieli mieć wrażenie całkowicie oniryczne. Dopiero śmierć Marilyn i jej ostatnia rola w „Skłóconych z życiem" trochę zmieniły ten osobliwy styl odbioru.

Katarzyna Czajka-Kominiarczuk ze zdumieniem odkryła, że śmierć Marilyn Monroe odnotowana została przez tygodnik „Film" w mało eksponowanym miejscu i bez żadnej fotografii. Trochę jakby redakcja nie do końca wierzyła w taki obrót rzeczy. Bogini seksu znaleziona w pokoju hotelowym naga i martwa. W dodatku nie bardzo było wiadomo, jak i dlaczego do tej śmierci doszło. Czy rozmaite kryminologiczne i polityczne (romanse z braćmi Kennedymi) niejasności, podnoszone zresztą do dziś, przesądziły o tak zdawkowym potraktowaniu sprawy przez najważniejsze polskie czasopismo filmowe? W świecie (zachodnim) popularna prasa szybko zestawiła śmierć Monroe z wcześniejszą śmiercią Jamesa Deana, co okazało się zabiegiem skutecznie mitotwórczym, po latach wydatnie wzmocnionym tragediami straceńców ze sceny rockowej (Janis Joplin, Jim Morrison, Jimi Hendrix). U nas „Buntownik bez powodu" nie pojawił się w kinach, więc rzeczone zestawienie rozmijałoby się z wiedzą większości filmowej publiki.

Za to nawiązanie do „Skłóconych z życiem" było całkowicie na miejscu. Jak wspomniałem wcześniej, film trafił do Polski akurat w roku śmierci Marilyn Monroe (zaledwie rok po premierze), a że był ostatnim dziełem w filmografii aktorki, lokował się w okolicznościowych narracjach nader zgrabnie. Co więcej, rodzima ▶

eprasa.pl 89a8166262

▶ krytyka (włącznie z Zygmuntem Kałużyńskim) oceniła „Skłóconych z życiem" pozytywnie, do czego zapewne przyczynił się nietypowy na tle większości produkcji hollywoodzkich styl tego filmu – daleki zarówno od melodramatycznej, jak i przygodowej tudzież sensacyjnej sztampy. Najchętniej porównywało się go u nas do ambitnego kina europejskiego, co było typowe dla opinii wybrednych recenzentów.

Sama Marilyn też została tu potraktowana inaczej – wreszcie doceniono jej talent aktorski. Nie przeszkodziło to, by po latach w różnych publicystycznych wspomnieniach przywoływać wyjątkowo obcesową uwagę reżysera „Skłóconych z życiem" Johna Hustona, który na planie zdjęciowym miał powiedzieć Marilyn: „Jesteś kurwą, nie aktorką. Tak jak prawdziwe dziwki, te najlepsze, niczego nie udajesz. Dajesz siebie całą, ciało i duszę".

Kobieta dominująca

Niemal od razu po swojej śmierci Marilyn Monroe stała się natchnieniem i inspiracją dla wielu artystów z różnych dziedzin twórczości. Bodaj pierwszy był Andy Warhol i jego najwcześniejsze sitodruki z portretem Marilyn, które otworzyły całą serię analogicznych dzieł, uwieczniających m.in. Brigitte Bardot, Jacqueline Kennedy, Marlona Brando czy Micka Jaggera. W czasach bardziej nam współczesnych do postaci Monroe nawiązywały amerykańskie piosenkarki Madonna (teledysk do piosenki „Material Girl" jest dosłownym cytatem sceny z piosenką „Diamonds Are a Girl's Best Friend", którą Marilyn śpiewa w komedii „Mężczyźni wolą blondynki") czy Lady Gaga. Ale – jak zauważa Czajka-Kominiarczuk – można też podać polskie przykłady aktorskich wcieleń czy choćby nawiązań do postaci Marilyn Monroe. Byłaby to Elżbieta Czyżewska w filmach z lat 60., no a zwłaszcza Kalina Jędrusik, najbardziej chyba emblematyczna polska uwodzicielka w branży filmowej i kabaretowej.



Kadr z filmu „Mężczyźni wolą blondynki"

Później tym samym szlakiem poszły Katarzyna Figura i Edyta Olszówka, która notabene pisała o Marilyn pracę magisterską. A w 1998 r. wszedł na ekrany kin włoski film „Elvis i Marilyn", w którym Olszówka zagrała młodą Rumunkę, uczestniczkę konkursu sobowtórów udającą amerykańską gwiazdę. Wypadła przekonująco, film odniósł spory sukces we Włoszech i Francji, a polskiej aktorce wróżono międzynarodową karierę. Tę rolę można by uznać za dobry skrót większości polskich (w tym scenicznych) fascynacji postacią „bogini seksu".

Nie sposób w tym kontekście ominąć roli laureatki Paszportów POLITYKI Sandry Korzeniak w spektaklu Krystiana Lupy „Persona. Marilyn". W zamieszczonej w „Didaskaliach. Gazecie Teatralnej" z 2010 r. rozmowie, przeprowadzonej przez Monikę Kwaśniewską, antropolog teatru prof. Leszek Kolankiewicz tak określa wyjątkowość roli Sandry Korzeniak: „Nie jest to taką zwyczajną sprawą, że aktorka przez kilka godzin pozostaje na scenie częściowo naga – co tu kryć: bez majtek! – a jednocześnie potrafi skupić uwagę widza – takiego jak ja, z nieuchronnie męskim spojrzeniem – na procesach psychicznych. Sandrze Korzeniak udało się bezlitośnie obnażyć i zdemaskować istotę męskiego spojrzenia. To właśnie wzrok mężczyzn więził Marilyn Monroe – symbol seksu, i to właśnie od tego uwięzienia pragnęła ona uciec. Miało temu służyć chociażby jej marzenie o Gruszeńce z »Braci Karamazow« Dostojewskiego – nieujarzmionej kobiecości podporządkowującej sobie mężczyzn".

Dla Krystiana Lupy postać Marilyn Monroe była najpewniej dogodnym przykładem ilustrującym zjawisko dominacji genderowej, która towarzyszy ludziom od zawsze, choć w różnych epokach różnie się przejawia. Postać ta niosła w sobie rozmaite znaczenia: kobiety kusicielki, kobiety-dziecka, symbolu seksu, który z taką samą siłą może wyzwalać, jak i zniewalać, źródła grzechu, uniwersalnego wyobrażenia piękna. Lupa postarał się, by w tym semantycznym splocie znaleźć archetyp relacji opartej na pożądaniu i zaktualizować go poprzez skonfrontowanie ze sobą mitu amerykańskiej gwiazdy z przechwytującą jej „personę", czyli „społeczną maskę", postacią Sandry Korzeniak. Bardzo trudne artystycznie zadanie, brawurowo zrealizowane.

Nasza Marilyn

Nie da się raczej podobnie patrzeć na analogiczne przedsięwzięcia w obszarze popkultury. Pomijając sygnalizowane wcześniej próby aktorskie (lepsze i gorsze), warto zwrócić uwagę na inspirowane postacią Marilyn polskie piosenki. Podobnie jak w przypadku utworów anglosaskich, przeważnie traktują one tę postać w kontekście oczywistych skojarzeń i wyobrażeń. Na pewno wyróżnia się tu piosenka zespołu Myslovitz „Z twarzą Marilyn Monroe", w której fotografia aktorki jest impulsem dla masturbacji. „Krew Marilyn Monroe" z repertuaru Róż Europy przynosi powtarzaną w refrenie frazę „Jesteś moim snem o Marilyn Monroe", która na tym tle wydaje się banalna do bólu. Ale nawet w naprawdę udanym tekście piosenki, napisanej przez Jacka Janczarskiego, a śpiewanej przez Krystynę Jandę – „Ja jestem twoją Marilyn Monroe" – akurat nawiązania do Marilyn, a przy okazji do Brigitte Bardot, nie wychodzą poza oczywisty schemat.

Podobnych impresji wokół naszej bohaterki było w polskiej muzyce popularnej całkiem sporo, a z czasem temat trafił nawet do rymów raperów. Zdarzało się (vide: „Depesza do producenta" Obywatela G.C.), że inspirację próbowano traktować głębiej, ale w większości przypadków Marilyn okazuje się przeważnie ikoną obdarzoną znanymi powszechnie cechami. Wszelako ważne, że motyw najsłynniejszej blondynki wszech czasów zdaje się w rodzimej twórczości czymś na kształt ponadczasowego tropu.

Świadczy to o żywotności omawianego mitu w Polsce, co na tle zainteresowania globalnego nie byłoby czymś wyjątkowym, ale u nas w tym micie splatają się fascynacje Ameryką z czasów PRL z wyobrażeniami o wyzwolonym seksie. Do tego ostatnio dochodzą konteksty polityczne, feministyczne, a wreszcie zaskakujący fakt, że we Wrocławiu znajduje się największa na świecie kolekcja fotografii Marilyn Monroe. Tu również, w Krupa Art Foundation, otwarta zostanie w lipcu poświęcona aktorce wystawa. Co tu dużo mówić, Marilyn jest nasza i naprawdę nie tylko dlatego, że w „Pół żartem, pół serio" grała dziewczynę o swojsko brzmiącym nazwisku Kowalczyk.

MIROSŁAW PĘCZAK

© BE&W

eprasa.pl 89a8166262

Plac zabawy i spotkania

Huśtawki, zjeżdżalnie, karuzele i piaskownice to nie tylko radość dla dzieci, ale też miejsce, wokół którego może powstać lokalna wspólnota. Warto zadbać, aby znalazła ona dla siebie bezpieczną i zieloną enklawę.



Jaki jest dobry plac zabaw? Nie ma z pewnością jednej definicji, ale powinien on z spełniać kilka warunków. - Musi zaspokajać potrzeby rozwojowe dzieci, a jedną z nich jest ruch. Chodzi o to, żeby był miejscem bezpiecznych spotkań, a równocześnie pozwalał na testowanie własnych możliwości, na podejmowanie wyzwań i rozładowanie energii. Dobrze, gdy pozwala na kontakt z naturą, bo ona nas jednocześnie uspokaja i rozwija. Plac zabaw ma uczyć samodzielności, więc ważne, aby dojście do niego było bezpieczne. Wtedy dziecko może szybciej zacząć bawić się bez opiekuna - podkreśla Monika Wróbel, wiceprezes Fundacji Skwer Sportów Miejskich.

Wiele placów zabaw jest dzisiaj ogrodzonych - to niezbędne, jeśli w najbliższej okolicy jeżdżą samochody. Tym bardziej warto wybierać na place zabaw miejsca bez ruchu ulicznego w najbliższych sąsiedztwie. - Stawiamy na place zabaw otwarte, wokół których można uczyć się jeździć na rowerze, rolkach czy deskorolce. Parkingi lokalizujemy pod ziemią, aby nie było kolizji z samochodami. Jeśli przestrzeń jest przyjazna i bezpieczna, chętniej z niej korzystają i dzieci, i dorośli - mówi Tomasz Bardadin, dyrektor Departamentu Kreowania Produktu w Develii. Gdy z powodów bezpieczeństwa nie można rezygnować z ogrodzenia, warto wykorzystywać zamiast nieprzyjaznej metalowej siatki żywopłoty czy drewniane żerdzie.

Wybierając elementy placu zabaw, trzeba odpowiedzieć na proste pytanie: jakie są potrzeby dzieci? - Huśtawki i karuzele pomagają stymulować błędnik. Piaskownica to jednocześnie miejsce spotkań i tworzenia. Idealnie, gdy jest ona połączona ze strefą zabaw wodnych. Konstrukcje do wspinaczki i zjeżdżania pozwalają pokonywać granice i uczyć się nowych umiejętności. Płaska powierzchnia wokół samego placu zabaw idealna jest do jazdy rowerem czy rolkami - mówi Monika Wróbel z Fundacji Skwer Sportów Miejskich. Podkreśla ona, że nie można też zapomnieć o potrzebach opiekunów. Trzeba im zapewnić wygodne miejsca do siedzenia. Jeśli ich zabraknie, będzie to ze szkodą nie tylko dla dorosłych, ale i dzieci. Starsi nie zechcą spędzać więcej czasu na placu zabaw, a młodsi będą musieli razem z nimi szybciej wrócić do domu.

Dobrze zaprojektowane place zabaw mają szansę stawać się sąsiedzkimi miejscami spotkań i integrować lokalną społeczność. Pomagają w tym różne konfiguracje miejsc do siedzenia i stoły, przy których można jeść, grać w szachy czy planszówki. Trzeba pamiętać o odpowiednim zacienieniu, którego, niestety, brakuje w przypadku wielu polskich placów zabaw. Z tego powodu są one w gorące dni puste przez znaczną część dnia i zapełniają się dopiero pod wieczór. Tymczasem dach nad piaskownicą, pergola nad ławkami czy rozwieszone przesłony sprawiają, że także w południowych godzinach nie zabraknie chętnych do korzystania z takich miejsc. Szczególnie dobrym rozwiązaniem jest ujęcie wody pitnej, dzięki któremu można szybko i za darmo ugasić pragnienie. To też wydłuża czas obecności starszych i młodszych na placu zabaw.

Przepisy, które w 2024 roku wprowadziły obowiązek budowy placu zabaw przy każdej inwestycji wielorodzinnej liczącej powyżej 20 mieszkań otworzyły wiele praktycznych pytań: o to jak projektować takie miejsca mądrze, odpowiedzialnie i z myślą o realnych potrzebach użytkowników? Aby na nie odpowiedzieć, Polski Związek Firm Deweloperskich wydał poradnik dotyczący projektowania placów zabaw na osiedlach mieszkaniowych.

- Poprosiliśmy autorów publikacji o szersze spojrzenie na zagadnienie, tak aby ułatwić inwestorom projektowanie przestrzeni odpowiadających w pełni na współczesne potrzeby dzieci, ale też całych rodzin – mówi Paweł Putkowski, Prezes Warszawskiego Oddziału PZFD.

Materiał powstał we współpracy z PZFD

eprasa.pl 89a8166262

Mieliśmy być „pokoleniem Jana Pawła II”, a wywróciliśmy wszystko na drugą stronę. Milenialsi już tak mają – mówi Kasia Babis, rysowniczka, streamerka, autorka komiksu „Okruchy. Dorastanie w postkomunistycznej Polsce”.



Nie takie przegrywy

Kasia Babis
(ur. 1992 r.) – rysowniczka, ilustratorka, youtuberka i streamerka. Debiutowała książką dla dzieci „Maja z Księżyca” (2015 r., nominacja do Nagrody m.st. Warszawy). W latach 2017–23 publikowała komiksy na łamach amerykańskiego magazynu „New Yorker”. Tworzyła też grafikę do gier 11 bit studios. „Okruchy” to jej pierwsza samodzielna powieść graficzna.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA: **– Pomówmy jak milenials z milenialsem. Mówiło się kiedyś o nas: roszczeniowe pokolenie. Albo że już jest stracone. Rzeczywiście przegraliśmy?**

KASIA BABIS: – Kiedy oceniamy jakieś pokolenie, zastanawiamy się głównie nad tym, „co starzy mówią o młodych”. A zwykle narzekają. Już za czasów Sumerów na glinianych tabliczkach starsi zapisywali, że młodzi do niczego się nie nadają. Jednocześnie mam wrażenie, że jesteśmy w niefortunnym położeniu: starsze pokolenie wciąż mówi o nas jako o tej nowej, rozpuszczonej generacji, która nic nie wie o życiu, a młodsze pokolenie dorosłych zetek już się zaczęło z nas okrutnie naśmiewać. Obrywa nam się z dwóch stron.

Ale nie wydaje mi się, żebyśmy byli straconym pokoleniem. Mocno utarliśmy się w kulturze, jesteśmy bardzo charakterystyczni. Jest mnóstwo przekonań na temat milenialsów, dużo więcej niż np. o pokoleniu X, które nazwałabym straconym w tym sensie, że większość ludzi nie ma pojęcia, że istnieje.

Fakt, w social mediach milenialsi są obecni, autoironiczni i srogo wyśmiewani.

Zwykle młodsze pokolenie śmieje się ze starszego, bo to jedyne, co ma: broń w postaci humoru i dominacji kulturowej. Starsze pokolenie ma przewagę na każdym innym polu: więcej zasobów, władzy. Jedyne, co może młodzież robić, to sobie z niego żartować. Milenialsi jako pierwsze od dawna pokolenie nie mają gwarancji, że będzie im się żyło lepiej niż ich rodzicom. I wcale nie radzą sobie lepiej od zetek.

W tym sensie wyglądamy na przegrywów, którzy obrywają i przyjmują to z potulnością. Autoironia, o której mówisz, to był zawsze nasz mechanizm obronny.

Pytam o to, bo „Okruchy” zbierają doświadczenia właśnie tej generacji. Najpierw ukazały się w USA i Francji. To miał być produkt eksportowy?

Tak, to miał być komiks na rynek amerykański. Francuski wydawca też bardzo szybko zgłosił się po prawa, pewnie dlatego, że Francja ma ogromny rynek komiksowy. Od początku było wiadomo, że na polskie wydanie też przyjdzie czas. Dla Polaków to może być pewna przeszkoda, że komiks powstał z myślą o amerykańskim czytelniku, który nie wie dużo o Polsce. Z drugiej strony myślę, że to może być ciekawa perspektywa: zobaczyć, w jaki sposób postanowiłam opowiedzieć Amerykanom Polskę.

eprasa.pl 89a8166262

Świat jest nas ciekawy?

Jest głód opowieści z dawnego bloku wschodniego, Europy spoza światła reflektorów. Dla Amerykanów jest w tym coś odrobinę egzotycznego: estetyka bloków, wyjątkowa kultura i struktura społeczno-ekonomiczna, transformacja, która była zjawiskiem niesamowicie nagłym, intensywnym, szokowym. Po prostu rzuciliśmy się na główkę w kapitalizm. Zachodni świat wyciąga z tego wnioski dla siebie. Nasz spór o prawa aborcyjne czy Trybunał Konstytucyjny w Ameryce mocno rezonuje, te sytuacje mają dziś za oceanem swoje odpowiedniki.

„Okruchy" omawiają głównie lata dwutysięczne, ale z tytułu to opowieść o dojrzewaniu w „postkomunistycznej Polsce". Co możesz pamiętać z lat 90.?

Takich głosów, że co ja w ogóle mogę wiedzieć na ten czy inny temat, jest bardzo dużo, z jakiegoś powodu zwłaszcza wśród starszych ode mnie mężczyzn: co mogę wiedzieć o transformacji, skoro zdarzyła się w 1989, a ja się urodziłam w 1992 r.? Tak jakby transformacja była czymś, co się wydarzyło i skończyło. A potem była już inna, normalna Polska. Tak jakby nie był to proces, który trwał, miał różne etapy, wpływał na to, jak się w Polsce dorastało, i nadal się za nami ciągnął. „Okruchy" to 30 lat mojego życia.

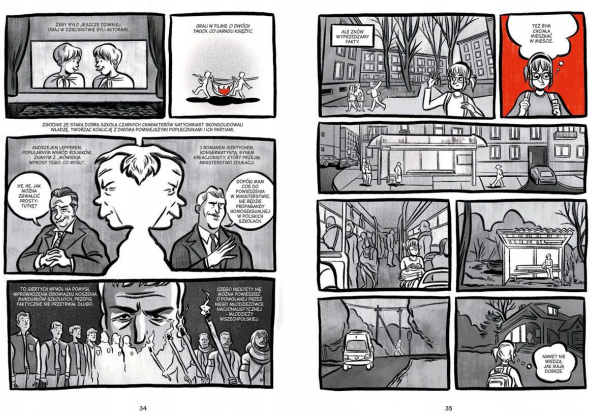

Wszystko jest z życia wzięte? Niektóre sceny mrożą krew w żyłach. Na przykład kłótnia z chłopakiem, który nagle sięga po nóż.

Wszystkie wydarzenia są przedstawione tak, jak je pamiętam, to moje prawdziwe wspomnienia. Moje i moich najbliższych przyjaciółek, które również są bohaterkami komiksu. Starałam się skontaktować z większością osób, które opisuję. Chciałam zderzyć nasze perspektywy.

Płód przechowywany w lodówce do pogrzebu to też prawdziwa „anegdota"?

Tak. To jedna z najmocniejszych historii, którą często opowiadałam w ramach szokowania warszawskich znajomych tym, jak wyglądało dorastanie w dość konserwatywnej bańce Lublina. Jako dorosła osoba zdałam sobie sprawę, że to nie jest normalna część dorastania, tylko jednak skrajność.

Piszesz o dwóch polskich „11 września": śmierci Jana Pawła II i katastrofie smoleńskiej. To nasze momenty formacyjne?

Cieszę się, że tak to interpretujesz. Ktoś w Ameryce zwrócił mi uwagę, że te tragedie są nieporównywalne. Jak można zestawiać śmierć jednego człowieka z tragedią 3 tys. osób? A mnie chodzi o to, jak nas te zdarzenia ukształtowały. Każdy jest w stanie dokładnie powiedzieć, co robił, kiedy dowiedział się o śmierci papieża i o katastrofie smoleńskiej: „A ja byłem wtedy nad jeziorem", „A ja wtedy jadłam śniadanie z rodzicami". To wydarzenia formacyjne również dlatego, że kręcą się wokół nich nasze narodowe mity i nastroje polityczne.

Też płakałam, gdy umarł Jan Paweł II. Głównie poruszona atmosferą żałoby wśród wszystkich dorosłych dookoła. Cały kościół ludzi ubranych na czarno... Ta sytuacja emocjonalnie mocno się na mnie odcisnęła. Papież był nam zresztą przedstawiany jako najbardziej poczciwy staruszek ze wszystkich, którzy kiedykolwiek człapali po polskich górach. Przyjaciel dzieci.

I to wszystko się rozmyło.

Myślę, że to miały być momenty pokoleniowego zrywu i przebudzenia, a wyszło z nas przeżarcie cynizmem i autoironią, o której rozmawiałyśmy. Miało się narodzić „pokolenie Jana Pawła II", co w umysłach starszych od nas znaczyło, że będziemy wyjątkowo religijni i patriotyczni, ale ta religijność i lojalność wobec autorytetów wyszła nam uszami właśnie przez to, że była od nas tak oczekiwana. Przez setki, tysiące pomników papieża, często dość zabawnych w swojej formie. Przez wszystkie szkoły nazywane jego imieniem. Przez uciszanie wszelkiej krytyki jego pontyfikatu. To dlatego wykwitły najważniejsze kulturowe memy naszego pokolenia i nasza milenialska antyreligijność. Bardzo zaciekła w porównaniu z innymi pokoleniami.

Tragedia smoleńska, która była wydarzeniem bezprecedensowym na skalę światową, też miała ludzi zjednoczyć, ale karykaturalność reakcji prawicy i teorie spiskowe sprawiły, że i ten mit zaczął nam wychodzić uszami. Szybko pojawiły się memy z hasłem „Gdzie jest krzyż?", żarty z moherowych beretów itd. Wszystko wywróciliśmy na drugą stronę, tak jak to mamy w zwyczaju. (*śmiech*)

Tak mamy w zwyczaju czy tak zostaliśmy wychowani?

To trochę wina czasów, w których dorastaliśmy, i pokolenia, które nas wychowało. To był specyficzny moment w kulturze i popkulturze, która przejadła się sama sobą. Szukaliśmy tożsamości w świecie bez wielkiego zrywu, wielkich idei, wielkich misji, które można sobie przypisać. Milenialsi zaczęli opisywać świat wyłącznie za pomocą – znów – ironii i cynizmu. Baliśmy się naprawdę mieć zdanie i emocje. Czasem nadal kieruje nami przejmujący lęk przed wstydem i krindżem, słowem, które wymyśliły zetki, a które to nas wyjątkowo przeraża.

Kultura wczesnego internetu odegrała dużą rolę w takim ukształtowaniu naszych postaw. To był Dziki Zachód, w który zostaliśmy wrzuceni bez żadnej kontroli. Rodzice nie mieli pojęcia, czym jest internet, nie wiedzieli, co się tam dzieje, a działo się wszystko i wszystko można było zobaczyć. To nie mogło się dla nas dobrze skończyć...

Rola rodziców jest w tym wszystkim bardzo istotna. Czytałam niedawno o projekcie „Ojciec dla Agnieszki", bohaterka – stand-uperka Agnieszka Matan – ma 38 lat i urządza casting na ojca. Jej prawdziwy ojciec żyje, ale nigdy dużo nie rozmawiali, raz byli w kinie, dwa razy na sankach. To powszechne doświadczenie dzisiejszych 30–40-latków.

Gdybym miała postawić ogólną diagnozę – wiadomo, będę generalizować – powiedziałabym, że to, jak nieobecne było pokolenie naszych ojców, wpłynęło na to, jak nieudolne było pokolenie naszych matek. „Nieudolne" to może niesprawiedliwe określenie, ale polskie matki były przeciążone, bo funkcjonowały w systemie, w którym to kobieta najczęściej pracowała, a później zajmowała się domem, ponieważ tak się kulturowo utarło. Ojcowie byli nieobecni, bo i to się utarło. Trochę też z powodu cyklu traumy. Mam wrażenie, że pokolenie ▶

© KAROLINA ZAJĄCZKOWSKA, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 89a8166262

▶ ojców naszych ojców zostało przeorane głównie przez alkohol. Z rozmów z ludźmi w moim wieku wynika, że dziadków mamy niewielu, większości z nich już albo nie ma, albo nie było nigdy.

Popraw mnie, jeśli się mylę: w jednym z filmów w social mediach czytasz na głos tekst POLITYKI. Nie spodobał ci się. Chodziło o zjawisko „rozwodzenia się" dzieci z rodzicami pod wpływem terapii.

Tak, to mogłam być ja. (*śmiech*) To fascynujący temat, zjawisko, które widać i w Ameryce, zresztą nie tylko. Kwestia jest pokoleniowa, ponadkulturowa i ponadnarodowa. Milenialsi są pierwszym pokoleniem, które nauczyło się stawiać granice. Nasi rodzice sobie z tym nie radzą, nie wiedzą, jak się zachować, kiedy słyszą „nie", tracą dostęp i władzę. Nie na to się pisali, gdy zostawali rodzicami, prawda? Chyba został zerwany niepisany pakt, że skoro decydujesz się na rodzicielstwo, poświęcasz lata życia, zapominasz o sobie i własnych potrzebach, to na pewnym etapie zbierzesz owoce, będziesz cieszyć się relacją, oddaniem, opieką.

Milenialsi zorientowali się, że tego paktu nie podpisywali. Okazuje się, że utrzymanie dziecka przy życiu nie wystarczy i jeżeli chce się mieć z nim relacje w dorosłości, to trzeba podjąć aktywny wysiłek. To szok kulturowy dla obu pokoleń. No i milenialsi pierwsi poszli masowo na terapię.

Piszesz w książce, że „gniew mężczyzn zawsze bierze cię z zaskoczenia". A w sieci rozbijasz mity o „epidemii samotności" i mężczyznach skrzywdzonych przez kobiety. Męskim kręgom to się pewnie nie podoba.

Dobrze się domyślasz. Przyzwyczaiłam się do tego, bo feministyczne komiksy publikuję w internecie od kilkunastu lat. Znam już wszystkie obelgi, które mogę usłyszeć i przeczytać. To kolejne kulturowe zderzenie, po którym będziemy musieli się otrząsnąć. Z jakiegoś powodu mówi się głównie o samotności mężczyzn. Wydawało mi się zawsze, że kobiet i mężczyzn jest mniej więcej tyle samo. Większość z nich jest hetero, więc skoro mężczyźni są samotni, to gdzieś muszą być te hordy samotnych kobiet, ale nikt za bardzo się nimi nie przejmuje. Według mnie dlatego, że same się tym za bardzo nie przejmują. W mediach mówi się, że to mężczyźni chcą zakładać rodziny, tworzyć związki, a kobiety się z tego wypisały. Powstają różne teorie na temat przyczyn: hipergamia (wybór partnera o wyższym statusie społecznym – przyp. red.), feminizm, zgniły Zachód, który poprzestawiał im w głowie.

Moje diagnozy są prostsze i wynikają z doświadczeń własnych i moich rówieśniczek: wystarczyło nas zapytać, zamiast spekulować. Po prostu kobiety masowo w ciągu jednego pokolenia zorientowały się, że nie muszą tego robić. Że to nie jest układ, który jest fair. Wiąże się to trochę z tym szokiem naszych rodziców, którzy po dekadach ciężkiej pracy dla nas zorientowali się, że my nie musimy być im za to wdzięczni. Niekoniecznie chcemy pisać się na to, czym oni są teraz tak rozczarowani.

Jesteś rysowniczką, streamerką, aktywistką, publicystką. Jak to ci się łączy w głowie?

W głowie jeszcze mi się łączy, ale w świecie fizycznym bywa z tym ciężko. Nadal uważam, że to niesamowity przywilej móc żyć z rysowania komiksów, o czym marzy pewnie większość młodych artystów. Utrzymywanie się ze streamowania to też raczej rzadka sprawa. Wstyd nie korzystać i nie okazywać wdzięczności.

Mogłabyś z czegoś zrezygnować?

Prędzej czy później pewnie będę musiała. Może nie na zawsze. Dobrze mieć świadomość, że jeśli internet obróci się znów przeciwko mnie, bo doświadczyłam tu paru afer, stanie się mniej atrakcyjnym miejscem albo ja przestanę być atrakcyjna dla internetowej widowni, to zawsze mam do czego się zwrócić. No i mogę z dnia na dzień przestać rysować. I to też jest ogromny przywilej. Rzadkość wśród influencerów i twórców internetowych, którzy często czują się więźniami algorytmów i własnej widowni. Kiedy kapryśna sieć się od nich odwraca, zostają z niczym.

Wrócisz kiedyś do serii „Dziady polskiej fantastyki", w której wytykasz słynnym autorom fantasy ich literackie przywary?

Nie ma nieskończonego zasobu dziadów. Głównym celem tej serii było sięgnięcie do nostalgii z moich czasów nastoletnich, więc to zbiór zamknięty. Ale może jeszcze wrócę w tamte rejony. Myślę, żeby poeksplorować „baby polskiej fantastyki", bo to też jest specyficzny temat. Nie aż tak jaskrawy jak w przypadku pisarzy fantasy, bo w ich książkach pojawiały się wątki skrajnego rasizmu i seksizmu. Ale zauważam pewne trendy w twórczości polskich pisarek tamtego pokolenia. Chyba warto zanurzyć w nich zęby.

A co czytasz dla przyjemności?

Najczęściej reportaże i horrory. Im bardziej ekstremalne przypadki ludzkich zachowań, tym bezpieczniej się czuję w tym szalonym i niepewnym świecie. Może mój mózg próbuje się przygotować na najgorsze? A może to świadomość, że istnieje całe spektrum ludzkich doświadczeń, i staram się to jakoś zaakceptować.

A seriale?

Wciąż jestem nerdką, którą byłam w czasach nastoletnich. Fantastyka jest mi bliska, więc wszystko, co związane z twórczością George'a R.R. Martina, seriale powstające wokół „Gry o tron", „Ród smoka", „Rycerz siedmiu królestw" – to moja obsesja. Jeśli gdzieś są smoki, to na bank obejrzę. Poza tym bardzo lubię studiować gatunek reality show: od programów randkowych, poprzez paradokumenty, aż po najnowsze gry telewizyjne typu „Zdrajcy".

***Guilty pleasure*? Przyznaję, podzielam.**

Bardzo łatwo wsiąknąć i mogę godzinami o tym gadać. To jeden z powodów, dla których wróciłam do streamowania. Tak bardzo wciągnęłam się w serial „Życie na kredycie", że wszyscy moi znajomi mieli już dość słuchania moich analiz kolejnych odcinków. Stwierdziłam, że w takim razie pogadam sobie o tym z internetem.

Co jest w tych programach takiego fascynującego?

Pociąga mnie ich konstrukcja, zaawansowane techniki produkcji. Emocje uczestników są spreparowane, ale jednocześnie wcale nie są odgrywane. Analizuję też to, jak specyficzne są polskie wersje różnych formatów, różnice między „Hell's Kitchen" a „Kuchennymi rewolucjami", które moim zdaniem – trochę dzięki niesamowitej osobowości Magdy Gessler, a trochę dzięki realiom naszej rzeczywistości gastronomicznej – są kompletnie inne od tej pierwotnej amerykańskiej formuły i według mnie dużo lepsze. To nieco śmiesznie zabrzmi, ale muszę użyć tego frazesu: to dużo mówi o społeczeństwie. Swoją drogą reality show to też milenialskie zamiłowanie.

Plany na najbliższą przyszłość?

Komiks o kotolotach we współpracy z amerykańską pisarką Katie Schenkel. W Ameryce wyjdzie pod tytułem „Catterfly Hero". To historia bardziej dla dzieci, nieco zaangażowana politycznie, o średniowiecznej krainie fantasy, w której lata się na wielkich skrzydlatych kotach. Jak udało mi się to połączyć z wątkami politycznymi, to na razie zostawię w tajemnicy.

ROZMAWIAŁA ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

eprasa.pl 89a8166262

BIBLIOTEKA ELBLĄSKA | 12 - 14 CZERWCA 2026



SYLWIA CHUTNIK
JULIUSZ ĆWIELUCH
BERNADETTA DARSKA
MIKOŁAJ GRYNBERG
AREK JAKUBIK
JERZY JANKAU
MAJA KLESZCZ
KLUB KOMEDIOWY
TOMEK LIPIŃSKI
STANISŁAW ŁUBIEŃSKI
MIROSŁAW PĘCZAK
MARZENA SEKUŁA
JUSTYNA SOBOLEWSKA
TOMASZ STAWISZYŃSKI
TOMASZ SZLENDAK
JĘDRZEJ WINIECKI





OGRODY

POLITYKI W ELBLĄGU









PROGRAM
I SPRZEDAŻ BILETÓW:

ORGANIZATORZY

Michał Missan Prezydent Elbląga
BIBLIOTEKA ELBLĄSKA
POLITYKA
780 LECIE NADANIA ELBLĄGOWI PRAW MIEJSKICH

PARTNERZY

HOTEL POD LWEM
opegieka
KNEDLER

PARTNER MEDIALNY

tokfm

eprasa.pl 89a8166262

Złote Palmy i czarne listy



Aktorka Tilda Swinton w żartobliwym geście składa hołd Cristianowi Mungiu

JANUSZ WRÓBLEWSKI Z CANNES

Jak naprawić świat w dobie wojen i globalnej niepewności? – to temat wielu filmów w Cannes. Także nagrodzonego Złotą Palmą „Fjordu" Cristiana Mungiu. Paweł Pawlikowski po raz drugi wyjechał z festiwalu z nagrodą za reżyserię.

Podczas jednej z konferencji prasowych członek jury Paul Laverty (scenarzysta Kena Loacha) zauważył, że wstydzi się za Hollywood. Pytał retorycznie, czy to nie oburzające, że Susan Sarandon, Javier Bardem, Mark Ruffalo znaleźli się na czarnej liście Fabryki Snów za poglądy przeciwko zabijaniu kobiet i dzieci w Gazie. Sarandon, która wraz z Geeną Davis figurowała na plakacie promującym tegoroczny festiwal, potwierdziła, że faktycznie straciła agenta i możliwość gry w dużych produkcjach po wezwaniu do zawieszenia broni w Palestynie. Obecny na Lazurowym Wybrzeżu Javier Bardem też nie gryzł się w język. Zapowiedział, że ci, którzy tworzą czarne listy, poniosą wkrótce konsekwencje: „Ludobójstwo jest faktem. Możesz być za nim albo go nie usprawiedliwiać milczeniem".

Podobne, a często jeszcze ostrzejsze komentarze padały w trakcie canneńskiej imprezy i na finałowej gali. Ta de facto zamieniła się w trybunę wolności, z której nieprzerwanym tokiem płynęły słowa potępienia przeciwko Trumpowi, wojnom i niesprawiedliwości. Sygnał do wyrażenia gniewu na prowadzące świat ku katastrofie elity dał sam dyrektor festiwalu Thierry Frémaux, który w dniu inauguracji przypomniał, że kino jest narzędziem pokoju, a jeśli Donald Trump potrzebuje pomocy w negocjacjach, „my, twórcy, wiemy, jak zawrzeć pokój".

Nagrodzony Złotą Palmą „Fjord" idealnie wpisywał się w tę dyskusję, bo analizuje napiętą atmosferę podzielonego, radykalizującego się świata. Bohaterami filmu Cristiana Mungiu są głęboko wierzący chrześcijanie, którzy wychowują piątkę dzieci w duchu surowych, konserwatywnych zasad: bez telefonów, bez nowoczesnej muzyki, z obowiązkową, codzienną lekturą Biblii. To kino niewygodne, prowokujące, zmuszające do konfrontacji z uprzedzeniami, poświęcone zderzeniu dwóch systemów wartości: surowego konserwatyzmu i bezdusznego progresywizmu. Chociaż bardzo liczyliśmy, że to wyróżnienie przypadnie „Ojczyźnie", jury się nie pomyliło.

„Fjord" zmusza do postawienia serii trudnych pytań: gdzie przebiega granica

© STEPHANE CARDINALE/CORBIS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 89a8166262

między wychowaniem a przemocą? Czy nowoczesny, liberalny Zachód jest naprawdę tolerancyjny? Czy dążąc do swobody światopoglądowej, chcemy budować skrajnie zbiurokratyzowany system, uniemożliwiający realizację tego celu itd. Inspiracją jest prawdziwa historia, głośny przypadek rumuńsko-norweskiej rodziny Bodnariu, przez kilka miesięcy walczącej w skandynawskim sądzie o odzyskanie piątki dzieci, odebranych im w 2015 r. przez norweską opiekę społeczną. A perfekcyjnie zrealizowany dramat psychologiczno-sądowy trafia bezbłędnie w istotę sporów rozsadzających współczesne systemy demokratyczne.

Cristian Mungiu, autor pamiętnego dramatu „4 miesiące, 3 tygodnie i 2 dni" – swego czasu również wyróżnionego Złotą Palmą – o podziemiu aborcyjnym za dyktatury Nicolae Ceaușescu, tym razem alarmuje, że współczesne wojny kulturowe i podziały ideologiczne przestały mieć narodowy adres. Mechanizmy, które badał w Rumunii – wykluczenie, strach przed innością, autorytarne ciągoty wspólnoty – są uniwersalne.

„Ojczyzna" Pawlikowskiego wywołała mniej kontrowersji i wielu obserwatorom podobała się nawet bardziej. Melancholijny film drogi, osadzony w realiach 1949 r., śledzi podróż wybitnego pisarza Tomasza Manna i jego córki Eriki przez zrujnowane, podzielone na strefy okupacyjne Niemcy. I splata ją z geopolitycznym chaosem rodzącej się zimnej wojny, w której obie strony konfliktu usiłują instrumentalnie zawłaszczyć autorytet noblisty.

Ale nie tylko w „Ojczyźnie" czuć było tęsknotę za – jak to ujął Pawlikowski – oczyszczeniem pola z politycznych okowów. Widać ją było także w filmach prześwietlających postawy tych, którzy uważają się za przewodników narodów, oraz rozliczających ich z odpowiedzialności za fałszowanie historii, oportunizm, tworzenie propagandy. Wiele zwycięskich filmów zmuszało do refleksji nad rzeczywistą wagą słów i czynów. W jakim stopniu wspierają one nietolerancję, dlaczego niektórzy tak chętnie ulegają politycznemu fanatyzmowi?

Wstrząsającym przykładem zerwania z zakłamaną narracją historyczną był „Notre salut", uhonorowany za najlepszy scenariusz. Emmanuel Marre rekonstruuje w nim losy swojego pradziadka, rzucając wyzwanie francuskiemu samozadowoleniu, domagając się bezwzględnego rozliczenia z dziedzictwem rządu Vichy. Kompromitująca historia przodka inżyniera, wysyłającego transporty Żydów do obozów zagłady, wywołała we francuskich mediach konsternację, by nie powiedzieć skandal, porównywalny z reakcją na „Białą odwagę" Marcina Koszałki.

Marre demontuje narodowy mit powszechnego ruchu oporu, przypomina, że systemowe zło najczęściej ufundowane jest na chłodnym konformizmie ludzi wykształconych, którzy w imię własnej wygody legitymizują autorytarne reżimy. Przeniesienie tej dynamiki we współczesność zabrzmiało jak ostrzeżenie przed radykalizacją prawicy i wynikami przyszłorocznych wyborów prezydenckich we Francji. Ślepota elit na rodzące się zagrożenia – ostrzegają twórcy – jest stałą cechą francuskiego społeczeństwa w momentach dziejowego przełomu.

Z instytucjonalną zmową milczenia i ze zorganizowanym kłamstwem mierzyli się również twórcy hiszpańskiego ▶

REKLAMA



eprasa.pl 89a8166262

▶ queerowego dramatu „La Bola Negra”. Javier Calvo i Javier Ambrossi, nagrodzeni za reżyserię ex aequo z Pawłem Pawlikowskim, sięgają po motywy niedokończonej sztuki Federica Garcíi Lorki i demaskują wieloletni hiszpański „pakt milczenia” wokół wojny domowej. Intelektualny przekaz skupia się na traumie jako dziedzictwie przekazywanym z pokolenia na pokolenie, analizowanym przez pryzmat przemilczanej dotąd perspektywy mniejszości. Twórcy udowadniają, że eskapizm w sferę czystej estetyki, rzekomo wolnej od politycznych uwikłań, jest strategią iluzoryczną i skazaną na klęskę. Historia wyparta ze świadomości społecznej nie znika; staje się toksycznym podglebiem, które nieuchronnie infekuje teraźniejszość.

W sam środek debaty o granice moralnego kompromisu trafiał też inny, zbierający canneńskie laury queerowy dramat „Coward” Lukasa Dhonta, nagrodzony za najlepsze kreacje męskie. Belgijski reżyser („Girl”, „Blisko”) przeniósł zmysłową wrażliwość w realia pierwszej wojny światowej, by poddać radykalnej dekonstrukcji patriotyczny mit heroizmu i narodowego obowiązku. Zamiast klasycznej opowieści frontowej w stylu „Na zachodzie bez zmian” przedstawił głębokie studium starcia wolności z propagandową machiną państwową. W świecie ogarniętym wojennym szaleństwem unikanie udziału w masowej rzezi, ucieczka w prywatność poprzez poszukiwanie bezpiecznego azylu w sztuce niekoniecznie stają się uczciwym rozwiązaniem, częściej nieszczerym widowiskiem maskującym prawdziwe intencje. Konflikt między biologicznym przetrwaniem a narzuconym patriotyzmem zostaje tu rozwiązany na korzyść obrony fundamentalnego humanizmu. Prawdziwym tchórzostwem okazuje się bezrefleksyjne uleganie militarystycznej retoryce, która niszczy ludzką podmiotowość.

Na tym tle w zupełnie wyjątkowy sposób wybrzmiał „Minotaur”, uhonorowany Grand Prix, drugą co do ważności nagrodą. Odbierając statuetkę, rosyjski reżyser Andriej Zwiagincew zwrócił się wprost do Władimira Putina (nie wymieniając z nazwiska przewodniczącego Federacji Rosyjskiej), by ten zakończył trwającą od czterech lat rzeź Ukraińców i Rosjan. – Tylko pan może to uczynić – mówił reżyser, zbierając najdłużej trwającą burzę braw.



Jane Fonda protestuje przeciw cenzurze

„Minotaur” nie mówi bezpośrednio o tym, co się dzieje na froncie. W ogóle nie pokazuje wojny, choć jest jej poświęcony. Odsłania za to korzenie zdegenerowanej, rosyjskiej duszy, która umożliwia jej prowadzenie. To symboliczne studium systemowej znieczulicy, cynizmu oraz mechanizmu zbiorowego wyparcia. „Minotaur” jest filmem technicznie bezbłędnym, trzymającym w napięciu, dokonującym brawurowej dekonstrukcji klasycznego thrillera noir – przepisuje strukturę „Niewiernej kobiety” Claude’a Chabrola na wielopoziomowe, przesiąknięte metaforyczną ironią oskarżenie putinowskiego reżimu.

Nie ma w nim publicystycznego zacietrzewienia ani ślepego gniewu. Przesłanie można streścić tak: imperialna przemoc Rosji jest bezpośrednim przedłużeniem wewnętrznego zepsucia, toksycznej męskości oraz opresji zakorzenionej w strukturach rodzinnych. A elity finansowe i urzędnicze, utożsamione z tytułowym monstrum, karmią się konformizmem i strachem uboższych warstw. „Minotaur” stanowi wspaniałe ostrzeżenie przed stanem permanentnego zaprzeczenia, w którym naród zmierza ku moralnemu samounicestwieniu. Być może jednak dla mieszkańców naszej części Europy będzie to ostrzeżenie zbyt cicho wypowiedziane.

Festiwalowe kuluary również zamieniły się w arenę walki o wolność słowa i suwerenność twórczą. Szeroko komentowany był narastający konflikt między środowiskiem filmowym a gigantem medialnym Canal+. Punktem zapalnym stał się list otwarty, opublikowany na łamach dziennika „Libération”, podpisany przez ponad 600 wybitnych twórców, w tym Juliette Binoche i Arthura Hararіego. Sygnatariusze wyrazili głęboki niepokój z powodu ekspansji imperium Vincenta Bolloré, 72-letniego ultrakatolickiego magnata z majątkiem szacowanym na 11 mld euro, okrzykniętego francuskim Rupertem Murdochem. Przejmując sieć kin UGC, Bolloré zyskał bowiem monopol nad pełnym cyklem produkcyjnym i dystrybucyjnym we Francji. Artyści oskarżyli go o próby ideologicznego podporządkowania kinematografii, a także kulturowy zwrot ku skrajnej prawicy przed nadchodzącymi wyborami prezydenckimi.

Reakcja prezesa Canal+ Maxime’a Saada była natychmiastowa i bezprecedensowa: zapowiedział odwet, deklarując, że stacja zrywa współpracę z wszystkimi sygnatariuszami petycji. Groźba usankcjonowania czarnych list w sercu europejskiego przemysłu filmowego wywołała jeszcze większe oburzenie niż podobne represje w Hollywood. Efekt był taki, że ilekroć na ekranie ukazywało się logo Canal+, canneńska publiczność solidarnie buczała.

Ciekawie przebiegała też dyskusja dotycząca ekspansji sztucznej inteligencji. Ton debacie nadano już podczas ceremonii otwarcia, gdy prowadząca uroczystość aktorka Eye Haïdara powitała publiczność przekornym i gorzkim manifestem, kierując słowa do widzów tam, „gdzie internet nie został jeszcze odcięty, a sztuczna inteligencja nie zastąpiła jeszcze rzeczywistości”. Gest ten niósł potężny ładunek politycznego sprzeciwu, zważywszy że jednym z głównych sponsorów tegorocznego festiwalu została korporacja Meta.

Oklaskiwana przez tłum Haïdara, wspólnie z 88-letnią Jane Fondą, która uniosła zaciśniętą pięść, zdefiniowały obronę zaangażowanych artystów przed cenzurą i dominacją konserwatywno-prawicowej rewolucji jako kluczowy współczesny „akt oporu”. Już za rok, podczas jubileuszowej 80. edycji canneńskiego festiwalu przekonamy się, jakie owoce przyniósł.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

© VALERY HACHE/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 89a8166262



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Polskie jury podczas głosowania na Eurowizji zafundowało reprezentantowi Izraela 12 punktów. Wybuchł skandal. Przeczytałem listę nazwisk naszych jurorów. Skład godny Franciszka Smudy.

●

Szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Jan Grabiec spędził u fryzjera dokładnie 40 minut – donosi „Super Express". W przeciwieństwie do nich robi coś z głową.

●

„Zarówno Jacek Kurski, jak i Edward Miszczak są ludźmi, którzy naprawdę kochają telewizję" – to Aleksander Sikora, niedawno TVP. Myślałem, że jego jedynym atutem jest bycie przeźroczystym. Ale jest jeszcze ostrożny.

●

Kanał Zero TV zaczął nadawanie w środę 20 maja ze średnią 1,4 tys. widzów. Nareszcie. Uważam, że korepetycje z chłopskiego rozumu powinny być masowe.

●

Sędzia piłkarski Szymon Marciniak został ambasadorem producenta aluminiowych okien, drzwi, fasad i osłon przeciwsłonecznych. Co je łączy z polską piłką nożną? Cena nieadekwatna do przydatności.

●

Skoro już jesteśmy przy kadrze, to prezesa jej sponsora, firmy Cinkciarz.pl, Marcina P. aresztowano w USA. Tu związki są proste. Marcin był ścigany czerwoną notą Interpolu, a stroje są biało-czerwone.

Emil Stępień o byłej małżonce Dodzie: „Wrzucała filmiki z poprzednich wakacji, by napisać, że jest właśnie na wakacjach, a siedziała w mieszkaniu w Warszawie". Kobiece kino zna takie przypadki. Choćby Leni Riefenstahl.

●

Laureat „Tańca z gwiazdami" Gamou Fall wyznał, że chociaż jego wujek w Senegalu ma dwie żony, to on planuje tylko jedną. Konserwatywna rodzina. W Senegalu można mieć cztery.

●

Dominik Tarczyński ujawnił w końcu, co go łączy z Joanną Krupą: „Znajomość, nic więcej". Znakomicie. Bo wcześniej łączyło ich to, że on chciał zrobić z naszą ojczyzną to, co ona zrobiła z naszym językiem.



Robert Bąkiewicz, szturmując sąd okręgowy od strony wejścia dla personelu, ogłosił się Jurandem ze Spychowa pod Malborkiem. Jak pisał mistrz Młynarski: „Gdy mało książek znasz, to ci wychodzi na twarz".

●

„Rasowa wokalistka na jarmarku eurowizyjnych straganów" – to Plotek o Alicji Szemplińskiej na Eurowizji. Trafna ocena. Straganty to ich specjalność.

●

Ewa Raczyńska, Karolina Grabińska i Mateusz Baczyński przechodzą z Onetu do Wirtualnej Polski. Różne są transfery. Tomasz Szmydt na przykład przeniósł się na Białoruś.

●

Liderem serwisów showbiznesowych jest Pomponik: 4,43 mln osób. Pudelek znów przegrywa. Jego twórcy mają bardzo impulsywny styl radzenia sobie z frustracją wynikającą z cudzych sukcesów.

●

Stand-uperzy Mateusz Socha i Piotr Szumowski zostali twarzami kampanii reklamowej McDonald's promującej nowości z kurczaka. To chyba ostateczny dowód, że kurczaki są karmione antybiotykami.

●

Po 25 latach przerwy Marek Kondrat w Teatrze Telewizji wystąpi w „Królu Maciusiu Pierwszym" Janusza Korczaka. Połowa Polski lubi historie o chłopcach, którzy niespodziewanie zostają przywódcami całego państwa.

●

Olga Tokarczuk tłumaczyła się publicznie z zarzutu używania sztucznej inteligencji w jej działalności literackiej. Po tej informacji rozwinąłbym badania nad prawdziwymi idiotami w ich działalności wszelakiej.

Gorący temat Zbyszka Ziobry powraca jak bumerang. Okazuje się, że ZZ może rozkręcać w USA biznesy Tomasza Sakiewicza. To kraj wielu możliwości. 50 Cent też rozpoczął tam karierę po wyjściu z więzienia.

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ CUDNY**

eprasa.pl 89a8166262



W kryształowej kuli

Znów poruszę temat wojny w Ukrainie, bo – jak już pisałem – uważam ją niezmiennie od początku za Rzecz Najważniejszą. Przyszłość świata, a na pewno naszego zakątka Europy, zależy od tego, jak to się skończy. Wydaje mi się, że widać światełko w tunelu, więc zaryzykuję felieton wróżbiarsko-prognostyczny.

Publicyści i analitycy po naszej stronie od lat snują wizje gospodarczego upadku Rosji. Jak wiadomo, niestety, nie nastąpił do dzisiaj. Od paru miesięcy widać jednak kolosalną zmianę: nie mówimy już o tym my, tylko oni. Śledzę rosyjskie media oraz tzw. militarnych blogerów – nieoficjalnych, ledwie tolerowanych, ale znakomicie poinformowanych dzięki kontaktom na froncie. Kiedyś w kółko klepali formułkę „specjalna operacja wojskowa postępuje zgodnie z planem, wszystkie zadania zostaną wypełnione". Ostatni raz słyszałem ją jakiś rok temu, teraz wyczytuję u nich same jeremiady: że jeśli dalej Rosja będzie wojować tak jak teraz, to przegra.

Do niedawna ludzie mówiący takie rzeczy kończyli albo w więzieniu (jak niesławny Igor Girkin, który dowodził hybrydową inwazją w 2014 r., a potem zaczął krytykować Putina za marnowanie jego osiągnięć), albo przydarzała im się jakaś dziwna katastrofa, jak Prigożynowi. To swoją drogą niesamowite, że w Rosji nikt do dzisiaj nie ośmiela się wyrazić publicznie jakiejkolwiek wątpliwości, że to był wypadek. Aż tak głęboko mają wmłotkowaną wiedzę, że kto zadaje takie pytania, ten kończy jak Politkowska.

> Gospodarcza katastrofa doprowadzi do niewypłacalności rosyjskiego państwa, ta zaś do buntów i dezercji.

Kwestionowanie nieomylności Wodza zrobiło się ostatnio bezkarne. Niejaki Ilja Remesło, bloger turbopatriotyczny, w marcu ogłosił, że stracił wiarę w Putina – w słowach tak dosadnych, że nie wypada przytaczać. Gdy zamknięto go w szpitalu psychiatrycznym, myślałem, że to już jego koniec, pewnie wypadnie przez zamknięte okno albo się zadławi kością z kurczaka, jedząc pulpety wieprzowe. Ale wyszedł, dalej krytykuje Putina i nic go na razie złego za to nie spotyka. Kiedyś nie do pomyślenia.

O problemach z gospodarką mówią już wszyscy. „Prawda" usiłuje przerabiać złe wiadomości na dobre, np. głosząc, że recesja to zapowiedź nadchodzącego wzrostu (jak u Erenburga, „skoro zwalniają, to znaczy, że będą zatrudniać"). Że w Rosji jest kryzys gospodarczy, temu nie zaprzecza już nikt. Niektórzy najwyżej snują nierealne nadzieje typu „wszystko się poprawi dzięki nowej umowie z Chinami", a gdy Putin tej umowy jednak z Pekinu nie przywozi, wymyślają sobie coś nowego.

Co do sytuacji na froncie, nikt już nie twierdzi, że Rosja jest w stanie osiągnąć strategiczne przełamanie. Rosyjscy blogerzy tłumaczą: Ukraina wygrała wyścig zbrojeń w technologii dronów, dzięki czemu udało się jej wydłużyć „strefę śmierci" do 100 km. Aż tak daleko od frontu fruwają autonomiczne drony takie jak Hornet, nazywany przez Rosjan „Marsjaninem" – kierowany sztuczną inteligencją, zabija wszystko, co uzna za żołnierza albo wojskowy transport. Zaopatrywanie frontu stało się samobójczym zadaniem, a to wyklucza większe ofensywy. Pozostaje przesuwanie się o sto metrów tu, by stracić dwieście gdzie indziej.

Blogerzy szukają rozwiązań. A może masowa mobilizacja? A może atak na Łotwę? A może zniszczyć satelity systemu Starlink? A może atomówka? Wytykają jednak sobie nawzajem, dlaczego to wszystko jest nierealne. Zostaje więc, co niechętnie przyznają, szukanie porozumienia pokojowego. Nie chcą jednak zrezygnować z postulatu, żeby Ukraina oddała im bez walki fortece w Donbasie. Ich propaganda wmówiła im (oraz zapewne także Putinowi), że to realne. Przez cały rok żyli tą absurdalną nadzieją, teraz do nich dociera, że to się nie uda, ale nie mają żadnego „planu B".

Tymczasem od paru miesięcy nie ma dnia, żeby jakaś rosyjska fabryka albo rafineria nie stanęły w płomieniach. Sytuacja gospodarcza będzie się więc pogarszać. W Ukrainie też nie jest różowo, ale dzięki pomocy z Unii Europejskiej pieniądze się jej szybko nie skończą. Rosja zaś za wszelką pomoc musi płacić w twardej walucie, której nie może sobie tak po prostu wydrukować.

Moja prognoza jest więc taka: gospodarcza katastrofa wreszcie się wydarzy i doprowadzi do niewypłacalności rosyjskiego państwa, ta zaś – do masowych buntów i dezercji. Front się rozsypie jak w ostatnich dniach pierwszej wojny światowej, gdy niemieccy żołnierze chcieli wrócić do domu i oddawali broń cywilom, jak choćby w okupowanej Warszawie. Nim to nastąpi, Putin może spróbować czegoś szalonego z repertuaru fantazji „milblogerów". Atomówka, mobilizacja, atak na kraje NATO. Może to być dla nas przejściowo bolesne, ale przecież upadek gospodarczy Rosji tylko przyspieszy. Moja kryształowa kula pokazuje mi więc koniec wojny nie w postaci wielkiej finałowej bitwy, lecz krachu bankowego i niewypłacalności. I to już niedługo: może ten rok, może następny.

Ciekawe, co o tym felietonie myśli czytelnik z przyszłości, przeglądający stare roczniki POLITYKI w roku dajmy na to 2050. I co, bardzo się pomyliłem?

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 89a8166262

Chutnik Plebanek



List z nakazem rodzenia

Rządy lubią mieszać w garze z płodnością. Z jednej strony zachęcają do rodzenia, z drugiej ograniczają edukację tych, które odbierają porody. „Szanowne, Drogie Położne! Bardzo mi przykro, że zamiast docenienia i szacunku otrzymujecie taki cios w plecy, jak projekt ustawy o kształceniu przyszłych położnych, który zamierza skrócić czas nauki i zmniejszyć możliwości tego zawodu. Mam nadzieję, że społeczeństwo zaprotestuje" – napisała w mediach społecznościowych Sabina Jakubowska, doula oraz autorka znakomitych powieści „Akuszerki" i „Położne". Według niej „ta ustawa to krok ku temu, by Położne – samodzielne profesjonalistki, które mogą legalnie prowadzić ciążę, przyjmować porody, także domowe – stały się niższym zawodem medycznym, kimś, kto ma tylko asystować przy rosnącej liczbie cesarskich cięć".

Medykalizacja porodów to twarde narzędzie opresji. Historycznie oznaczała władzę nad obywatelkami: od prowadzenia rejestracji ciąż, przez przymusowe badania, po porody w pozycji, która kłóci się z prawami grawitacji, koniecznie pod okiem lekarzy. O tym, że państwo musi wiedzieć, co w którym brzuchu się dzieje, boleśnie przekonały się nasze matki i babki, którym przyszło rodzić w PRL-u. Przemoc werbalna i przysłowiowe już koszmarne odnoszenie się do położnic były też wyrazem władzy nad nimi.

„Dobro macicy" rzadko jest sprawą jej anatomicznej posiadaczki. Częściej okazuje się ona własnością państwową.

Francję właśnie obiegła wiadomość, że każda 29-letnia kobieta dostanie przed wakacjami list od rządu z zachętą do wydawania na świat większej liczby obywateli. Pytanie, czy i obywatelek, bo może ukrytym motywem jest przyszły pobór, choć oficjalnie mówi się o kryzysie dzietności. Inicjatywa rządowa wywołała oburzenie. Wezwanie do rodzenia dla części adresatek może być psychicznie trudne do zniesienia, zwłaszcza jeśli od dawna bez powodzenia starają się o dziecko albo przeszły poronienia czy nieudane próby in vitro – podkreślają jedni. Inni punktują twarde realia: brak podwyżek i kiepską sytuację mieszkaniową młodych, którym nie trzeba zachęt do prokreacji, lecz konkretnych działań rządu dla poprawy warunków życia. Bo od tego są państwowi funkcjonariusze wybrani przez obywateli.

W Rosji również wprowadzono nowe przepisy ze względu na straty wojenne i kryzys demograficzny. Obowiązuje zakaz promocji stylu życia *childfree*, aborcji faktycznie zabroniono, mnożąc utrudnienia administracyjne, w ruch poszły też finansowe kary i nagrody, by zmusić obywatelki do rodzenia.

Ingerencje władzy i grup uprzywilejowanych w sprawy intymne kobiet mają długą tradycję. W XVII w. Europę ogarnęła panika w związku z masowymi zgonami rodzących, mówiło się o „gorączce połogowej", której przyczyn wówczas nie znano. Okazało się, że winni jej byli lekarze, którzy do porodów przychodzili z prosektorium. Dezynfekcję rąk w roztworze chloru przed każdym badaniem nakazano personelowi medycznemu dopiero w 1847 r.

Lekarze zaczęli odbierać porody zamiast akuszerek, bo te od XII w. palono na stosach jako „czarownice". To nie przypadek, lecz kalkulacja. Ponad połowa ludzkości rodzi, trudno zatem o lepsze i pewniejsze źródło dochodu niż usługi ginekologiczne i położnicze. Akuszerki oskarżane o czary ścigano jeszcze w XVIII w. (m.in. na Śląsku czy w Niderlandach). A one nie tylko przyjmowały porody, ale też były dla rodzących kompankami w doświadczeniu dawania nowego życia, przeżycia z pogranicza mistycyzmu i surowej biologii.

Postrzeganie ciąży, połogu i narodzin było zawsze odzwierciedleniem tego, jakie miejsce przydziela się kobiecie w społeczeństwie. O tym, że ginekologia ma długą tradycję pomocy pacjentkom, ale i działania na ich niekorzyść, pisze Jürgen Thorwald w „Ginekologach". „Dobro macicy" rzadko jest sprawą jej anatomicznej posiadaczki. Częściej okazuje się ona własnością narodu, męża, wspólnoty religijnej.

Po pozbyciu się akuszerek odbieranie porodów przeszło w ręce medyków. Więcej wezwań mieli w mieście, bo wieś długo się przed nimi broniła. Szpitale kojarzyły się z umieraniem, za to akuszerki budziły zaufanie. No i porody mogły się odbywać w domu, jak to się dzieje do dziś w Holandii, gdzie do szpitala jedzie się rodzić tylko wtedy, gdy ciąża jest zagrożona. W Polsce powrót do instytucji położnych nastąpił po akcji „Rodzić po ludzku".

W znakomitych „Położnych" Sabina Jakubowska opisuje Europę XX w., przez którą przewalają się wojny, a zbiorowa nienawiść przyjmuje formę faszyzmu, by skończyć się obozami koncentracyjnymi i Holokaustem. Mimo fatalnej diagnozy ludzkiej natury jedno jest pewne – kobiety będą rodzić, uparcie wydawać na świat nowe życie. I że zawsze będą do tego potrzebować położnych. „Pisząc, że moja bohaterka Regina Zdzieńska zostanie podczas okupacji zdegradowana do roli salowej, nigdy bym nie pomyślała, że to może się niechcący stać pewną metaforą" – wyznaje Jakubowska. Oby literatura nie okazała się znów prorocza.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 89a8166262

FELIETON

Hartman



Etyka, dziwny zwierz

Znów czeka nas awantura o etykę w szkole. Ordo Iuris forsuje w Sejmie obowiązkową alternatywę: albo dwie lekcje religii, albo dwie lekcje etyki. Chodzi o to, że w zdecydowanej większości – w wyniku presji społecznej, warunków organizacyjnych i warunków zaliczenia przedmiotu – rodzice i dzieci wybierać będą religię. Na tym jednak nie koniec. Plan przewiduje, że również lekcje etyki najczęściej prowadzić będzie personel przysposobiony przez uczelnie katolickie, wobec czego indoktrynacja religijna dotrze również tam, gdzie jest niepożądana.

Ten chytry (choć nienowy) plan klerykalizacji szkolnictwa ma wielkie szanse powodzenia nawet nie z powodu licznej obecności integrystów katolickich w Sejmie, lecz z racji ignorancji i naiwności posłów umiarkowanie konserwatywnych, którzy nie rozumieją, czym jest etyka i jej nauczanie, sądząc, że jest to rodzaj oddziaływania wychowawczego, ekwiwalentny w stosunku do wychowania religijnego i niejako zastępujący je w odniesieniu do młodzieży niereligijnej. To całkowity fałsz, a nawet fałsz obłudny i przewrotny. Na tym jednak nie koniec – cała sprawa stoi na absurdalnym założeniu, że nauczanie etyki w szkole jest w ogóle możliwe. O tym, że nie jest i w przewidywalnej przyszłości być nie może, wie zaledwie kilka tysięcy ludzi w Polsce, bo na tyle obliczać można „populację" mającą pojęcie o etyce. Ogół społeczeństwa, łącznie z posłami, pogrążony jest w ignorancji tak głębokiej, że żadna „akcja informacyjna", nie mówiąc już o moim skromnym felietonie, nie jest w stanie tego zmienić. Mimo to czynię swoją powinność etyka oraz zużytego już nieco aktywisty walczącego o świeckość państwa, i wyjaśniam, co tylko się da, w tych paru wierszach.

> Lekcje religii są fatalnymi lekcjami etyki, za to prawdziwe lekcje etyki są przeciwieństwem wszelkiej indoktrynacji.

Otóż etyka to dyscyplina filozofii zajmująca się moralnością, a zwłaszcza takimi zagadnieniami jak natura i źródła powinności moralnej, relacje między obowiązkami moralnymi a normami obyczaju i prawa, jak również zagadnieniem możliwości uzasadniania nakazów i ocen moralnych. Jest kilka klasycznych teorii w tych sprawach, jakkolwiek współczesna etyka najczęściej łączy ich elementy. Celem uprawiania i nauczania etyki nie jest moralne doskonalenie, chociaż ten, kto uczy się etyki, z pewnością ma więcej niż inni ludzie krytycyzmu wobec własnych i cudzych przekonań moralnych oraz większą umiejętność rozważania argumentów na rzecz takiego lub innego wyboru moralnego, dzięki czemu zazwyczaj wrażliwość moralna i ogólny poziom etyczny tak wytrenowanej osoby nieco wzrasta.

Cele moralnego wychowania religijnego są zaś zupełnie inne. Nie chodzi w nim o wyrobienie w młodzieży zdolności do samodzielnego osądu problemów moralnych, lecz raczej o posłuszne kierowanie się pewnym systemem przekonań i norm propagowanym przez wpływowe gremia danej wspólnoty wyznaniowej. Tam, gdzie doktryny te są moralnie budujące, religia może korzystnie oddziaływać wychowawczo, lecz z reguły część tych doktryn ma potencjał wręcz odwrotny. Dotyczy to zwłaszcza posłuszeństwa: organizacje religijne uczą wyznawców, aby dokonywali wyborów zgodnych z instrukcjami kapłanów bądź własnym sumieniem, jakkolwiek pod warunkiem że jest ono „prawidłowo ukształtowane" przez tychże kapłanów.

Etyka katolicka, która będzie promowana w polskich szkołach na lekcjach etyki, ma charakter synkretyczny, łącząc wywodzącą się od Arystotelesa etykę cnót z personalizmem i koncepcją godności ludzkiej. Do tego dochodzi wspomniana apoteoza odpowiednio wychowanego sumienia, teologiczna doktryna prawa naturalnego (nadanego ludziom przez Boga) oraz takaż koncepcja tzw. cnót teologicznych, którymi to chrześcijanie rzekomo górują nad resztą ludzkości. W zestawieniu ze współczesną etyką, znaną z publikacji akademickich (świeckich), wygląda to trochę jak kolekcja muzealiów. Dlatego nauczanie etyki w formie promowania etyki katolickiej jest czymś, co można by porównać do nauczania fizyki (nie: historii fizyki) z książek Arystotelesa i Newtona.

Lekcje religii są fatalnymi lekcjami etyki, za to prawdziwe lekcje etyki są przeciwieństwem wszelkiej indoktrynacji i z pewnością nie zachęcają do sympatyzowania z religijną moralistyką. Tworzenie alternatywy religii i etyki byłoby zabiegiem iście szatańskim, gdyby nie było zwykłą ignorancją. Ale jest jeszcze gorzej! Większość etyków ma wątpliwości, czy istnieje powinność moralna, którą można traktować jako autonomiczną i pierwotną względem czynników psychologicznych, społecznych, kulturowych, a nawet ewolucyjnych. Tym samym etyka jako dyscyplina filozofii jest nieustającym rozważaniem własnej sensowności, a teorie etyczne wiecznie poszukują kompromisów między czystą powinnością (bo tak!) a powinnością uzasadnianą czymś spoza sfery moralnej (np. społecznymi korzyściami, prawidłami życia emocjonalnego etc.). Etyka jest skrajnie elitarna i w dodatku pogrążona w wiecznym kryzysie. Na szczęście od wychowywania uczniów są lekcje wychowawcze.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 89a8166262

FELIETON

Sulej



Polskum

Kiedy idę po jakiś drobny zakup spożywczy, w osiedlowym sklepie za ladą spotykam białoruskiego dziennikarza, który uciekł do Polski przed reżimem Łukaszenki. Kiedy idę kupić tulipany, spotykam florystkę, która uciekła z Ukrainy i postanowiła spełnić swoje marzenie o układaniu kwiatów, na przekór wojnie i traumie. Na podwórko, przy którym mieszkam, wychodzą tyły restauracji serwującej kuchnię europejską, gdzie pracuje Gizela, Romka. W Fundacji Kraina, w której pracuję z przyjaciółmi nad budowaniem wspólnot, zaledwie pięć minut od mojego domu, spotykają się regularnie przybysze z Ukrainy, Białorusi, osoby pochodzenia żydowskiego, Tatarzy z Krymu, Romowie...

Ostatnio jeden z gości, białoruski projektant, wyznał, że inspirują go ściany naszej przestrzeni. Są gołe, surowe, widać warstwy wcześniejszego malowania. Wcześniej był tam sklep ze słodyczami, a przedtem butik z butami. Nasza część Europy przypomina wiecznie odmalowywaną ścianę, wciąż od nowa. A może to bardziej tu chodzi o uchwycenie jakiegoś momentu, który zawsze jest niepełny? Jedna warstwa sugeruje pełnię, ale pod spodem jest tyle innych. Jedno spojrzenie sugeruje prawdę, ale jest tyle spojrzeń.

Nic nie opowiada o tym lepiej niż fotografia – dociera to do mnie, kiedy gapię się na zdjęcie Pawła Starca z Dolnego Śląska na wystawie „Możliwy układ" podczas krakowskiego Miesiąca Fotografii. W tym roku temat to „Unreal estate: granice, splątania i niedokończone historie". Na Śląsku warstwy opowieści widać wszędzie: na fasadach kamienic, w krajobrazie, na szyldach sklepów. Nie da się udawać, że tu wcześniej nie było innych języków, innych spojrzeń. Widać, że naklejamy coś ciągle w tych samych miejscach, uparcie malujemy rzeczywistość w czarnych lub różowych barwach.

> Nasza historia wymalowana na ścianach i witrynach nie jest przejrzysta. Są tu plamy, wandalizmy, uszkodzenia.

Roland Barthes pisał w „O fotografii" o tzw. punktum obrazu – miejscu, które zawiera jego sens i emocjonalną jakość. Przedstawiał to jako nakłucie, ale ja tu widzę raczej naddarcie, szparę. Nasza historia wymalowana na ścianach i witrynach nie jest przejrzysta, są tu plamy, wandalizmy, uszkodzenia, pospieszna odbudowa, prowizorka. Mieszkamy w kraju „pomiędzy", przez który ludzie migrują – bo chcą, bo muszą...

W byłym szpitalu uniwersyteckim w Krakowie oglądam wystawę „Fringe Wonders" – to też program Miesiąca Fotografii. Filip Bozowski swój projekt nazwał „Polskum" – to plon dwumiesięcznej autostopowej wyprawy latem 2024 r. wzdłuż granic Polski. Wystawa znajduje się na strychu – ściany w kolorze błota, dziura w drewnianej podłodze. Filip od początku wiedział, że musi coś w tej dziurze umieścić – i włożył tam koszulkę piłkarską narodowej drużyny. Na ścianach – zdjęcia z przygranicznych kantorów, las na granicy z Białorusią i niepozorny grób uchodźcy, bilety na lokalny autobus, ogłoszenia o pracę przy opiece w Niemczech, blaszane budy z przegryzką i zapojką, rzędy billboardów, pocztówka z Białowieży, białoruskie papierosy.

Polskum – punktum Europy, miejsce środkowe, ni tu, ni tam, miejsce rozdarcia, wyszarpywania, nakładania się na siebie kolejnych warstw historii. Wzrost, rozrost, rozbiory pierwsze, drugie, trzecie, przemieszanie granic, ubywanie, pożeranie, odłączanie, przemieszczanie. Tu Niemcy, tu Białorusini, tu Ukraińcy, tu Ślązacy, Litwini, Łemkowie, Podlasie i Polesie, wszystko dzielone politycznie, w poprzek kultur. Kurator Miesiąca Fotografii Krzysztof Pijarski pisze, że w dzisiejszym świecie, który nazywa nieprzejrzystym, fotografia jest jednym ze sposobów, żeby się zatrzymać i przypatrzeć uważniej. Wziąć świat w posiadanie spojrzeniem, ale nie po to, żeby go zdobywać, ale by patrzeć krytycznie, rozmawiać, wymieniać się spostrzeżeniami, zajrzeć głębiej.

Na początku fotografia miała dokumentować, potem łapać szczególne momenty, następnie docierać tam, gdzie nikt inny się nie odważy, jeszcze później odzwierciedlać spojrzenie artysty, aż w końcu – aby odpowiedzieć na zalew obrazów – stała się całkowicie konceptualna, do granic absurdu. Fotki w telefonach obiecywały całkowicie zaspokoić nasze potrzeby. Teraz jednak jesteśmy zmęczeni i przebodźcowani. Chcemy odwrócić wzrok od ekranów, wyjść, doświadczać świata. I tutaj tradycyjna fotografia może wrócić i opowiadać dalej – jako odrębny język, ale nie jako nieczytelna konceptualna maniera.

Historykom może się wydawać, że punktum Barthesa to już archiwum fotografii, ja jednak uważam, że dotknął prawdy o życiu. W zdjęciach zawsze jest jakieś rozdarcie. Jak w życiu. Może dlatego to miejsce w środku Europy, gdzie żyjemy, jest tak fascynujące. Tu rzadkie są pozory stałości. Życie to przecież próbowanie znów, budowanie od nowa, na gruzach, zaczynanie po raz kolejny, zapominanie, przypominanie sobie... Europa Środkowo-Wschodnia bywała nazywana Mitteleuropą, przedmurzem, granicą. Ja jednak wolę myśleć, że mieszkamy w punktum. Polskum.

KAROLINA SULEJ

eprasa.pl 89a8166262



Obóz władzy daje sygnał

Prawicę zbulwersowało wtargnięcie policji do mieszkania redaktora Sakiewicza i sfilmowanie go bez spodni, za to w towarzystwie asystentki. Interwencja spowodowała wiele ofiar; ofiarami są Sakiewicz, asystentka (zakuta w kajdanki z powodu odmowy wylegitymowania się), a także sama policja – atakowana i obrażana za podjęcie interwencji po uzyskaniu fałszywej informacji, że w mieszkaniu Sakiewicza ktoś chce się wysadzić w powietrze. Sakiewicz początkowo upierał się, że fałszywi byli także interweniujący funkcjonariusze, których nazwał „przebranymi w mundur bandytami, którzy podają się za policję".

O sprawcach fałszywego zawiadomienia policja na razie nic nie wie, w odróżnieniu od red. Sakiewicza. „Nie mam cienia wątpliwości, że jest to zemsta obozu władzy" poinformował. Wygląda na to, że akcja jest zakrojona na szeroką skalę i obejmuje również innych pracowników TV Republika (nęka się ich fałszywymi zamówieniami na pizzę), a także Sławomira Cenckiewicza i prezesa Kaczyńskiego (został zaatakowany kłamliwymi doniesieniami o bombie podłożonej na jego posesji). Nie odpuszczono nawet rodzinie prezydenta Nawrockiego, w której mieszkaniu służby brutalnie wyważyły drzwi po odebraniu nieprawdziwej informacji o pożarze. Sakiewicz poinformował, że przy tej okazji doszło do „spenetrowania mieszkania", oskarżył także policjantów o to, że gdyby w środku natknęli się na żonę prezydenta, skuliby ją kajdankami. Na szczęście pani Nawrocka była na tyle przezorna, że znajdowała się zupełnie gdzie indziej.

Te działania to wyraźny sygnał, że obóz władzy, któremu skończyły się merytoryczne argumenty, przystąpił do ostatecznej rozprawy z opozycją, używając do tego policji, ładunków wybuchowych, pożarów, a nawet pizzy. Na razie nikt poważnie nie ucierpiał, jednak w przypadku Sakiewicza akcja mogła się skończyć prawdziwym dramatem; w momencie nagrywania przez policję był wprawdzie w bieliźnie, ale przecież mógł być bez bielizny, i ciekawe, kto ponosiłby za to odpowiedzialność?

Naczelny TV Republika nie ma nic przeciwko upublicznieniu przez policję nagrania i chętnie zgadza się, żeby oglądać go w samej bieliźnie. Nie wiem tylko, czy policja ma prawo narażać widzów na taki widok, w końcu mogą to obejrzeć dzieci lub osoby chore na serce. WP.pl informuje, że do upublicznienia może dojść „po odpowiednim zmodyfikowaniu twarzy czy poszczególnych części ciała osób na nagraniu". W tej sprawie trzeba będzie uważnie patrzeć policji na ręce, w przeciwnym razie po modyfikacji Sakiewicz może nie być w stanie swojej twarzy i niektórych części ciała rozpoznać.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Prinit

eprasa.pl 89a8166262



Od lewej:
Katarzyna Czarnecka, Karol Niklas, Małgorzata Osowiecka-Szczygieł

© PAWEŁ SZYCA

O energii w Gdyni

Klimat tego wieczoru wyjątkowo Pulsarowi sprzyjał. Goście naszego spotkania w Centrum Nauki Experyment w Gdyni „Energia przyszłości: Lęki i paragrafy" przenieśli wysoką temperaturę z zewnątrz do sali, w której dyskutowaliśmy o odnawialnych źródłach energii. Przeanalizowaliśmy lęki, które OZE wciąż budzą. Ale – jak wynika z raportu „Transformacja energetyczna w oczach Polek i Polaków" z 2025 r. – osoby, które zdecydowały się na instalację paneli fotowoltaicznych czy pomp ciepła, mają poczucie aktywnego dbania o ekologię i wpływ na jakość środowiska dla przyszłych pokoleń.

Dyskusja o wzmacnianych przez polityków uprzedzeniach wobec OZE zakończyła się konkluzją: potrzebujemy wiedzy. Technologicznej (co podkreślał dr hab. inż. Karol Niklas z Politechniki Gdańskiej), psychologicznej (dr Małgorzata Osowiecka-Szczygieł z Uniwersytetu SWPS w Sopocie) i prawnej (dr Robert Rybski z Uniwersytetu Warszawskiego). Bez rzetelnych informacji, bez mądrej walki z dezinformacją lęki się pogłębią. A to z kolei będzie miało negatywne konsekwencje dla politycznych decyzji.

Także dlatego portal naukowy „Polityki" Pulsar wyrusza w „Podróż po wiedzę". Kolejne spotkanie w czwartek w Krakowie. Szczegóły znajdziecie niebawem na **projektpulsar.pl.**

Partnerem cyklu jest Enea

Izabeli Kowalczyk-Dudek

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci **Taty**
składają przyjaciele z POLITYKI

REKLAMA

HISTORYCZNE NAGRODY POLITYKI im. MARIANA TURSKIEGO

LAUREACI Nagród Historycznych POLITYKI im. Mariana Turskiego za rok 2025

PRACE NAUKOWE



PRACE POPULARNONAUKOWE

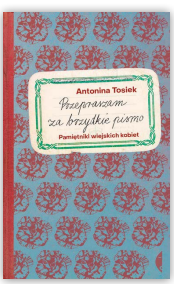

DEBIUTY

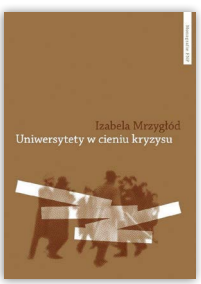

PAMIĘTNIKI, WSPOMNIENIA

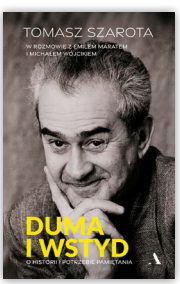

WYDAWNICTWA ŹRÓDŁOWE



Partner Główny Nagród Historycznych POLITYKI

Enea

Partner Nagród Historycznych POLITYKI

Deutsches Historisches Institut Warschau
Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie

Mecenasi Nagród Historycznych POLITYKI

Dantex

za KS sprzyjamy wyobraźni

ABUR Systemy automatyki

eprasa.pl 89a8166262

Współczesne relacje matek i córek są bardziej demokratyczne niż kiedyś, ale niekoniecznie prostsze.

Nowy Dzień Matki



„Córkostwo" jest nieobecne w naszym słowniku, a przecież relacje między matkami i córkami budzą po obu stronach duże emocje. – *Życiorysy matek nie są już dziś dla córek wyłącznie losem, przed którym trzeba uciec* – mówi psychoterapeutka Ewa Awdziejczyk. Córki patrzą na rodzicielki jak na „produkt epoki". Wojny, PRL-u, potem transformacji. Dostrzegają ich przemęczenie, niespełnione ambicje, samotność w małżeństwie. Ale też gigantyczny wysiłek włożony w to, by ich dzieci miały więcej możliwości niż one same. W wielu domach to właśnie te matki, dzisiejsze 60–70-latki, były pierwszym pokoleniem kobiet, które poszły na studia, zaczęły robić kariery, rozwodzić się. Jednocześnie oczekiwano od nich, że zrobią to wszystko bez zaniedbywania rodziny.

Dzisiejsze nastolatki też dorastają obok matek zmęczonych, ale jednocześnie obsesyjnie starających się być „wystarczająco dobrymi matkami". Współczesne macierzyństwo utknęło w klinczu społecznej presji: matki traktuje się jak prywatne menedżerki dobrostanu całych rodzin; kobieta ma być zarazem czuła i konsekwentna, obecna i niezaborcza, ambitna zawodowo i całkowicie oddana dziecku. Ma rozwijać emocjonalne kompetencje pociech, pilnować ich zdrowia psychicznego, organizować edukację, a przy tym nie narzekać i nie obciążać nikogo kosztami opieki. Pisze o tym Paulina Małochleb w książce „Mięśnie mam od miłości. O macierzyństwie". Kiedy dziś kobiety mówią, że boją się macierzyństwa albo odkładają decyzję o dziecku, rzadko chodzi wyłącznie o egoizm czy wygodę.

Współczesna relacja matka–córka jest bardziej „demokratyczna" niż kiedyś, ale niekoniecznie łatwiejsza. – *Dorosłe córki oczekują od matek emocjonalnej świadomości, respektowania granic, przyznania się do błędów. Zderzenie bywa więc bolesne. Jedne mówią językiem terapii, drugie opowiadają o przewadze obowiązków nad tym, „jak ja się z tym czuję"* – tłumaczy psychoterapeutka Ewa Awdziejczyk.

Młode kobiety próbują zrozumieć te starsze, oczekując tego samego dla siebie, ale jednocześnie rozliczają je z błędów, których wcześniejsze pokolenia nawet nie umiały nazwać. Analizują style przywiązania, granice emocjonalne i mechanizmy kontroli. Nie brak oczywiście matek tyranek odpowiedzialnych za kompleksy i niską samoocenę córek, tak jak nie brak córek skrzywdzonych, które chcą od matek uciec, uwolnić się. Liczba podkastów o „toksycznych" i „narcystycznych" matkach, instagramowych profili o traumach pokoleniowych czy medialnych dyskusji o emocjonalnym zaniedbaniu pokazuje, że wiele kobiet próbuje na nowo opowiedzieć własne nieszczęśliwe dzieciństwo. I dobrze.

Córki doceniają matczyną miłość, ale widząc cenę, jaką kobiety płaciły za model życia oparty na nieustannej trosce o innych, coraz częściej zadają sobie pytanie, czy same chcą żyć w ten sposób. – *Pokolenie kobiet, które zostały matkami w latach 60., 70., wychowywało córki do niezależności. Mówiło: ucz się, pracuj, zarabiaj na siebie. Ale jednocześnie przekazywało drugi komunikat: prawdziwe szczęście kobiety to rodzina, dzieci i dom. To bardzo niespójny przekaz* – mówi prof. Elżbieta Korolczuk, socjolożka, autorka i redaktorka książek o macierzyństwie („Matki i córki we współczesnej Polsce", „Pożegnanie z Matką Polką", wspólnie z dr Renatą Hryciuk).

Jej zdaniem m.in. dlatego rzadko powielamy drogę naszych matek. Żyjemy w innym świecie, chcemy własnych wzorców. Szukamy ich. Pokolenie 20-latek otwarcie przyznaje, że nie zamierza powtarzać modelu życia babć i matek, które pracowały zawodowo, a potem wracały do domu na drugi etat. Wolą zrezygnować z macierzyństwa niż z pracy zawodowej – wynika z badań. I to bywa powodem międzypokoleniowych napięć. – *Matki nie zawsze rozumieją ten wybór. Czasem odbierają go jak krytykę własnego życia* – tłumaczy prof. Korolczuk.

W świecie, w którym macierzyństwo przestaje być jedynym sensem kobiecego życia, a decyzje o dzieciach zapadają później niż kiedykolwiek, córki chcą tego samego co zawsze: żyć po swojemu. Tyle że dziś już matce nic do tego. ■

TREND



Grażyna Morek – dziennikarka prasowa i radiowa, przez lata szefowa działu Zdrowie w miesięczniku „Twój Styl", teraz w Radiu 357. Zajmuje się problematyką zdrowotną, psychospołeczną, pisze o zmianach stylu życia Polaków.

© GETTY IMAGES, LESZEK ZYCH, REX/EAST NEWS, TIKTOK.COM/@NEYMAR_27273, JAN RUCHNIEWICZ

eprasa.pl 89a8166262

WIRAL

Piłka w głowie

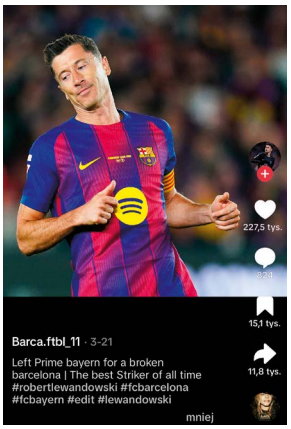

Historia stara jak TikTok: oto z przepastnych archiwów muzycznych algorytm i przypadek wydobywają piosenkę i sprawiają, że wraca po latach. Tak było np. z utworem „Dreams" zespołu Fleetwood Mac, który zyskał nowych fanów po wiralu z 2020 r. – wystarczyło, że pojawił się jako podkład wideo, na którym wyluzowany typ jedzie na deskorolce, popijając sok żurawinowy. Tym razem zaś padło na piosenkę „W głowie" Ani Dąbrowskiej. Hit z płyty „Dla naiwnych marzycieli" (2016) stał się hymnem fanów piłki nożnej na całym świecie.

„Nie znam się na futbolu, ale to świetna piosenka" – oznajmia jedna z zagranicznych tiktokerek, gibając się do polskiego przeboju. „Powinna znaleźć się na ścieżce dźwiękowej z gry FIFA!" – domaga się komentator na YouTubie. „To najbardziej FIFA-owa piosenka, której nie ma w grze!" – stwierdza ktoś inny.

Historia zna takie przypadki – fani gry „Metal Gear Solid V" przypisali grze piosenkę „Invisible" Duran Duran, podkładając ją pod teledyski przedstawiające głównego bohatera. To niespodziewane połączenie zaakceptował sam zespół. Podobnie rzecz ma się z „W głowie".

Za nową karierą przeboju sprzed dekady stoją fani **Roberta Lewandowskiego**, którzy używali jej jako podkładu do montażu scen z udziałem piłkarza. Jego międzynarodowa sława sprawiła, że utwór trafił do innych miłośników piłki nożnej, którzy zaczęli używać go do tworzenia filmików ze swoimi ulubieńcami. Doszło nawet do tego, że niektórzy fani nieznający pochodzenia wiralu byli przekonani, że jego „właścicielem" (czyli osobą kojarzoną z utworem) jest ich idol, a nie Lewandowski.

Wiralowość piłkarskich teledysków „W głowie" zwiększyła się jeszcze po ogłoszeniu przez Lewandowskiego odejścia z FC Barcelona. Filmiki zamieniły się w nostalgiczne wspominki. „Mam Ciebie tylko w głowie i to wystarczy mi/ Na prawdziwą wojnę nie zamierzam iść" – kto by się spodziewał, że kibice to tacy romantycy! Choć może trzeba być „naiwnym marzycielem", żeby wciąż wierzyć w polską reprezentację.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Wata Maty?



Mata zagrał zamiast jednego dwa koncerty na PGE Narodowym, a przy tym wydał zamiast jednej trzy płyty naraz. Koncerty zawierały imponująco dużo przebojów jak na krótką karierę rapera. Ale album oprócz podziwu zebrał sporo komentarzy sugerujących, że aż za dużo tego nowego materiału, że pojawiają się w nim wypełniacze. To słowo jednak nie pada, zamiast niego pojawia się bardziej popularny anglicyzm: „fillery". „Te 33 utwory zrobił mega na siłę, gdyby wyrzucić filler (czyli jakoś połowę piosenek) byłby spoko projekt" – czytamy w serwisie Rate Your Music. „Milion singli i fillery brzmiące tak samo" – zarzuca inny komentator. „Filler" to synonim wypełniacza. Coś jak komentarz o pogodzie w rozmowie towarzyskiej, „yyy" w mowie albo „Lorem Ipsum" w poligrafii. Pojawia się w znaczeniach specjalistycznych – np. *lip filler* to wypełniacz do ust w medycynie estetycznej. Najczęściej jednak słyszymy to słowo w kontekście rozmowy o kulturze.

„Sam dopiero siądę i mam nadzieję, że jest mniej walki niż w jedynce, bo dla mnie była niepotrzebnym fillerem" – głosi komentarz do drugiej części gry „Hellblade" na platformie X. Kolejny sezon serialu „The Boys" spotyka się tu z podobnym zarzutem co płyta Maty: „Pierwsze dwa odcinki dobre, ale później guano i fillery. Szkoda". Miejski.pl przy swojej definicji dodaje przykład zastosowania odnoszący się do kreskówki w telewizji: „To anime to straszny filler ramówki".

Telewizyjna praktyka sprzyja zresztą wszelkiego rodzaju wypełniaczom. Znajdziemy tu określenie *seat filler*, opisujące osobę, która musi usiąść na wolnym krześle na gali lub nagraniu programu, żeby nie było widać pustych miejsc w kamerze. Z tym zjawiskiem młoda polszczyzna próbuje sobie poradzić ogólniejszym określeniem „ludzie styropiany". Publiczność na koncertach Maty z pewnością była niestyropianowa, ale co do płyty opinie pozostaną zapewne podzielone. Dodajmy tylko, że już sam „filler" jest w języku wypełniaczem. Zbędnym, bo od dawna w potocznej polszczyźnie mamy rzeczownik „wata" opisujący m.in. zbędne przemowy i nieleksykalne wypełniacze pauz słownych, a także czasownik „watować", który Wikisłownik definiuje: wypełniać braki elementami o znikomej wartości. Wata jest z nami dłużej niż Mata.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Nie ma tego w Empiku, preorder też mnie je...e,
No i każdy inny order, od kiedy wierzę w siebie
Mata, Prolog, 2026 r.

Preorder – przedsprzedaż

eprasa.pl 89a8166262



Szwajcarska **Rigi** od wieków przyciąga pielgrzymów, turystów i koronowane głowy. To prawdziwa kolebka górskiej turystyki.

Królewska góra

Była tu królowa Wiktoria – zagaduje nas znienacka kelner, gdy jemy śniadanie w hotelu Rigi Kaltbad. – *Jechała konno, ale w pewnym momencie koń dał do zrozumienia, że nie zrobi ani kroku więcej. Dalej ponieśli ją tragarze* – opowiada ze swadą, jakby sam był świadkiem monarszej wyprawy. Ta historia wraca podczas naszej szwajcarskiej podróży jak refren.

Brytyjska monarchini stanęła na Rigi w 1868 r. Pięciotygodniową wyprawę do Szwajcarii poprzedziły trzy lata przygotowań. Góra znalazła się w jej programie m.in. dlatego, że wcześniej wspiął się na nią Albert, ukochany mąż królowej, zmarły w 1861 r. Podobno długa żałoba po nim była jednym z powodów, dla których lekarze zalecili monarchini wakacje. I nie pomylili się: z różnych źródeł wiadomo, że poczuła się znacznie lepiej.

Do Lucerny, gdzie się zatrzymała, przyjechała z trzema córkami i dwoma kucykami. Zameldowała się jako księżna Kentu – był to jeden z wielu przysługujących jej tytułów. Nie chciała być głową państwa, tylko zwykłą turystką. Kaprys o tyle zaskakujący, że o jej wyprawie wiedziało pół Europy, a na stacji w Lucernie witały ją tłumy.

Wizyta monarchini przypieczętowała pozycję regionu na turystycznej mapie Europy. Wiktoria nie była pierwszą celebrytką na szczycie, który już w XV w. ochrzczono przydomkiem „Królowej Gór" (wywodząc nazwę Rigi od Regina Montum, choć w rzeczywistości pochodzi ona z archaicznej niemczyzny i oznacza poziome pasma, które widać w sylwetce masywu). Wcześniej górę odwiedził m.in. Goethe, a po nim wielu innych romantyków, w tym polskich. Mickiewicz, Krasiński i Odyniec razem weszli na szczyt w 1830 r. Co przywiodło ich do Szwajcarii? Możliwe, że poemat „Alpy", napisany w XVIII w. przez Albrechta Hallera, botanika, lekarza i poetę. To jemu przypisuje się spotęgowanie turystycznej mody na Helwecję, ale nie jej początek.

Rigi to prawdziwa weteranka, jeśli chodzi o przyjmowanie przyjezdnych! Pierwsze doniesienia o leczniczych właściwościach wody ze źródła bijącego na jej zboczach pojawiły się już w 1540 r. i to ten czas uznaje się za początek „turystyki wellness" w regionie. Szacuje się, że pod koniec XVII w. źródło odwiedzało już 15 tys. osób rocznie, a w 1730 r. – 25 tys. W 1860 r. w okolicach Rigi działało 30 stajni (z ponad tysiącem koni), oferujących transport pielgrzymom i turystom. Rybacy ze wsi u stóp góry przekwalifikowali się na przewodników i tragarzy. A w pierwszej połowie XIX w. rozmaitych utworów literackich poświęconych podróżom po Szwajcarii powstało ok. 500!

Kolejny przełom przyszedł w 1871 r., gdy na Rigi zainaugurowano pierwszą w Europie kolej zębatą. Połączyła miejscowość Vitznau nad Jeziorem Czterech Kantonów (turyści mogli tu z Lucerny dotrzeć statkiem, tak jak i dziś) z Kaltbad – cudownym źródłem i otwartym przy nim hotelu. Wkrótce przedłużono ją pod sam szczyt i dobudowano nitkę z Goldau po drugiej stronie masywu. Po czterech latach przewoziła już 100 tys. pasażerów rocznie i w 1879 r. Mark Twain nie przesadzał, narzekając, że widoki zeń podziwia „w towarzystwie dwóch i pół setki elegancko odzianych dżentelmenów i dam".

Dziś linia od dawna jest zelektryfikowana i kursują nią nowiutkie wagony (ale już ponad 80 proc. szyn to oryginały z 1871 r.) i z prędkością 12 km/godz. w górę. W tym statecznym tempie wjeżdżamy pod sam szczyt. A wraz z nami Chińczycy, Meksykanie, Hindusi, Amerykanie... W pierwszej chwili jesteśmy – jak Mark Twain – trochę rozczarowani. To tak wygląda królowa gór? Wydeptaną ścieżką obchodzimy górną stację i wieżę telekomunikacyjną, przyglądamy się ludziom robiącym selfie.

Jeszcze większy tłok panuje jednak na widnokręgu. Panorama z Rigi nie ma sobie równych: przy dobrej pogodzie można stąd dostrzec 620 szczytów! Do tego 13 jezior i aż 24 ze wszystkich 26 kantonów Szwajcarii. Z jednego miejsca objąć wzrokiem niemal cały kraj – to iście królewski przywilej! Wystarczy zresztą krótki spacer przez łąkę pełną krokusów, by tłum i gwar zostały gdzieś w tle. Widokiem ośnieżonych Alp cieszymy się w samotności godnej romantycznych poetów. ■



Julia Zabrodzka – fotografka i autorka tekstów o miejscach, smakach i ludziach. Od blisko 20 lat regularnie wraca do Hiszpanii.



Bartek Kaftan – dziennikarz, redaktor, tłumacz. Lubi wracać do tych samych miejsc, szczególnie do Gwatemali i Meksyku, a także do Hiszpanii, na Morawy i na Podlasie.

© JULIA ZABRODZKA, ARCHIWUM PRYWATNE (3), ALICJA ROKICKA

eprasa.pl 89a8166262

Jak zmieścić na talerzu – a najlepiej w jednym kęsie – wszystkie nowalijki i świeże sezonowe warzywa? Najlepiej przygotować tartę!

Kolorowa tarta ze szparagami

Tarta to jedno z tych dań, które łączą w sobie prostotę i elegancję. Wywodzi się z kuchni francuskiej, a jej historia sięga aż średniowiecza. W czasach, gdy nie znano jeszcze nowoczesnych naczyń kuchennych, twarda, gruba skorupa z ciasta na bazie mąki i wody chroniła farsz podczas pieczenia. Wypełniano ją mięsem, rybami, warzywami lub owocami, a całość pieczono w wielkich piecach piekarniczych opalanych drewnem. Z upływem lat, szczególnie we Francji, tarta zaczęła ewoluować w kierunku bardziej wyrafinowanego dania. Zmieniło się ciasto, do którego zaczęto dodawać masła. Kruche – i już jadalne – stało się integralną i smaczną częścią potrawy. Również nadzienie zaczęto komponować z większą dbałością o smak i estetykę. Tarta inspiruje kucharzy i smakoszy na całym świecie swoją uniwersalnością; może być zarówno wytrawna, jak i słodka, podawana na ciepło lub na zimno, jako lekki lunch, przystawka czy element bardziej wykwintnego menu. Jej podstawą jest ciasto. Może być kruche i domowe, ale nic nie stoi na przeszkodzie, by użyć już gotowego, najlepiej francuskiego. Jest uniwersalne, przyjemnie i delikatnie słone w smaku, a ponieważ większość gotowych ciast francuskich w składzie nie ma masła, sprawdzi się także w kuchni roślinnej.

Tarta może być szalona. Żeby opisać jej charakter, lubię używać łacińskiego hasła *horror vacui*, oznaczającego „strach przed pustką”. To termin używany m.in. w sztuce barokowej, w której starano się nasycić każdą dostępną przestrzeń szczegółami, dekoracjami. Tłem naszej kolorowej tarty będzie lekki krem na bazie tofu; kwaskowaty w smaku, podkreślający naturalną słodycz warzyw. Świeżym elementem zaś – chrupiąca i ostra w smaku rzodkiewka. By przykryć puste miejsca między warzywami, warto sięgnąć nie tylko po koperek czy natkę pietruszki – polecam kolorowe kiełki oraz coraz popularniejsze mikroliście, które mają w sobie nie tylko dużo smaku, ale też witaminy i mikroelementy. Wiosenne warzywa wprowadzają do potrawy lekkość, kolor i energię. Tarta z kremem z tofu, szparagami i młodą marchewką jest idealnym wyborem dla celebrujących tę wyjątkową porę roku. ■

Składniki:
- Gotowe ciasto francuskie
- łyżka maku
- łyżka sezamu
- 200 g tofu naturalnego
- 3–4 kopiaste łyżki naturalnego roślinnego jogurtu
- (ewentualnie) łyżeczka jasnego miso
- sól
- pieprz
- 5–6 zielonych szparagów
- 3–4 młode marchewki
- kilka rzodkiewek
- koperek
- dowolne kiełki, np. rzodkiewki, soczewicy
- dowolne mikroliście, np. groszku



KUCHNIA



Alicja Rokicka – autorka bloga Wegan Nerd i książek kulinarnych, miłośniczka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.

Wykonanie:
- Na początek przygotuj spód do tarty. Rozwiń ciasto francuskie i ułóż je na blaszce wyłożonej papierem do pieczenia. Nożem natnij krawędzie, zostawiając ok. 2 cm marginesu – to będą nasze brzegi. Trzeba przy tym uważać, by nie przeciąć ciasta na wylot. Za pomocą pędzla spożywczego lub palcem delikatnie zwilż brzegi ciasta ciepłą wodą i posyp makiem oraz sezamem.
- Zapiekaj spód w 180 st. C przez ok. 20 min, aż się zarumieni. Środek ciasta powinien się podnieść. Za pomocą łyżki spłaszcz sam wyrośnięty środek – brzegi powinny być wyżej od środka.
- Kiedy ciasto się piecze, przygotuj resztę składników. Do pojemnika wrzuć tofu, dodaj jogurt naturalny, miso, trochę soli i sporo świeżo mielonego pieprzu. Wszystko zblenduj na krem. Jeśli jest taka potrzeba, dodaj więcej jogurtu. Spróbuj i ewentualnie znów dopraw solą i pieprzem.
- Przygotuj szparagi oraz marchewki. Szparagi złam w zgrubiałym miejscu, marchewki oczyść i przekrój na cztery części. Warzywa wrzuć do gotującej się wody, lekko posól. Gotuj ok. 5–7 min, aż marchewki zmiękną. Wyciągnij i osusz. Rzodkiewki pokrój w cienkie talarki.
- Na środek tarty wyłóż krem z tofu i rozprowadź go po spodzie – nie musi być równo. Naprzemiennie układaj marchewki oraz szparagi. Dołóż plasterki rzodkiewki. Całość obficie posyp kiełkami, mikroliśćmi oraz ziołami. Na koniec posól i dodaj trochę pieprzu. Podawaj od razu.

eprasa.pl 89a8166262

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Polski Magyar?

Trump nie lubi porażek i lubi karać za nielojalność – uważa Aleksander Kwaśniewski, gość Karoliny Lewickiej w podkaście „Temat tygodnia”. Polska obrywa rykoszetem, co pokazała awantura z rotacją wojsk. A jaki jest stan gry przed wyborami w naszym kraju? „Ludzie wolą zaryzykować z politykami, których nie znają. To pokazał na Węgrzech przykład Pétera Magyara” – mówi Kwaśniewski. Czy objawił się już w Polsce jakiś Magyar? Posłuchajcie.

Mniej lekarzy z Ukrainy



Lekarze z Ukrainy, którzy nie zdali jeszcze egzaminu z polskiego na poziomie B1, tracą prawo wykonywania zawodu. Jak wyjaśnia Naczelna Izba Lekarska, trzeba dobrze zrozumieć, co dolega pacjentowi, żeby nie popełnić błędu. „To prawda, a właściwie tylko pół prawdy” – pisze na polityka.pl Joanna Solska i wyjaśnia, czy w tym sporze naprawdę chodzi o nienaganną polszczyznę, czy o to, co zawsze, czyli o pieniądze.

Groteska na maturze



Jaki stosunek do polszczyzny mają twórcy matur z CKE? Na polityka.pl przeglądamy arkusze z egzaminu rozszerzonego. „Tematy co roku są tak formułowane, że rozumieją je wyłącznie hiperhumaniści i megaintelektualiści” – pisze Dariusz Chętkowski, belfer i bloger POLITYKI. I pyta: „Więcej rzeczowników nie dało się już wstawić do tekstu? A gdzie się podziały czasowniki?”. Szczegóły w artykule. Nie szczędzimy czasowników.



Kto jest śmieszniejszy: PiS czy KO?

Czy memy polityczne to nasza specjalność? W podkaście „Polskie demo” mówi o tym Michał Marszał, dawniej związany z tygodnikiem „Nie”, dziś popularny twórca internetowy. W rozmowie zdradzamy, co nas bawi, czy istnieją w satyrze tematy tabu (Smoleńsk dowiódł, że nie) i jak Przemysław Czarnek przyjął informację o tym, że został w internecie – dwa razy – wybrany na Dzbana Roku.

Dziś seriale, kiedyś mity



Kim właściwie byli greccy herosi? Superbohaterami, celebrytami antyku, półbogami, a może raczej ostrzeżeniem przed pychą, gniewem i przekraczaniem granic? **Mitologii poświęcamy nowe wydanie Pomocnika Historycznego POLITYKI i podkastową rozmowę z prof. Tomaszem Mojsikiem, historykiem starożytności.** Wyjaśniamy w niej, dlaczego Grecy „są jak Apple”, a mity jak serialowe „Stranger Things”.

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

© ANNA AMAROWICZ (3), SHUTTERSTOCK, KRZYSZTOF ZATYCKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 89a8166262

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 89a8166262

OKNOPLAST

OKNOPLAST.COM.PL



PRZEŁOM
w designie i technologii

OKNO PILAR.
stworzone dla równowagi

Połączenie bezpieczeństwa, oszczędności energii i stabilności konstrukcji w maksymalnie smukłej ramie to prawdziwy przełom. PILAR to pierwsze na rynku okno PVC z wąskim, ruchomym słupkiem i klamką centralną wykonane w technologii STV.
Poczuj doskonałą równowagę pomiędzy designem a funkcjonalnością.

POZNAJ OKNO PILAR